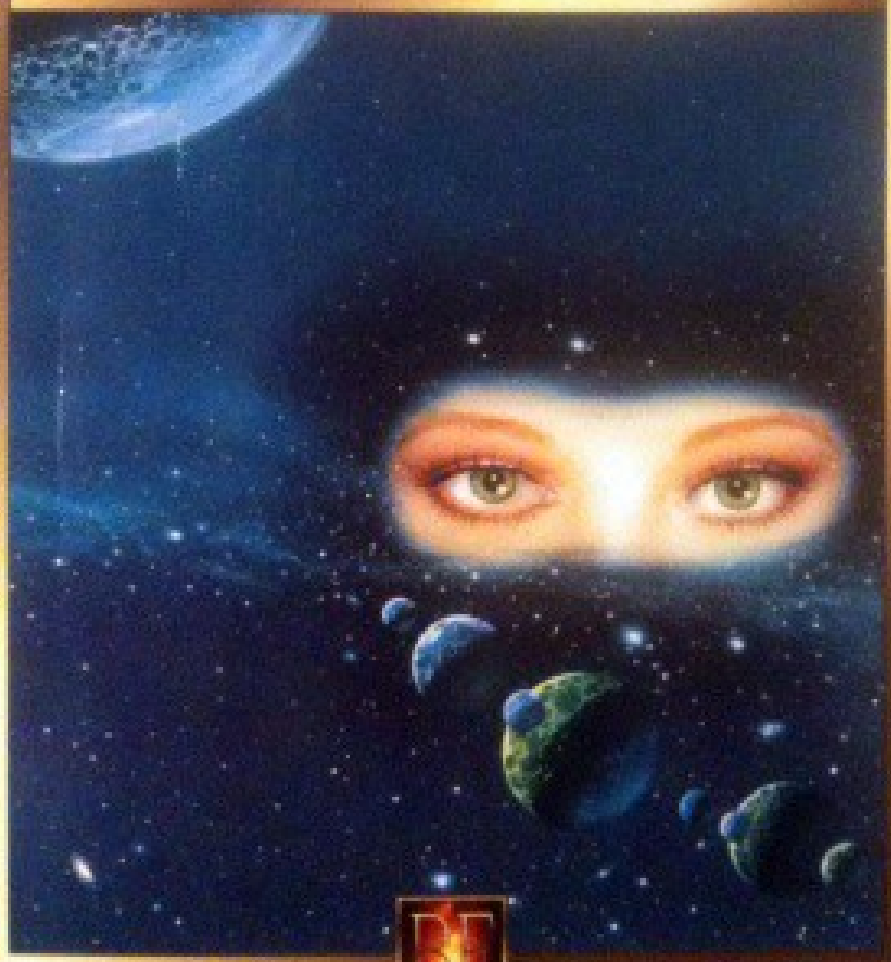


Charles  
**SHEFFIELD**  
**PROTEUSZ 2200**



**CHARLES  
SHEFFIELD  
PROTEUSZ  
2200**

TYTUŁ ORYGINAŁU: SIGHT OF PROTEUS  
PRZEKŁAD: MICHAŁ CZERNY

## CZEŚĆ PIERWSZA

### ROZDZIAŁ 1

Tego ranka dostarczono nowy katalog na jesień. Behrooz Wolf, jak miliony mieszkańców Ziemi, postanowił poświęcić wieczór na przeglądanie ofert i porównywanie cen. Jak zawsze przedstawiono wiele wersji kształtów już znanych, a także interesującą kolekcję nowych, prezentowanych przez KUB po raz pierwszy. Bey wertował katalog przyglądając się podobiznom i cenom. Niektóre pozycje pozaznaczał, by wrócić do nich później.

Po jakiejś godzinie jego zainteresowanie osłabło, myśli pobiegły w inną stronę. Ziewnął, odłożył katalog i podszedł do biurka w kącie pokoju. Wyszukał i przejrzał kilka artykułów na temat teorii przeformowywania, a następnie, nerwowo jak zawsze, przekartkował swój notatnik. Na koniec sięgnął znowu po katalog KUB. Choć na dzwonek telefonu zareagował odruchowo pomrukiem irytacji, w istocie był bardzo zadowolony, że mu przerwano. Nacisnął przycisk pilota na przegubie.

— Bey? Daj mnie na wizję, dobrze? — usłyszał głos z ekranu na ścianie.

Wolf ponownie dotknął przegubu. W ściennym holowizorze pojawiła się pogodna, rumiana twarz Johna Larsena. Larsen spojrzał na katalog i uśmiechnął się.

— Nie wiedziałem, że już wyszedł. Zgodnie z oficjalną datą powinien się ukazać dopiero jutro. Nie miałem czasu sprawdzić, czy przysłali mi mój egzemplarz. Wybacz, że dzwonię o tej porze. Wciąż jeszcze jestem w biurze.

— Nie ma sprawy. To wszystko nie wygląda zbyt interesująco. Ciągłe ten sam odwieczny problem. Najciekawsze kształty są nieosiągalne bez tysięcy godzin pracy maszyn albo mają obrzydliwie niski współczynnik żywotności...

— ...albo, jeśli są podobne do modeli z ostatniej wiosny, wymagają ogromnej ilości pamięci komputera. A co z cenami?

— Znowu wzrosły. Masz absolutną rację, dla tych modeli trzeba wiele pamięci. Popatrz na ten, John. — Uniósł w górę otwarty katalog. — Zużyłem już miliard słów pamięci podstawowej i nadal nie mogę sobie poradzić. Bez czterech miliardów słów nie ma nawet co myśleć o jego zamawianiu.

Larsen cicho gwizdnął.

— Ale to jednak rzeczywiście prawdziwa nowość. Nic widziałem dotąd formy tak bardzo zbliżonej do autentycznego ptaka. Jaki jest współczynnik żywotności tego modelu? Założę się, że kiepski.

Wolf zajrzał do tabeli w katalogu i przytaknął skinieniem głowy.

— Mniejszy niż 0,2. Trzeba mieć szczęście, by przetrwać dziesięć lat. Zapewne jest w porządku przy niskiej grawitacji, ale nie przy wysokiej. W przypisie informują, że może latać przy grawitacji księżycowej lub mniejszej. Podejrzewam, że chcą go sprzedawać w FPZ.

Zamknął katalog.

— No więc, co się stało, John? Myślałem, że masz randkę, czemu zatem ślęczysz po nocy?

Larsen wzruszył ramionami.

— Natknęliśmy się na dość tajemniczą sprawę. Jestem w kropce, a to wygląda na problem z rodzaju, jakie lubisz. Może miałbyś ochotę wrócić teraz do biura? Nie naciskam, ale naprawdę chciałbym usłyszeć twoją opinię.

Wolf zawahał się.

— Miałem już dzisiaj nie wychodzić. Nie moglibyśmy tego załatwić przez holowizor?

— Raczej nie. Ale pokażę ci coś, co może jednak zachęci cię do przyjazdu. — Larsen przesunął kartkę papieru tak, by można ją było zobaczyć na ekranie. — Bey, co sądzisz o tym kodzie identyfikacyjnym?

Wolf przyjrzał się dokładnie zapisowi, po czym spojrzał pytająco na Larsena.

— Wygląda całkiem normalnie. Czy to ktoś, kogo powinienem znać? Pozwól, że sprawdzę na swoim pececie.

Larsen w milczeniu obserwował, jak Wolf wprowadza cyfry chromosomowego kodu identyfikacyjnego. Kod ten — uznany za absolutnie pewny sposób określania tożsamości — zastąpił odciski palców oraz wzorce głosu i siatkówki oka. Automatyczne połączenie komputera osobistego z centralnym bankiem danych nastąpiło prawie natychmiast. Po uzyskaniu odpowiedzi Wolf zmarszczył brwi, a potem z błyskiem irytacji w oczach spojrzał na Johna Larsena.

— O co chodzi, John? W banku centralnym nie ma takiego kodu. Sam go wymyśliłeś?

— Niestety nie. Rzecz jest znacznie bardziej skomplikowana.

Larsen sięgnął za siebie po wydruk.

— Mówiłem ci, Bey, to tajemnicza sprawa. Jakies trzy godziny temu zadzwonił pewien student medycyny. Dziś po południu, gdy przebywał na oddziale transplantacji Szpitala Centralnego, przywieziono tam przypadek wymagający przeszczepienia wątroby. Chłopak chodzi na wykłady z analizy chromosomowej, ale opuścił jedno z zajęć laboratoryjnych. Miał się nauczyć na nim stosowania techniki na prawdziwych przypadkach. Tak więc przyszło mu do głowy, żeby przeprowadzić identyfikację na próbce z wątroby dawcy — chciał po prostu sprawdzić, czy wystarczająco opanował metodę.

— To niezgodne z prawem, John. On nie może mieć licencji na używanie tej aparatury.

— Nie ma. Mimo to posłużył się nią. Po powrocie do domu wrzucił kod do centralnego banku danych i zażądał identyfikacji. Komputer nie potrafił znaleźć odpowiedniego wzorca.

Twarz Wolfa zdradzała jednocześnie sceptycyzm i zainteresowanie.

— Musiał popełnić jakiś błąd w pomiarach.

— Tak też pomyślałem w pierwszej chwili. Ale ten chłopak nie jest zwykłym przeciętniakiem. Już choćby dlatego, że postanowił do nas zadzwonić, wiedząc, iż może mieć spore nieprzyjemności za przeprowadzenie analizy identyfikacyjnej bez odpowiedniego zezwolenia. Powiedziałem mu, że musiał zrobić coś nie tak, a on odpowiedział, że wykonał pomiar trzykrotnie; dwa razy metodą zwykłą, a raz przyspieszoną, którą chciał też wypróbować. Za każdym razem rezultat był ten sam. Chłopak jest przekonany, że stosował technikę właściwie i żadnych pomyłek nie popełnił.

— Ale przecież nie ma możliwości sfalszowania kodu chromosomowego, a dane każdego człowieka figurują w banku centralnym. Twój student powiada, że badał wątrobę pochodzącą od dawcy, który nigdy nie istniał!

John Larsen wyglądał na zadowolonego.

— Właśnie to chciałem od ciebie usłyszeć. Dokładnie taki był i mój wniosek. Więc jak, Bey? Zjawisz się tu za jakąś godzinę...?

Wieczorny deszcz już ustał i ulice były znowu szalonym kolorowym chaosem. Bey wyszedł z mieszkania i z nabytą przez lata wprawą zaczął się przepychać przez tłum ludzi do najszybszego ruchomego chodnika. Ziemia liczyła ponad czternaście miliardów mieszkańców, nic więc dziwnego, że nawet w najbogatszych dzielnicach tłok był rzeczą normalną,

obojętne — dzień czy noc. Pochłonięty problemem Larsena Wolf prawie nie zauważał otaczającej go ciżby.

W jaki sposób ktokolwiek mógł uniknąć identyfikacji chromosomowej? Przeprowadzano ją, gdy niemowlę osiągało wiek trzech miesięcy, bezpośrednio po testach człowieczeństwa, i tak się działo już od stulecia. Czyżby dawcą był umierający starzec? Zupełnie niemożliwe. Nawet gdyby dawca tego chciał, nikt przecież nie użyłby stuletniej wątroby do przeszczepu. Na pociągłej twarzy Beya malowało się zakłopotanie. A może dawca pochodził spoza Ziemi? Nie, to również nie wchodziło w grę. Kody ludzi z Federacji Przestrzeni Zjednoczonych gromadzono oddzielnie, ale i one znajdowały się w centralnych bankach danych. Odpowiedź komputera nadeszłaby z niewielkim opóźnieniem, i to wszystko.

Poczuł, że zaczęła burzyć się w nim dobrze znana mieszanka: podniecenie i modulujący je lęk przed rozczarowaniem. Miał dobrą pracę w Biurze Kontroli Form, nie wyobrażał sobie lepszej. Ale chociaż osiągał w niej spore sukcesy, nie czuł się w pełni usatysfakcjonowany. Wciąż oczekiwał wielkiego wyzwania, jakiejś sprawy, która zmusiłaby go do maksymalnego wykorzystania wszystkich umiejętności i talentów. Może teraz trafiała się szansa. Mając trzydzieści cztery lata powinien już wiedzieć, co zamierza zrobić z resztą życia — to przecież dosyć żenujące, gdy w tym wieku ktoś wciąż jeszcze bada siebie i analizuje pod kątem własnych możliwości.

Chcąc stłumić to nie uzasadnione logicznie podniecenie i przygotować umysł do czekającego go zadania, Bey włączył wszczepiony moduł telekomunikacyjny i wyszukał program z wiadomościami. Jego nerwy wzrokowe, stymulowane bezpośrednio, wytworzyły obraz tak dobrze mu znanego nosa w kształcie dziobu i spadzistego czoła należących do Laszlo Dolmetscha. Ludzie na ruchomych chodnikach pozostawali wciąż jeszcze widoczni, tworząc nieco widmowe tło — prawo zabraniało całkowitego odłączania sygnałów z najbliższego otoczenia, ponieważ w pierwszych miesiącach po wprowadzeniu ruchomych chodników stało się to przyczyną wielu śmiertelnych wypadków.

Dolmetsch jak zwykle rozprawiał o najnowszych wskaźnikach społecznych i wypowiadał pesymistyczne prognozy. Jeśli nie obniży się koncentracji przemysłu wokół wylotów Łącznika, będziemy mieli kłopoty... Bey słyszał to już wielokrotnie. W kółko powtarzane ostrzeżenia stały się banałami. Rzecz jasna, że wskaźniki społeczne wykazywały brak stabilności — ale tak było zawsze, odkąd po raz pierwszy tychże wskaźników użyto. Bey popatrzył znowu na profil Dolmetscha i przypomniały mu się krążące o nim plotki. Mówiono, że zamiast wykorzystać technikę przeformowywania do zmniejszenia ogromnego dziobopodobnego nosa, Dolmetsch jeszcze go powiększył, aby nie można go było pomylić z nikim na Ziemi. To mu się z pewnością udało. Bey nie pamiętał tych czasów, gdy nie było jeszcze Dolmetscha prorokującego zagładę. Ile on mógł mieć teraz lat? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt?...

Bey wzruszył ramionami i przełączył kanał. Na chwilę musiał powrócić do realnego świata i szybko usunąć się z drogi dwóm ubranym w czarne stroje funkcjonariuszom pogotowia, którzy z ogromną prędkością pędzili najszybszym ruchomym chodnikiem, po czym przeleciał przez inne kanały z wiadomościami. Nic specjalnego. Katastrofa górnicza na Horusie, tak daleko od cywilizowanych miejsc w Układzie Słonecznym, że pomoc mogła dotrzeć dopiero po paru miesiącach; obiecujące odkrycie kerneli gdzieś w Halo, co oznaczało fortunę dla jakiegoś szczęśliwego poszukiwacza i więcej darmowej energii dla FPZ. No i — oczywiście znowu pogłoski o technice przeformowywania, która w praktyce przyniesie nieśmiertelność. Pojawiały się one co kilka lat, regularnie jak pory roku, potwierdzając nie słabnącą nigdy moc tego, co się nazywa ludzkim chciejstwem. Nikt nigdy nie znał żadnych szczegółów — wszystko ograniczało się zawsze do luźnych pogłosek. Bey słuchał tych rewelacji z pogardą i po raz kolejny usiłował pojąć, jak ludzie mogą poświęcać tyle uwagi takowym mglistym wizjom. Przełączył się z powrotem na Dolmetscha — obawy starszka były przynajmniej zrozumiałe i oparte na faktach. Każdy dostrzegał braki na rynku i przemoc wymykającą się nie-

mał spod kontroli. Liczba ludności wciąż rosła, mimo ogromnych wysiłków, jakie podejmowano, aby temu zapobiec. Czy sięgnie piętnastu miliardów? Bey pamiętał czasy, gdy sądzono, że czternaście oznaczać będzie zagęszczenie nie do wytrzymania.

Tłumy przepływające ruchomymi chodnikami nie dzieliły chyba obaw Wolfa. Wszyscy wydawali się szczęśliwi, przystojni, młodzi i zdrowi. Dla ludzi sprzed dwustu lat stanowiłoby z pewnością wzory doskonałości. To prawda, były to dzielnice zachodnie, w pobliżu wjazdu do Łącznika. W innych dzielnicach nie brakowało biedy i brzydoty. Zapomnijmy jednak na moment o wysokich cenach i wymaganych astronomicznych ilościach pamięci komputerowej. KUB — Korporacja Urzędzeń Biologicznych — miała prawo z dumą twierdzić, że zmieniła świat, a przynajmniej tę jego część, którą było na to stać. Tutaj, po zachodniej stronie, bogactwo było czymś normalnym, a używanie systemów KUB jego warunkiem *sine qua non*.

Podobnie jak Laszlo Dolmetsch widzieli problem związany z utrzymaniem ekonomicznej równowagi na świecie tylko Główni Koordynatorzy. Zasoby naturalne wyczerpywały się — sytuacja przypominała balansowanie na cienkiej linii zawieszanej nad przepaścią. Aby się na niej utrzymać, należało ustawicznie dokonywać misternych regulacji, opartych na teorii Dolmetscha. Każdego tygodnia wprowadzano poprawki uwzględniające skutki suszy, słabych zbiorów, pożarów lasów, epidemii czy ograniczeń w dostawach energii lub minerałów. Każdego tygodnia Główni Koordynatorzy śledzili wskaźniki przemocy, chorób i głodu i w ponurym nastroju oczekiwali chwili, w której poprawki nie poskutkują, nastąpi gwałtowny kryzys i załamanie ekonomiczne. W zjednoczonym świecie krach jednej formacji oznacza upadek wszystkich. Tylko ludzie spoza Ziemi, trzy miliony obywateli Federacji Przestrzeni Zjednoczonych, mogli przetrwać, dzięki swej chwiejnej niezależności, a FPZ śledziła wskaźniki ekonomiczne z rosnącym napięciem, nie mniej uważnie niż ziemscy koordynatorzy.

Do celu było już niedaleko. Bey z przyzwyczajeniem sprawdzał, czy wszystkie napytkane formy są zgodne z prawem. Za pomocą makijażu i plastikowych protez ukryć można wiele, ale dzięki przeszkoleniu w Biurze Kontroli Form potrafił przenikać wzrokiem poprzez zewnętrzny kształt do prawdziwej struktury noszącego ją ciała.

Tutaj, na publicznych ruchomych chodnikach, prawdopodobieństwo natrafienia na niedozwolony kształt było raczej niewielkie, ale Bey wciąż jeszcze w koszmarach sennych widywał kocią formę, którą napotkał dwa lata temu w miejscu odległym o niecałą milę stąd. Spotkanie to opłacił trzema miesiącami przymusowej bezczynności, spędzonymi na sali zmian przyspieszonych i regeneracji Szpitala Kontroli Form.

Kiedy przesunął się z powrotem w kierunku najwolniejszego ruchomego chodnika, już nie po raz pierwszy zauważył u wielu ludzi zaokrąglone elżbietańskie czoła. Miały być one jedną z drobnych ciekawostek katalogu wiosennego, a stały się wielkim przebojem. Wstukując kod Biura Kontroli Form, a potem idąc do pokoju Larsena na drugim piętrze, zastanawiał się, co się okaże atrakcją tej jesieni. Dołeczki na twarzy? Blizny po cięciach szablą? Egipskie nosy?...

W chwili gdy Bey Wolf wspinał się po schodach, kilka mil na wschód od jego biura samotny mężczyzna w białym kitlu wykręcił numer szyfru i wszedł do podziemnego laboratorium, znajdującego się na głębokości czterech pięter pod powierzchnią ziemi. Każdy naukowiec poznałby jego twarz i sylwetkę. To był Albert Einstein w wieku lat czterdziestu, u szczytu swych możliwości twórczych.

Mężczyzna powoli kroczył wzdłuż długiego pomieszczenia, sprawdzając monitory przy wielkich zbiornikach. Większości z nich poświęcił tylko kilka sekund uwagi, niektóre nieco podregulował. Na dłużej zatrzymał się przy stanowisku jedenastym. Dokładnie obejrzał wyniki, chrząknął i potrząsnął głową. Mijały minuty, a on wciąż stał nieruchomo, zatopiony w zadumie. Wreszcie wznowił przegląd i zakończył go w strefie kontroli ogólnej, znajdującej

się na końcu sali.

Zasiadłszy przy konsoli zażądał szczegółowych zapisów ze stanowiska jedenastego i wyświetlił je na ekranie. Przez wiele minut w milczeniu okręcał wokół palca wskazującego pukiel swych długich, siwiejących włosów, odczytując dane dotyczące zastosowanych mieszanek odżywczych i przebiegu podstawowych procesów życiowych. Sporo czasu zajęły mu także zapisy zmian w programie. Wreszcie skończył. Wyczyścił ekran i włączył tryb zapisu dźwięku.

— Drugi listopada. Ciągła deterioracja w zbiorniku jedenastym. Natężenie reakcyjne zmniejszyło się o kolejne dwa procent. Ponownie zaistniała niestabilność w pętach biologicznych sprzężeń zwrotnych. Parametry zmiany zostały przekalibrowane dziś wieczorem.

Przerwał; podświadomie zwlekał ze sformułowaniem wniosków. Wypowiedział je dopiero po chwili.

— Rokowania są niedobre. Jeśli w ciągu najbliższych dwóch dni nie nastąpi poprawa, trzeba będzie przerwać doświadczenie.

Siedział jeszcze przez chwilę bez ruchu. Był wyraźnie wstrząśnięty. Wreszcie wstał. Poruszając się teraz szybko po skąpo oświetlonej sali, wyregulował na nowo monitory przy wszystkich stanowiskach i włączył liczniki. Po raz ostatni omiół spojrzeniem laboratorium po czym zamknął pomieszczenie i wszedł do windy, która wywiozła go na powierzchnię. Jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała twarz Einsteina.

## ROZDZIAŁ 2

John Larsen, mimo późnej pory wciąż rzeński i pogodny, uważnie przyjrzał się wchodzącemu Beyowi.

— Zdaje mi się, że późny wieczór nie jest twoją ulubioną porą — powiedział. — Wyglądasz na zmęczonego. Znowu zaniedbywało się ćwiczenia fizyczne?

Wolf wzruszył ramionami i mimo woli mrugnął kilka razy.

— To widać, tak? Mam nieco krótki wzrok i męczą mi się oczy, jeżeli nie ćwiczę regularnie. Jutro zaczynam dzień na sali odnowy biologicznej. Minimum godzina treningu.

Larsen sceptycznie uniósł brew. Bey słyszał z imponujących deklaracji, czego to nie dokona „jutro”. Mawiał, że odziedziczył przenikliwość i spryt po perskiej matce, a wytrwałość i dbałość o szczegóły po niemieckim ojcu. Jego perscy przodkowie musieli przekazać mu jednak również dar odkładania spraw na później. Bey przysięgał, że w języku perskim nie istnieje odpowiednik słowa *mañana*, twierdził z całą powagą, iż żaden z tuzina wyrazów pokrewnych nie sugeruje potrzeby aż tak nagłego działania. Jednakże ów dar odkładania wszystkiego nie dotyczył jego pracy zawodowej. Gdy o nią chodziło, zawsze był bardzo efektywny. Ciemnowłosa, o śniadej cerze, średniego wzrostu i wagi, posiadał niesamowitą zdolność usuwania się w cień i całkowitego znikania w tłumie — talent bardzo przydatny, gdy się jest agentem śledczym Biura Kontroli Form.

Larsen podniósł z biurka zadrukowaną kartkę i podał ją Wolfowi.

— To jest właśnie to. Podpisane i zaprzysiężone oświadczenie Luisa Rad-Kato, tego studenta medycyny. Opowiada w nim absolutnie wszystko. Podaje czas, relacjonuje dokładnie, co zrobił, przytacza kod identyfikacyjny wątroby, opisuje także, gdzie wprowadził wyluki do banków danych.

Wolf wziął kartkę do ręki i szybko omiół ją wzrokiem.

— Przypuszczam, że zdażyłeś wyciągnąć z Danych Centralnych wszystkie zapisy na ten temat, aby mieć pewność, iż rzeczywiście wprowadził kod w opisany przez siebie sposób?

— Jasne. Zrobiłem to natychmiast po otrzymaniu meldunku. Jego dane znajdowały się

jeszcze ciągle w pliku tymczasowym. Zaraz sam je zobaczysz.

Wystukał kod wejściowy. Obaj mężczyźni czekali przez chwilę w milczeniu na odnalezienie danych. Po upływie mniej więcej minuty Larsen zmarszczył brwi z dezaprobatą.

— To nie powinno trwać tak długo. Kiedy sprawdzałem poprzednim razem, odpowiedź nadeszła prawie natychmiast. Może pochraniłem coś z kodem.

Nacisnął „priorytetowy” klawisz przerywając program i raz jeszcze wprowadził kod. Tym razem zamrugała lampka sygnalizująca komunikat systemowy, a na ekranie terminalu pojawił się napis: KOD WEJŚCIOWY NIE MA ODPOWIEDNIKA W ŻADNYM REKORDZIE. SPRAWDŹ DANE I WPROWADŹ PONOWNIE.

— Psiakrew! Coś tu nie gra, Bey. Użyłem dokładnie tego samego kodu niecałą godzinę temu.

— Pozwól mi spróbować. Znam nadrzędne kody wejściowe dla tego obszaru pamięci centralnej.

Wolf, który radził sobie z komputerami znacznie lepiej niż Larsen, zajął miejsce przy konsoli. Wprowadził polecenia języka kontrolnego, co umożliwiło mu wgląd w system operacyjny, po czym rozpoczął wyświetlanie plików pamięci. Po kilku minutach zatrzymał przesuwający się na ekranie tekst.

— To jest ten obszar, John. Spójrz — to dopiero pech! Zapis mówi o awarii sekcji zapisów medycznych komputera, która miała miejsce mniej niż godzinę temu. Uległa zniszczeniu grupa rekordów, zawierająca interesujący nas plik.

Larsen był załamany. Z goryczą potrząsnął głową.

— Fatalny moment na awarię, Bey. Odtworzenie takich rzeczy to okropny kłopot. Musimy zadzwonić do Szpitala Centralnego i poprosić o ponowny test identyfikacyjny przeszczepionej wątroby. Nic będzie im się to podobało, ale jeśli uda się nam skontaktować z doktorem Morrisem z Oddziału Transplantacji, to pewnie dostaniemy zgodę.

— Jeszcze dziś wieczorem?

— Nie — przepraszającym tonem odpowiedział Larsen. — To niemożliwe. Już prawie jedenasta, a Morris pracuje na dziennej zmianie. Do jutra nic się nie da zrobić. Możemy co najwyżej zadzwonić i zostawić wiadomość. Odbierze ją dopiero rano.

Usiadł przy przekaźniku video i już zaczął się łączyć ze szpitalem, ale nagle przyszło mu do głowy inne wyjście.

— A może chcesz tam pójść rano i sprawdzić samemu? Tak będzie nawet szybciej.

Wolf wzruszył ramionami.

— Właściwie czemu nie? I tak wieczór już za nami, odłożmy więc wszystko do jutra.

Larsen znowu zaczął się usprawiedliwiać.

— Prawdopodobieństwo utratyżądanego zapisu w taki właśnie sposób wynosi chyba jedną milionową.

— Jeszcze mniej, John. Zapisy tymczasowe kopiuję się do pliku wzorcowego zaraz po wprowadzeniu. W ten sposób są zawsze zabezpieczone. Awaria musiała nastąpić, zanim sporządzono kopię przeznaczoną do stałego przechowania. Nigdy nie słyszałem o czymś takim. Jest jedna szansa na miliard, może nawet na bilion, aby podobna rzecz się zdarzyła.

Kiedy razem wychodzili na wciąż zatłoczoną ulicę, Wolf miał twarz zamyśloną i niezadowoloną jednocześnie.

— Nie jadłem obiadu i odwołałem randkę, żeby dokładnie zbadać tę sprawę — pozałił się Larsen. — Wyobraź sobie, że w ogóle od rana nie wychodziłem z biura. Jest coś nowego na chodnikach?

Wolf uśmiechnął się.

— Jeśli jak zwykle chodzi ci o kobiety, to nie za bardzo się im przyglądałem. Mimo to zauważyłem po południu kilka nowych typów. Wzory żywcem wzięte ze starej Persji. Fantastyczne oczy. Byłoby miło, gdyby się przyjęły i weszły w modę.



Wtopili się w tłum sunący ruchomymi chodnikami. Wolf i Larsen, podobnie jak większość pracowników Kontroli Form, mieli proste kształty, zbliżone do ofiarowanych im przez naturę. Lata treningu w przeformowywaniu i mrozące krew w żyłach spotkania z nielegalnymi formami sprawiły, że zmiana kształtu dla rozrywki stała się dla nich wątpliwą atrakcją. Tylko naprawdę intrygująca forma mogła skusić ich do eksperymentowania. Maszyn biologicznego sprzężenia zwrotnego używano w Biurze Kontroli Form w zasadzie tylko do pracy i dla zdrowia, a prawie nigdy do zabiegów kosmetycznych. Przed pójściem do łóżka Bey użył swego własnego sprzętu do niewielkiej serii ćwiczeń dla krótkowzrocznych i postanowił solennie poddać się — jutro — gruntownemu badaniu lekarskiemu.

### ROZDZIAŁ 3

Zebranie miało trwać godzinę, ale przeciągnęło się znacznie. Zdarzało się to dość często. Z każdym rokiem lista patentów stawała się dłuższa i z każdym rokiem komitet rozstrzygający o tym, czy uznać proponowane formy za legalne, musiał brać pod uwagę coraz więcej nowych czynników.

Robert Capman, przewodniczący komitetu, zerknął na zegarek i ponownie przywołał uczestników zebrania do porządku.

— Panie i panowie, jesteśmy spóźnieni. To będzie dzisiaj nasza ostatnia decyzja. Przejdźmy, proszę, do rozpatrzenia wniosku dwudziestego. Pozwolę sobie streścić go państwu, zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu.

— Forma podstawowa należy do grupy ssaków wodnych. W załączniku występuje się o czternaście wariantów. Twórca form zwraca uwagę, iż jedna z tych odmian ma współczynnik żywotności przekraczający nieco 1. Mówiąc dokładniej, wynosi on około 1,02. Oznacza to przedłużenie życia użytkownika o kilka lat. KUB złożyła już oświadczenie, że miałyby chęć zająć się tą formą i wszystkimi wariantami — byłyby to Programy Typu 1, legitymujące się pełnymi jej gwarancjami. Chciałbym usłyszeć, co państwo o tym sądzicie.

Capman przerwał. Posiadał on szczególnie dar, częściowo instynktowny, częściowo będący rezultatem doświadczenia, który pozwalał mu zachowywać pełną kontrolę nad przebiegiem zebrania. Na drugim końcu długiego stołu spostrzegł nagle ożywienie.

— Tak, profesorze Richter? Ma pan jakąś uwagę?

Richter, szczupły mężczyzna ze starannie utrzymaną czarną brodą, odchrząknął trochę nerwowo.

— Raczej pytanie. Z wniosku wynikałoby, że formę podstawową można uzyskać w czasie interakcji maszynowej krótszym niż dwieście godzin. Zdaję sobie sprawę, iż poza skórą i oczami główne zmiany zewnętrzne polegają po prostu na wyposażeniu formy ludzkiej w skrzelą, jednak podany czas interakcji wydaje mi się zbyt krótki. Kwestionuję jego dokładność.

Capman uśmiechnął się i pokiwał głową.

— To bardzo istotne spostrzeżenie, Jacob. O tym samym myślałem czytając wniosek.

Richter był mile połączony pochwałą przewodniczącego.

— Jednakże — ciągnął Capman — obecnie wierzę, że podany czas odpowiada rzeczywistości. Wygląda na to, że autor wniosku dokonał prawdziwego przełomu. Jak pan wie, zazwyczaj łatwiej otrzymać daną formę, gdy jest ona w jakiś sposób związana z naszą własną historią genetyczną.

Richter z zapalem kiwnął potwierdzająco głową.

— Tak, rzeczywiście. Zawsze uważałem, że właśnie ten fakt jest przyczyną trudności w otrzymywaniu form awiacyjnych. Czy pan sugeruje, że wnioskodawca stworzył formę spo-

krewnioną z formami należącymi do drzewa genealogicznego naszego gatunku?

— Tak mi się wydaje. Myślę, że nie tylko wzbogacił współczesną wiedzę o metamorfizie, ale jednocześnie rzucił nowe światło na należące do odległej przeszłości etapy naszej własnej ewolucji.

Po tych słowach wokół stołu nastąpiło wyraźne poruszenie. Rzadko się zdarzało, by Capman przedstawiał swą osobistą opinię o złożonym wniosku, zazwyczaj pozostawiał ocenę komitetowi. Pochwała Capmana miała wielkie znaczenie. Szybko przyznano zgodę na używanie nowej formy. Nic posiadający się z radości autor wniosku otrzymał oficjalne gratulacje od komitetu, po czym opuścił zebranie w stanie błędnego oszołomienia, co nie dziwiło oczywiście nikogo. Decyzja KUB o przyjęciu jego form jako Programów Typu 1 czyniła go w jednej chwili milionerem, jakkolwiek by obliczać honorarium — w ziemskich rijałach, czy w nowych dolarach FPZ.

Gdy tylko odszedł, Capman po raz kolejny przywołał zebranych do porządku.

— Na dzisiaj zakończyliśmy rozpatrywanie wniosków. Jest jednak pewna dodatkowa kwestia, na którą chciałbym zwrócić uwagę państwa, zanim się rozejdziemy. Nie rozwiązaliśmy jej teraz, ale nalegam, by przez te kilka tygodni, jakie nas dzielą od kolejnego zebrania, wszyscy ją dobrze przemyśleli.

Dał znak jednemu z protokolantów i ów wręczył mu plik cienkich folderów. Zostały one szybko rozdzielone pomiędzy członków komitetu.

— Są tutaj pewne szczegóły niezwykłego wniosku, który otrzymaliśmy w ubiegłym tygodniu. Nie przeszedł przez normalne procedury, gdyż po szybkim jego przejrzeniu zdecydowałem, że powinien być rozpatrzony bezpośrednio przez nasz komitet. Współczynnik żywotności jest zbliżony do 1,3.

Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Członkowie komitetu, którzy składali już papiery, przerwali tę czynność i skupili całą uwagę na Capmanie.

— Autor projektu nie podkreśla tego wprawdzie — ciągnął Capman — ale szerokie zastosowanie jego formy mogłoby zwiększyć średnią długość życia do niemalże stu pięćdziesięciu lat. Od strony zewnętrznej forma wygląda normalnie. Zmiany dotyczą głównie szpiku kostnego i gruczołów wydzielania wewnętrznego.

Na drugim końcu stołu Richter znowu podniósł rękę.

— Panie przewodniczący, nalegam na zachowanie ogromnej ostrożności przy omawianiu tej formy gdziekolwiek poza komitetem. Wszyscy możemy wyobrazić sobie, jaka będzie reakcja, jeśli informacje o niej przedostaną się do wiadomości publicznej, i gdy ludzie dostrzegą szansę przedłużenia długości życia o trzydzieści procent. Doprowadziłoby to do chaosu.

Capman pokiwał głową.

— To miał być mój następny punkt. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego trzeba tę formę traktować ze szczególną ostrożnością. Wielu z państwa wie zapewne, że jestem także konsultantem i doradcą technicznym Koordynatorów Generalnych. Największe obawy, jakie budzi we mnie ów wniosek, wiążą się właśnie z tą moją rolą. Szerokie zastosowanie form o tak dużych współczynnikach przetrwania może w efekcie spowodować wzrost ziemskiej populacji do ponad dwudziestu miliardów. Takiej liczby ludności nic będziemy w stanie utrzymać. Jeśli Dolmetsch ma rację, już teraz jesteśmy bardzo bliscy absolutnej granicy równowagi populacyjnej.

Zamknął swój notatnik.

— Z drugiej strony nie mam pewności, czy wolno nam odrzucać wnioski, kierując się takimi argumentami. Wnioskodawca przypuszczalnie zna swoje prawa. Chciałbym usłyszeć waszą opinię na ten temat w przyszłym miesiącu. Myślę, że wszyscy państwo będziecie mieć wystarczająco dużo czasu na przemyślenia. Zamykam posiedzenie.

Uśmiechnął się, dziękując uczestnikom, zebrał swe papiery i pospiesznie wyszedł z sali.

Po chwili opuścili ją także inni członkowie komitetu. Pozostali jedynie protokolanci, którzy musieli jeszcze porównać i poprawić notatki. Młodszy z dwojga przesłuchał nagranie, po czym porównał je z wersją pisemną.

— Widzę jedno zezwolenie bezwzględne — podsumował — dwa warunkowe, uzależnione od wyników dodatkowych testów, i jeszcze dwa wnioski skierowane do dalszych badań, na które przydzielono odpowiednie fundusze. Jeśli dobrze policzyłem, oznacza to piętnaście wniosków odrzuconych.

— Zgadza się. Nie uważasz, że to śmieszne, że za każdym razem wyniki niewiele różnią się procentowo, bez względu na to, jakie wpłynęły wnioski? — Blondynka zatrzepotała na próbę rzęsami i wydeła wargi. Uzyskać zewnętrzną formę Marilyn Monroe było stosunkowo łatwo, lecz umiejętne kopiowanie jej specyficznego zachowania wymagało sporej praktyki. — I jak mi to wyszło?

— Nieźle. Jesteś coraz lepsza, ale to jeszcze niezupełnie to. Kiedy osiągniesz doskonałość, powiem ci o tym. Jak sądzisz, czy powinniśmy dodać parę uwag dotyczących odrzuconych modeli? Co najmniej jeden z nich warto skomentować.

— Wiem, o czym mówisz. Gość, który próbował stworzyć formę z kołami. Nie mam pojęcia, co moglibyśmy umieścić w protokole. „Ogólny, kiepsko ukrywany śmiech wśród członków komitetu”? Ciężko im było zapanować nad sobą, gdy facet podrygiwał i koziołkował po całym pomieszczeniu. Chyba lepiej nic nie pisać. Ciekawe, dlaczego ludzie zadają sobie aż tyle trudu po to, by zrobić z siebie idiotów.

— Daj spokój, Gina, oboje dobrze wiemy, dlaczego.

— Och, chyba masz rację. Zawsze chodzi o pieniądze.

— Oczywiście.

*...czy chciałbyś być bogaty, naprawdę bogaty? Czemu więc nie stworzysz nowej formy, która spełnia powszechnie oczekiwania? Dostaniesz honorarium autorskie od każdego użytkownika...*

Wydawać się to mogło czymś zupełnie łatwym, ale wcale takim nie było. Wszystkie proste formy stworzono już dawno temu. Specjaliści od przeformowywania pracowali nad coraz bardziej egzotycznymi i skomplikowanymi modelami. Każda propozycja musiała spełnić surowe wymagania komitetu decyzyjnego, a tylko jedna na milion okazywała się sukcesem.

*...KUB — sprzeda ci niedrogi zestaw eksperymentalny, który zawiera wszystko, czego potrzebujesz, by uruchomić twój własny program przeformowujący...*

Tak rzeczywiście było. Ale ostatnie zdanie kuszącego tekstu umowy (napisane drobnym drukiem) brzmiało: *...KUB nie bierze odpowiedzialności za ograniczoną żywotność, uszkodzenia ciała lub niestabilności mentalno-biologicznego sprzężenia zwrotnego, mogące wystąpić po eksperymentach przeprowadzonych przy użyciu aparatury KUB...*

A na tego szczęściarza albo spryciarza, któremu — jednemu na milion — udało się stworzyć rzeczywiście udany kształt, czekała ukryta pułapka: forma musiała być sprzedawana za pośrednictwem KUB. Honorarium autorskie włączano w ceny KUB, która zarabiała więcej niż twórca.

Warto było się przyjrzeć choćby paru danym statystycznym. Licencjonowane eksperymenty: 1,5 miliona. Żyjący milionerzy, którzy dorobili się na wynalezieniu nowych form: 146. Roczna liczba śmiertelnych wypadków związanych bezpośrednio z doświadczeniami w przeformowywaniu: 78.000.

Badania nad zmianą kształtów to ryzykowny interes.

Protokolanci nie zdawali sobie sprawy, że na końcowych przesłuchaniach komitetu decyzyjnego widzieli wyłącznie śmietankę — tych, którzy mogli jeszcze chodzić i mówić. Mniej niż jedną pięćdziesiątą kwalifikowano do przesłuchań, a wiele niepowodzeń miało swój finał w bankach organów.

— Gino, powinniśmy dołączyć streszczenie dyskusji wokół wniosku o teście człowie-

czeństwa.

— Chyba tak. Kiedy oni ciągle debatowali na ten temat, ja zredagowałam krótkie podsumowanie. Jak ci się podoba? „Rozpatrzenie propozycji, żeby test człowieczeństwa przeprowadzać w wieku dwóch miesięcy, a nie trzech, jak dotychczas, odroczone do czasu uzyskania dalszych wyników testów”.

— Wydaje mi się, że trzeba dodać więcej szczegółów. Doktor Capman przypomniał, jakie poruszenie wśród grup religijnych wywołał obecnie stosowany test człowieczeństwa, kiedy przedłożono go po raz pierwszy. Rada akceptowała go dopiero wtedy, gdy KUB uzyskała pozytywne rezultaty w stu tysiącach testów.

Szybko znalazł odpowiedni fragment zapisu.

— O, tutaj. A może zacytować dosłownie uwagę Capmana? „Testy człowieczeństwa pozostają nadal sprawą kontrowersyjną. Dopóki nie zostanie przeanalizowana równie duża próbka i nie zostanie wykazana identyczność wyników testów przeprowadzonych w drugim i trzecim miesiącu życia, dopóty wniosek nie może być rozpatrywany”.

Oboje protokolanci byli zbyt młodzi, aby pamiętać wielkie debaty nad istotą człowieczeństwa. Czym jest człowiek? Odpowiedź ewoluowała powoli i upłynęło wiele lat, zanim sformułowano ją przejrzyście, brzmiała jednakże dosyć prosto: osobnik jest istotą ludzką wtedy i tylko wtedy, gdy jest zdolny przeprowadzić świadomie operację przeformowywania przy użyciu systemów biologicznego sprzężenia zwrotnego. Tę definicję przyjęto mimo rozpaczliwego płaczu milionów — miliardów — protestujących rodziców.

Wiek dziecka, które poddawano testowi, powoli obniżano do jednego roku, do sześciu miesięcy, do trzech... Jeżeli KUB lepiej uzasadni swój wniosek, niedługo wiek ten wyniesie dwa miesiące. Negatywny wynik testu pociągał za sobą smutną konsekwencję — eutanazję. Sprzeciwy jednak powoli ustały na skutek bezlitosnej presji wywieranej przez wzrost populacji. Nie istniały po prostu możliwości wykarmienia dzieci, które nie byłyby w stanie prowadzić normalnego ludzkiego życia. Bankom nigdy nie brakowało organów dziecięcych.

Gina wyłączyła odtwarzacz. Krągłym przedramieniem odrzuciła jasne włosy i obrzuciła kolegę przeciągłym spojrzeniem.

— Jeszcze nie całkiem tak — ocenił krytycznie. — Powinnaś bardziej omdlewająco opuścić powieki i mocniej wyduć dolną wargę.

— Cholera. To jest trudne. W jaki sposób się dowiem, że robię to już dobrze?

Podniósł swój magnetofon.

— Nie martw się. Mówiłem ci, poznasz po mojej reakcji.

— Wiesz co, chyba powinnam sprawdzić na doktorze Capmanie. To byłby ostateczny test, no nie?

— Nic z tego by nie wyszło. Wiesz, że dla niego istnieje wyłącznie praca. Na inne rzeczy pozostają mu pewnie najwyżej dwie minuty dziennie. Ale jeżeli masz kłopoty z hormonami w swej obecnej formie, to może mógłbym ci pomóc.

Było to powiedziane tylko w połowie żartem.

Odpowiedzi Giny na próżno szukałoby się w standardowej bazie danych modeli Marilyn.

Lampki wskaźników na stanowiskach eksperymentalnych jarzyły się miękkim światłem. Ciszę zakłócał jedynie monotony szum urządzeń dostarczających powietrze i pożywienie oraz klekot zaworów ciśnieniowych umieszczonych w komorach. Samotny mężczyzna siedzący przy konsoli kontrolnej raz jeszcze spojrzał na zapis przebiegu doświadczeń.

Trzeba będzie przerwać nieudany eksperyment na stanowisku jedenastym. Znow ból po utracie starego przyjaciela... Ile razy jeszcze?... Całe szczęście, że następny eksperyment przebiega pomyślnie. Być może jest już bliski rozwiązania problemu, być może uda mu się ziszczyć marzenia pięćdziesięciu lat...

Nie bez wahania zdecydował się na swą zewnętrzną formę. Wydawało się rzeczą naturalną, że największy uczonego wieku dwudziestego drugiego składał hołd gigantowi wieku dwudziestego. Ale jak jego idol potrafił znieść ciężar odpowiedzialności za Hiroszimę i Nagasaki? Oddałby wiele za wyjaśnienie tej tajemnicy.

## ROZDZIAŁ 4

Nieoczekiwana utrata zestawu danych zawierającego nieznaną kod identyfikacyjny wątroby dręczyła podświadomość Beya przez całą noc. Kiedy rankiem wkraczał do Biura Kontroli Form, na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Gdy po paru minutach wyruszyli obaj w kierunku Szpitala Centralnego, Larsen, widząc minę kolegi, uznał niesłusznie, że Bey jest zirytowany stratą czasu poprzedniego wieczoru.

— Jeszcze tylko godzina lub dwie — powiedział — i będziemy mieć niezbitą dowód.

Wolf myślał przez chwilę w skupieniu, gryząc wargę.

— Być może, John — odpowiedział wreszcie. — Ale nie bądź tego taki pewien. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale wygląda na to, że zawsze, gdy trafia mi się naprawdę ciekawy przypadek, zaczynają działać jakieś dziwne moce i odbierają mi go. Pamiętasz, jak było ze sprawą Kopuły Rozkoszy?

Larsen bez słowa skinął głową. To była poważna sprawa i niewiele brakowało, by obaj podali się do dymisji właśnie z jej powodu. W Antarktyce przeprowadzono niedozwolone przeformowania w celu rozbudzenia osłabionych apetytów seksualnych czołowych postaci życia politycznego. Wyszedłszy od kawałka wężowej skóry znalezionej w Madrycie, Wolf i Larsen krok po kroku podążali za tropem i byli już bliscy ostatecznego rozwiązania, gdy nagle centrala nakazała im przerwać śledztwo.

Całą aferę wyciszono, nikt nie poniósł żadnych konsekwencji. W tej specyficznej grze musieli uczestniczyć niezwykle ważni gracze.

Jadąc ruchomymi chodnikami w stronę szpitala, obaj mężczyźni uspokajali się powoli, na co istotny wpływ miało otoczenie. Błękitne, szklane ściany domów nowego miasta pojawiały się coraz rzadziej. Budynki były szare i odrapane. Mieszkańcy sprawiali takie wrażenie, jakby starali się przemieszczać ukradkiem, brud i śmieci rzucały się wyraźnie w oczy. Szpital Centralny stał na samym brzegu Starego Miasta, w miejscu, gdzie bogactwo i sukces ustępowały biedzie i nieszczęściu. Ludzi z tej dzielnicy z reguły nie stać było na programy i aparaturę KUB. W czeluściach Starego Miasta przestarzałe ludzkie kształty wiodły ponurą egzystencję tuż obok nieszczęsnych ofiar nieudanych eksperymentów z przeformowywaniem, którym udało się jakoś przeżyć.

Wreszcie wyłonił się przed nimi olbrzymi gmach szpitala. Bardzo stary, zbudowany z szarego kamienia, wyglądał jak potężna forteca broniąca nowego miasta przed starym. To właśnie w tym gmachu testowano pierwsze formy KUB. Było to dawno temu, jeszcze przed upadkiem Indii — ale ludzie wciąż pamiętali o przełomowym znaczeniu przeprowadzonych tu badań. Wszelkie propozycje, by szpital zburzyć i zbudować na jego miejscu inny, bardziej nowoczesny, zostały odrzucone. Był to obecnie jakby pomnik postępu w dziedzinie przeformowywania.

Po wejściu do głównego hallu obaj mężczyźni zatrzymali się i rozejrzeli wokoło. Szpital tętnił życiem, toczącym się w szalonym tempie, a jego organizacja przypominała mrowisko. Napisy informacyjne jaśniejące przed stanowiskiem recepcjonisty skrzyły się wszystkimi kolorami tęczy; przypominało to pulpity sterownicze ośrodków kontrolnych w portach kosmicznych.

Młody człowiek siedzący przy konsoli nie zwracał na nich w ogóle uwagi. Oddawał się spokojnie lekturze grubej książki w niebieskiej oprawie — jeśli czegoś potrzebowano by od niego, usłyszałby sygnał dźwiękowy. Uniósł wzrok dopiero wtedy, gdy Wolf i Larsen stanęli

tuż przy nim.

— Czy mogę panom w czymś pomóc? — zapytał.

Wolf skinął głową, a potem spojrzał nań uważnie.

Twarz, która uniosła się znad książki, wydała mu się nagle dziwnie znajoma, ale w jakiś szczególny sposób. Bey miał uczucie, że choć nigdy tego mężczyzny nie spotkał, widział go już kiedyś na hologramie.

— Jesteśmy umówieni z doktorem Morrisem z Oddziału Transplantacji — powiedział Larsen. — Skontaktowałem się z nim dziś z samego rana i prosiłem o przeprowadzenie pewnych testów identyfikacyjnych. Powiedział, żebyśmy przyszli o dziesiątej. Jesteśmy nieco wcześniej.

Kiedy Larsen mówił, Wolfowi udało się przyjrzeć dokładnie książce leżącej przed nimi na biurku. Już dawno nie widział, by ktoś czytał oprawny tom. Spojrzał na otwarte kartki, które, sądząc po ich wyglądzie, były bardzo stare i sporządzone z drzewnej celulozy. Bey słowo po słowie odczytał tytuł. (Kosztowało go to trochę wysiłku, ponieważ recepcjonista odwrócił książkę do góry nogami.) *Tragiczne dzieje doktora Fausta* Christophera Marlowe'a. Nagle spłynęło olśnienie. Popatrzył znowu na mężczyznę za biurkiem, który tymczasem wyjął lokalizator, wcisnął na nim kilka klawiszy i podał go Larsenowi.

— Proszę postępować zgodnie ze wskazówkami, które będą wyświetlane na tym urządzeniu, w ten sposób traficie panowie do pokoju doktora Morrisa. Gdy będziecie wychodzić, oddajcie mi je, proszę. Aby tu wrócić, wystarczy wcisnąć klawisz POWRÓT.

Larsen wziął lokalizator, a Wolf pochylił się nad biurkiem i zapytał:

— William Szekspir?

Recepcjonista spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Tak, ma pan rację. Nie rozpoznaje mnie nawet jeden na dziesięć tysięcy odwiedzających. Skąd pan wiedział? Może sam pan jest poetą lub dramaturgiem?

Wolf potrząsnął głową.

— Niezupełnie. Po prostu miłośnikiem historii, interesującym się także bardzo twarzami i kształtami. Przypuszczam, że ma pan z tą formą dodatnie sprzężenie zwrotne, bo inaczej by pan jej nie używał. Czy bardzo panu pomogła?

Recepcjonista zastanawiał się przez chwilę, marszcząc wysokie czoło, po czym wzruszył ramionami.

— Jeszcze za wcześnie, bym potrafił odpowiedzieć. Chciałbym wierzyć, że naprawdę działa zgodnie z moimi oczekiwaniami. Uznałem, że warto spróbować, chociaż z tego co wiem, teoretycy przeformowywania oceniają szanse na sukces raczej sceptycznie. Przecież sportowcy wykorzystują jako wzory swych form repliki ciał byłych mistrzów, dlaczego więc ta sama metoda nie miałaby przynieść właściwych efektów w przypadku artystów? Nie było łatwo przyjąć tę formę, ale postanowiłem zachować ją co najmniej przez rok. Jeżeli do tego czasu nie poczynię prawdziwych postępów, chyba wrócę do mej poprzedniej.

Larsen był zdziwiony.

— Dlaczego nie pozostanie pan w obecnej formie? Jest zupełnie dobra. Jest...

Gwałtownie przerwał, bo Bey szybko kopnął go pod biurkiem. Przez chwilę patrzył uważnie na Wolfa, po czym znowu odwrócił się do recepcjonisty.

— Przepraszam — powiedział. — Mam dzisiaj jakieś zaćmienie umysłu.

Spojrzenie recepcjonisty wyrażało rozbawienie i zakłopotanie zarazem.

— Nie uraził mnie pan — odrzekł. — Dziwię się po prostu, że ktokolwiek w ogóle był w stanie to zauważyć. Czy to aż tak się rzuca w oczy? — ze smutkiem popatrzył na swoje ciało.

Bey zaprzeczył energicznym gestem dłoni.

— Ależ nie — zapewnił. — Proszę nie zapominać, że jesteśmy z Biura Kontroli Form. Musimy przyglądać się napotykanym kształtom znacznie czujniej niż inni — to należy do na-

szych obowiązków zawodowych. Moją uwagę zwróciło tylko jedno — pański sposób bycia. Nie przystosował się pan jeszcze w pełni do nowej formy. Zachowywał się pan wobec nas trochę po kobiecemu.

— Chyba istotnie nie przywykłem jeszcze do formy męskiej. To jest trudniejsze, niżby się mogło wydawać. W ciągu kilku tygodni przyzwyczajasz się do nowych kawałków i odzwyczajasz od starych, ale głupiejiesz zupełnie podczas kontaktów z innymi ludźmi. Jeśli będziecie mieć kiedyś trochę wolnego czasu, mogę wam opowiedzieć różne rzeczy o zmianach w moim życiu seksualnym, które innym wydają się niezwykle śmieszne. Teraz i ja się z tego śmieję, a przecież kiedyś wcale nie było mi wesoło.

Zainteresowania Wolfa były bardzo rozległe i gdy jakiś problem go zaciekał, stawał się naprawdę nietaktowny. Nie mógł się powstrzymać i nie zadać następnego pytania.

— Osoby, które poznały życie obu płci, przeważnie wolą żeńską. Czy pańska ocena jest podobna?

— Raczej tak. Co prawda dopiero się uczę radzić sobie ze swoją męskością, ale jeżeli ta zmiana nie da oczekiwanych efektów w mojej twórczości pisarskiej, z radością powrócę do formy kobiecej.

Recepcjonista przerwał i zerknął na stojący przed nim pulpit, na którym żółte i fioletowe lampki zaczęły właśnie mrugać jak szalone.

— Chciałbym porozmawiać kiedyś o waszej pracy, ale w tej chwili muszę wrócić do swojej. Na ósmym poziomie zablokował się transporter, a tam nie ma mechaników. Spróbuję sprowadzić kilka maszyn z Oddziału Partenogenetyki, znajdującego się dwa piętra niżej. — Zaczął naciskać klawisze kontrolera. — Idźcie po prostu tam, dokąd was skieruje lokalizator — powiedział mechanicznie, całkowicie już pochłonięty swym nowym problemem.

— Już ruszamy. Powodzenia w pisaniu! — rzucił Wolf.

Poszli w stronę wind. Kiedy już sunęli w górę, na piąte piętro, Larsen dostrzegł na ciąglej twarzy Wolfa charakterystyczny uśmiezek.

— Bey, o co chodzi? Taką minę miewasz tylko wtedy, gdy przypomina ci się jakiś dowcip.

— Och, nic takiego — odpowiedział Wolf. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. — A przynajmniej mam nadzieję, że nic takiego, ze względu na naszego nowego znajomego. Zastanawiam się, czy on wie, że w swoim czasie wielkim powodzeniem cieszyły się teorie, iż wszystkie dramaty Szekspira napisał ktoś zupełnie inny. Być może powinien upodobnić się raczej do Bacona.

Gdy wchodzili do gabinetu ordynatora Oddziału Transplantacji, na twarzy Beya wciąż jeszcze błąkał się uśmiezek zadowolenia. O jednej rzeczy nie powiedział Larsenowi. Niektóre ze wspomnianych teorii przypisywały autorstwo dzieł Szekspira kobiecie.

— Wątroba należała do dwudziestoletniej kobiety, pracownicy hydroponicznej, której czaszka została zmiażdżona w wypadku przy pracy.

Doktor Morris, szczupły, żywy, niedbale ubrany, oderwał właśnie fragment wydruku z drukarki i podał go Johnowi Larsenowi. Ten spojrział na niego ze zdumieniem.

— Ależ to niemożliwe! Zaledwie wczoraj testy identyfikacyjne dały zupełnie inny wynik. Doktorze, musiał się pan pomylić.

Morris zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

— Obserwował pan cały proces badawczy. Był pan tutaj, gdy przeprowadzaliśmy mikrobiopsję przeszczepionej wątroby. Widział pan, jak przygotowywałem i wprowadzałem próbkę do analizy chromosomowej. Widział pan też na własne oczy dopasowanie komputerowe, które właśnie panu dałem. Panie Larsen, niczego więcej nie robiłem, nie było więc żadnych innych potencjalnych źródeł błędu. Ma pan rację, rzeczywiście mamy do czynienia z pomyłką. Tyle że popełnił ją ów student medycyny, który złożył doniesienie.

— Ale on twierdził, że przeprowadził test trzykrotnie!

— W takim razie zapewne trzy razy przeprowadził go źle. Powtarzanie własnych błędów jest czymś całkiem zwyczajnym. Wierzę, że pan tego nie zrobi.

Zdenerwowany i zakłopotany Larsen dostał wypieków na twarzy, a Morris, błąd z przepracowania, był wyraźnie obrażony, uznał bowiem, że niefrasobliwie zmarnowano jego cenny czas. Wolf spróbował rozładować napiętą atmosferę.

— Zastanawia mnie jedno — powiedział. — Dlaczego użył pan przeszczepu, doktorze. Czy nie łatwiej byłoby odtworzyć zdrową wątrobę za pomocą maszyn biologicznego sprzężenia zwrotnego?

Morris uspokoił się trochę. Nie zdziwiło go, że specjalista od przeformowywania mógł zadać tak naiwne pytanie.

— Rozumuje pan zupełnie prawidłowo. Używamy przeszczepów z dwóch powodów. Zdarza się, że oryginalny organ został tak poważnie uszkodzony, iż nie ma czasu na zastosowanie programów odtwarzania. Częściej jednak jest to kwestia szybkości i wygody.

— Ma pan na myśli okres rekonwalescencji?

— Oczywiście. Gdybym miał panu dostarczyć nową wątrobę z przeszczepu, kosztowałoby to pana maksimum sto godzin pracy z maszynami biologicznego sprzężenia zwrotnego. Musiałby pan zmienić swoje reakcje immunologiczne i równowagę chemiczną organizmu — to byłoby wszystko. Być może udałoby się panu zmieścić nawet w pięćdziesięciu godzinach interakcji. Gdyby jednak zależało panu na odtworzeniu całej wątroby, a nie chciałby pan czekać na jej naturalną regenerację (która w wypadku tego organu w końcu by nastąpiła), musiałby się pan wówczas nastawić na co najmniej tysiąc godzin pracy z maszynami.

Wolf pokiwał głową.

— Teraz rozumiem. Ale czy nie dokonał pan identyfikacji wątroby, o której mówimy, jeszcze przed rozpoczęciem całej procedury?

— Mamy nieco inny system pracy. — Morris podszedł do ekranu ściennego i wyświetlił na nim schemat przebiegu operacji. — Najłatwiej będzie mi to wyjaśnić na diagramie. Pobrany od dawcy organ znajduje się początkowo pod kontrolą człowieka. Następnie, jak to widać na schemacie, nadzór przejmuje komputer. Przeprowadza on testy w celu określenia tożsamości, sprawdza najważniejsze cechy zarówno narządu, jak i dawcy, ustala miejsce, gdzie organ będzie przechowywany i tak dalej. Wszystkie te informacje są zapisywane w bankach pamięci. Kiedy potrzebujemy jakiegoś narządu, na przykład wątroby, komputer porównuje informacje na temat stanu pacjenta i jego typu fizjologicznego z danymi wszystkich wątrób znajdujących się w tym momencie w banku organów, po czym wybiera najbardziej odpowiednią dla danej operacji. Cały proces, poza początkowym dostarczeniem narządu, jest zautomatyzowany, tak więc problem przeprowadzenia identyfikacji nigdy się nie pojawia.

Odszedł od ekranu i spojrzał pytająco na Wolfa, który, sądząc po wyrazie twarzy, nadal myślał o czymś intensywnie.

— Twierdzi pan zatem, doktorze — powiedział Bey — że wszystkie bez wyjątku narządy, które trafiają do banku organów, zostają uprzednio poddane testom identyfikacyjnym?

— Tak, jeśli mówimy o narządach osób dorosłych. Oczywiście dysponujemy też narządami niemowląt, bez określonej tożsamości. Osobnikom, które uzyskały negatywne wyniki w teście człowieczeństwa, nie daje się nigdy kodu identyfikacyjnego. Komputer tworzy dla nich w bazie danych oddzielny plik zawierający informacje o ich organach.

— A zatem jest taka możliwość, że w banku narządów znajduje się wątroba bez identyfikacji.

— Wątroba niemowlęcia, które nie przeszło pozytywnie testu człowieczeństwa. Panie Wolf, widzę, do czego pan zmierza, ale zapewniam pana, że to nic nie da. — Morris zasiadł za podłużnym stołem naprzeciwko Wolfa i Larsena. Poglądził wystającą szczękę, po czym zerknął na zegarek. — Za chwilę będę się musiał zająć rzeczami naprawdę ważnymi, ale



zdamę jeszcze wyjaśnić wam podstawowe fakty. Jak sami widzieliście, pacjentka, dla której przeznaczono wątrobę, to młoda dorosła kobieta. Użyty organ był w pełni, albo prawie w pełni rozwinięty. Stwierdziłem to osobiście w momencie operacji. Z całą pewnością nie pochodził od niemowlęcia. Nigdy zresztą nie korzystamy z narządów niemowlęcych, jeśli nie chodzi o operację dziecka.

Zrezygnowany Wolf wzruszył ramionami.

— Cóż, to byłoby wszystko. Nie chcemy zabierać panu więcej czasu. Przepraszam za ten cały kłopot, ale musimy sumiennie wypełniać nasze obowiązki.

Wolf i Larsen podnieśli się od stołu i ruszyli w stronę drzwi. Zanim jednak tam dotarli, do sali wszedł siwowłosy mężczyzna i pomachał ręką na powitanie Morrisowi.

— Cześć, Ernest — powiedział. — Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale wyczytałem w księdze wizyt, że masz gości z Kontroli Form, pomyślałem więc, że wpadnę na chwilę i dowiem się, o co chodzi.

— Panowie akurat wychodzili — odrzekł Morris. — Panie Wolf, panie Larsen, chciałbym przedstawić was dyrektorowi Szpitala Centralnego, Robertowi Capmanowi. Robercie, zaskoczyłeś mnie swoją wizytą. Zgodnie z planem na dzień dzisiejszy masz o tej porze spotkanie z członkami Komitetu Budowy.

— Zgadza się. Właśnie tam idę. — Capman obrzucił Wolfa i Larsena szybkim, ale przenikliwym spojrzeniem. — Mam nadzieję, że panowie uzyskali informacje, o które im chodziło.

Bey uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Niestety nie całkiem takie, jakie spodziewaliśmy się otrzymać. Wygląda na to, że znaleźliśmy się w ślepym zaułku.

— Przykro mi to słyszeć — odwzajemnił uśmiech Capman. — Jeśli będzie to dla was jakąś pociechą, mogę tylko powiedzieć, że w naszej pracy takie sytuacje zdarzają się niemal ciągle.

Znowu obrzucił Wolfa i Larsena szybkim spojrzeniem, tym razem dziwnie niechętnym. Bey natychmiast stał się bardzo czujny. Przez kilka sekund przyglądał się badawczo Capmanowi. Dyrektor wskazał nagle głową na zegar ścienny i pomachał ręką na pożegnanie.

— Muszę już iść. Za cztery minuty powinienem wygłosić oświadczenie na spotkaniu z komitetem.

— Jakież problemy? — spytał Morris.

— Zawsze te same. Kolejna propozycja, aby zburzyć Szpital Centralny i przenieść nas na pas zieleni, z dala od niebezpiecznych dzielnic miasta. Jeśli cię to interesuje, na kanale dwudziestym trzecim programu wewnętrznego będzie transmisja z posiedzenia.

Odwrócił się i wybiegł z sali. Wolf uniósł brwi.

— Czy on zawsze tak się śpieszy?

Morris przytaknął.

— Zawsze. To zdumiewające, ilu obowiązkom jest w stanie podołać. Jak nikt inny łączy w sobie najlepsze cechy teoretyka i eksperymentatora. — Poprzednia irytacja doktora znikła bez śladu. — Powinniście zobaczyć, jak świetnie sobie radzi na trudnych zebraniach.

— Chętnie popatrzę. — Wolf potraktował propozycję Morrisa całkiem serio. — Oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, byśmy pozostali tu jeszcze jakiś czas i obejrzeliby transmisję. Jeszcze jedno pytanie w sprawie wątroby — powiedział umyślnie obojętnym tonem. — A co z dziećmi, których testy człowieczeństwa dały wyniki pozytywne, ale mają jakieś wady wrodzone? Wspomniał pan o używaniu narządów niemowlęcych przy operacjach na dzieciach. Czy są one pobierane od osobników, których testy dały wyniki negatywne?

— Przeważnie tak. Ale o co panu chodzi?

— Czy w pewnych wypadkach organy, których potrzebujecie, nie są hodowane w sztucznym środowisku do momentu, gdy osiągną rozmiary odpowiednie dla danego dziecka?

— Wszelkie korekty staramy się przeprowadzać, jeszcze zanim dziecko potrafi chodzić i mówić. Nasza praca zaczyna się natychmiast po zakończeniu testów człowieczeństwa. Ale ma pan rację: zdarza się niekiedy, że wymagany narząd jest rozwijany od rozmiarów niemowlęcych do odpowiednio większych. Do tego celu używamy zapasów z odrzutów po testach człowieczeństwa. Ale takie zabiegi przeprowadza się w Szpitalu Dziecięcym, położonym w zachodniej części miasta. Mają tam specjalne maszyny sprzężenia zwrotnego dziecięcych rozmiarów. Poza tym nasz personel kierując się względami bezpieczeństwa woli dokonywać operacji właśnie tam. Jak dobrze wiecie, za umożliwienie użycia aparatury biologicznego sprzężenia zwrotnego osobom w wieku od dwóch do osiemnastu lat grożą ciężkie kary, choć nie dotyczy to oczywiście operacji korekcyjnych, które są przeprowadzane pod najściślejszą kontrolą. Dlatego wolimy trzymać dzieci z dala od naszego szpitala, aby całkowicie zabezpieczyć się przed możliwością ich przypadkowego kontaktu z aparaturą przeformowującą.

Morris odwrócił się w stronę ekranu na ścianie i sięgnął po pilota.

— Panie Wolf, pewnie powinienem podziwiać pański upór, ale zapewniam pana, że prowadzi on donikąd. Czemu, jeśli wolno zapytać, tak bardzo interesują pana dzieci?

— W oświadczeniu Luisa Rad-Kato — tego studenta medycyny — był jeszcze pewien szczegół. Napisał on mianowicie, że oprócz testu identyfikacyjnego dokonał także badania wieku organu. Określił ten wiek na dwanaście lat.

— To tylko dowód, że nie wie o czym mówi. U nas nie ma narządów pochodzących od młodocianych dawców. Taka rzecz mogłaby się zdarzyć tylko w Szpitalu Dziecięcym. Trafnie pan to ujął w rozmowie z Capmanem: jest to próba wyjścia ze ślepego zaułka. Radziłbym panu nie marnować czasu i poświęcić go innym sprawom.

Gdy Morris wypowiedział te słowa, na ekranie pojawił się program kanału dwudziestego trzeciego. Trzej mężczyźni przerwali rozmowę i zaczęli oglądać transmisję.

— Celowo wybrałem moją formę mężczyzny w średnim wieku.

W ciągu kilku minut, jakie minęły od chwili, gdy opuścił Oddział Transplantacji, Capman zdążył zmienić lekarski kitel na elegancki garnitur. Słuchający go członkowie komitetu mieli na sobie podobne, wytworne stroje; byli to przeważnie biznesmeni.

— W rzeczywistości — mówił dalej Capman — jestem dosyć stary; starszy od was wszystkich. Na szczęście pochodzę z długowiecznej rodziny i dlatego wierzę, że mam przed sobą jeszcze co najmniej dwadzieścia lat aktywnego życia. Co więcej, zostałem obdarzony znakomitą pamięcią, dzięki temu moje doświadczenia są nadal żywe. Właśnie tymi doświadczeniami chciałbym się z wami podzielić.

— Uderza w wysokie tony — mruknął Morris cicho. — Nigdy nie zachowuje się tak pompatycznie tu, w szpitalu. Zawsze dobrze wie, do kogo mówi.

— Jest chyba rzeczą bez znaczenia, ile dokładnie mam lat — ciągnął Capman — ale pamiętam dobrze dni, kiedy przedszkolaki nie śpiewały jeszcze piosenki „Lucynka w wodzie”.

Przerwał, aby przeczekać spodziewany szmer zdziwienia wśród słuchaczy. Larsen nachylił się do Wolfa.

— Jak dawno mogło to być, Bey?

Na twarzy Wolfa malowało się zaskoczenie.

— Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, to jakieś sto lat temu. W każdym razie na pewno z górą dziewięćdziesiąt.

Wolf przyglądał się mężczyźnie na ekranie z wciąż rosnącym zaciekawieniem. Capman był naprawdę stary. „Lucynka w wodzie”, opowiadała prawdziwą historię o masakrze spowodowanej przez „Lucynkę”. Liga Wolności Halucynogennej („Lucynka”) zatrąła narkotykami wodociągi w głównych miastach. Wywołało to straszliwy chaos — głód, epidemie i bezmyślne walki zbierały srogi żniwo, prawie miliard ludzi straciło życie. W tym okresie — jedyny raz na przestrzeni czterech stuleci — na krótko nastąpiło zahamowanie wzrostu populacji.

— Pamiętam czasy — ciągnął Capman — kiedy nie znano przeformowania kosmetycznego, zaś medyczne było trudne, niebezpieczne i bardzo drogie. Zmiana, jakiej dzisiaj jesteśmy zdolni dokonać w przeciągu tygodni lub nawet dni, wymagała wówczas miesięcy ciężkiej pracy. Identyfikacji dokonywano nadal za pomocą odcisków palców i wzorów głosu, ponieważ prawo wciąż jeszcze nie przyjmowało jakby do wiadomości oczywistego faktu, że osobnik, który może sprawić sobie nową rękę, może także zmienić krtań czy koniuszki palców.

Wolf skrzywił się lekko. Słuchacze Capmana przyjmowali jego słowa za dobrą monetę, ale Bey był niemal całkowicie pewien, że mówca pozwolił sobie na małą *licentia poetica*. Pierwsze eksperymenty, o których wspominał Capman, przeprowadzano już na wiele lat przed tragedią spowodowaną przez „Lucynkę”. W pewnym sensie zresztą wszystko zaczęło się w dziewiętnastym wieku, kiedy to wykonano pierwsze doświadczenie dotyczące regeneracji kończyn płazów. Członki zwierząt niższych odrastają. Członki ludzkie nie. Dlaczego?

Na to pytanie nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi aż do dziewięćdziesiątych lat dwudziestego wieku. Wtedy to w zaskakujący sposób skojarzono dwie dojrzałe i dobrze rozwinięte dziedziny wiedzy — biologiczne sprzężenie zwrotne i sterowanie komputerowe w czasie rzeczywistym.

Już w latach sześćdziesiątych dwudziestego stulecia wiedziano, że za pomocą aparatury świetlnej człowiek może oddziaływać na swój system nerwowy, a nawet modyfikować podstawowe elektryczne fale mózgowe. Wtedy także stworzono oprzyrządowanie, które sterowane numerycznie w czasie rzeczywistym umożliwiało stałe sprzężenie zwrotne elektronicznych sygnałów z komputera. Ergana Melford połączył te dwa podstawowe narzędzia ze sobą.

Najpierw przyszły drobne sukcesy, takie jak odtwarzanie utraconych włosów czy zębów. Choć początki były raczej prymitywne, nowa wiedza i technika rozwijały się powoli, ale stale. Nauczono się odtwarzać zniszczone koniuszki palców, potem pojawiły się programy do korygowania wad wrodzonych, leczenia chorób i kontrolowania degeneratywnych aspektów procesu starzenia się. Większości ludzi prawdopodobnie by to wystarczyło, ale wizje Ergana Melforda sięgały dalej. Kiedy zakładał Korporację Urządzeń Biologicznych miał już jasno określone, długofalowe cele.

Szydło wyszło z worka, kiedy Melford opublikował pierwszy katalog ogólny. Zawierał on listę oferowanych na sprzedaż programów, które pozwalały użytkownikowi zmieniać jego wygląd. Melford dobrze wiedział, że wszyscy ludzie chcieli być wyżsi lub niżsi, piękniejsi, bardziej harmonijnie zbudowani... Zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się możliwość nabywania programów zmiany kształtów, dzięki którym mężczyźni i kobiety stawali się tym, czym być chcieli. KUB, stanowiąca w siedemdziesięciu pięciu procentach własność Ergana Melforda, miała monopol na podstawowe urządzenia i programy, posiadała także wszystkie patenty.

Na ekranie Capman snuł dalej swe wspomnienia.

— W odróżnieniu od większości z was pamiętam niesamowite efekty, jakie uzyskano we wczesnych eksperymentach z przeformowaniami. To było, jeszcze zanim wprowadzono pojęcie „formy nielegalne”. Pojawiła się ogromna fala seksualnych monstrów, wybryków natury, personifikacji najróżnorodniejszych zahamowań całego pokolenia.

Państwo nie pamiętacie czasów przed ustanowieniem Biura Kontroli Form. Ja pamiętam. Był to kompletny chaos.

Larsen zauważył, że Morris obserwuje go kątem oka.

— W naszym biurze sytuacja nadal niewiele odbiega od chaosu. Wciąż widzimy najdziwniejsze formy, jakie można sobie wyobrazić. Podejrzewam, że władze starają się przenieść bałagan z ulic do Biura Kontroli Form.

Wolf uciszył Larsena, zanim ten zdążył przejść do anegdot ilustrujących szczegółowo pracę w biurze. Na ekranie Capman nadal rozbudowywał swą konstrukcję logiczną. Jego postawa i zaangażowanie sprawiały ogromne wrażenie. Bey zaczynał rozumieć, skąd brał się

ów ton głębokiego podziwu i szacunku w wypowiedziach Morrisa i innych pracowników szpitala o ich dyrektorze.

— Te wszystkie rzeczy znam z w ł a s n e g o d o ś w i a d c z e n i a, a nie z relacji innych. Zapewne wy, członkowie komitetu, zastanawiacie się, co to wszystko ma wspólnego z projektem zburzenia Szpitala Centralnego i wzniesienia nowego budynku poza miastem. Otóż ma bardzo wiele. We wszystkich sprawach, o których mówiłem przed chwilą, ten szpital — Szpital Centralny, instytucja zupełnie wyjątkowa — odgrywał kluczową i decydującą rolę. Dla większości ludzi budynek ten stanowi realny pomnik przeszłości przeformowywania. Spora część tejże przeszłości jest kłopotliwa i niepokojąca, a nawet przerażająca, ale nie wolno jej nam zapomnieć, bo jeśli ją zapomnimy, będziemy, być może, musieli ją powtarzać. Cóż mogłoby lepiej przypominać trudną przeszłość niż nieprzerwana obecność naszego budynku, w którym nadal trwa aktywna działalność?... Cóż innego może stanowić lepszą gwarancję tego, że przeformowywanie znajduje się pod właściwą kontrolą i jest dokonywane z odpowiednią troską?...

Capman przerwał na chwilę i przebiegł wzrokiem po twarzach członków komitetu. Każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie patrzył przez moment prosto w oczy, jak gdyby wymuszając w ten sposób poparcie.

— Na zakończenie chcę powiedzieć państwu jeszcze jedno — oznajmił. — Dla mnie pomysł zniszczenia takiego pomnika ludzkiego postępu jest czymś nie do pomyślenia. Absolutnie nie uśmiecha mi się perspektywa pracy w jakimkolwiek innym miejscu. Dziękuję państwu.

Szybko zebrał swoje papiery i skinął głową członkom komitetu. Szedł już w stronę drzwi, gdy rozległy się entuzjastyczne oklaski.

— To był rozstrzygający argument — zauważył Morris. Miał teraz taki wyraz twarzy, jakby sam zamierzał bić brawo. — Zastanawiałem się, czy go użyję. Członkowie komitetu są przerażeni możliwością jego rezygnacji w wypadku, gdyby posunęli się zbyt daleko. Naraziliby się na tyle ataków z innych stron, że nie będą więcej naciskać.

Doktor Morris najwyraźniej zapomniał już całkowicie o swej niedawnej irytacji. Gdy Wolf i Larsen opuszczali szpital, zapewnił ich nawet o swojej gotowości dalszej współpracy w razie, gdyby wyszło na jaw coś nowego. Pożegnali się uprzejmie, lecz gdy tylko obaj mężczyźni znaleźli się na zewnątrz budynku, dali upust swoim emocjom.

— *Tokhmir!* I co robimy dalej, John? Zabrnęliśmy donikąd.

— Tak, wiem. Wydaje mi się, że powinniśmy zakończyć tę sprawę. Rad-Kato pomylił się, a my kręcimy się w kółko. Czy nie odnosisz takiego wrażenia?

— Prawie. Nie mogę uwierzyć w jedno — zwyczajne zaginięcie rekordów z danymi wczoraj wieczorem. Znikły w takim momencie, że musiało to być dokonane celowo. Przyznaję, że dziwne zbiegi okoliczności zdarzają się rzeczywiście, ale staram się przyjrzeć każdemu z nich bardzo dokładnie, zanim uznam, że mam naprawdę do czynienia ze ślepym trafem. Po powrocie do biura skontaktujemy się znowu z Rad-Kato.

## ROZDZIAŁ 5

— Jestem całkowicie pewien, panie Larsen. — Młody student medycyny był najwyraźniej lekko zdenerwowany, ale jego obraz holograficzny pozwalał też dostrzec ostro zarysowaną szczękę i stanowcze spojrzenie. — Wbrew temu, co usłyszeliście od doktora Morrisa — a wydaje mi się, że potrafię odgadnąć, co wam powiedział — zapewniam pana, iż nie popełniłem błędu. Kod identyfikacyjny, który przekazałem panu wczoraj, wyznaczyłem w sposób poprawny. Co więcej, mogę to udowodnić.

Larsen zacisnął wargi i kątem oka spojrzął na stojącego obok Wolfa.

— Przykro mi, Luis, ale zbadaliśmy całą sprawę szczegółowo. Dzisiaj przeprowadzono dla nas mikrobiopsję wątroby użytej do przeszczepu. Byliśmy na miejscu i obserwowaliśmy wszystkie etapy procesu. Otrzymaliśmy inny kod identyfikacyjny, taki, który figuruje w plikach centralnego banku danych.

Rad-Kato był wyraźnie zaskoczony, nie dał się jednak przekonać.

— W takim razie może pomyłono pacjentów albo błędnie przeprowadzono testy.

— Na pewno nie, Luis — Larsen potrząsnął głową. — Mówię ci, przyglądaliśmy się badaniom od początku do końca.

— Mimo to jestem w stanie dowieść, że mam rację. Widzicie, wczoraj wieczorem nie powiedziałem wam o jednej rzeczy, nie myślałem bowiem, że to będzie potrzebne. Po przeprowadzeniu chromosomowego testu identyfikacyjnego zamierzałem również dokonać pełnej analizy enzymowej. Wczoraj wieczorem nie starczyło mi czasu na wykonanie całej pracy, więc przechowałem część próbki w szpitalnej zamrażarce. Chciałem dokończyć robotę dziś wieczorem.

Uszczęśliwiony Wolf klasnął w dłonie.

— To jest to, John! Wspaniała wiadomość! Jak dotąd mieliśmy pieskie szczęście, gdy chodzi o tę sprawę. Słuchaj — zwrócił się do Rad-Kato — czy możesz pozostać tu, gdzie teraz jesteś, dopóki tam nie dotrzemy? Potrzebujemy fragmentu próbki.

— Jasne. Jestem na oddziale zapładniania. Poproszę recepcjonistkę, aby was tam skierowała.

— Nie — właśnie tego nie zrobisz. Nie mów nikomu, nawet własnej matce, że masz tę próbkę. Nie rób nic, co mogłoby sugerować, że interesuje się tym Kontrola Form. Ktoś od nas zjawi się u ciebie w przeciągu dwudziestu minut.

Wolf przerwał połączenie i zwrócił się do Larsena.

— John, czy możesz udać się tam natychmiast i zabrać próbkę tkanki? Przyrowadź ze sobą Rad-Kato i razem wykonajcie test na naszych urządzeniach porównawczych. Poszedłbym z tobą, ale zaczynam się domyślać, o co w tym wszystkim chodzi. Muszę sięść przy terminalu i skorzystać z komputerów. Jeśli mam rację, to ktoś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin musiał się bardzo spieszyć. Chcę się dowiedzieć, kto.

Jeszcze zanim Larsen opuścił pomieszczenie, Wolf odwrócił się do terminalu i rozpoczął wywoływanie plików danych. Oczekiwała go długa i nudna praca, nawet jeżeli miał rację, a z w ł a s z c z a, jeżeli miał rację. Ciągle jeszcze przebijał się przez gmatwaninę oprogramowania zabezpieczającego pliki przed ingerencją z zewnątrz, gdy powrócił Larsen z wynikami testu przeprowadzonego przez siebie na próbce wątroby. Rad-Kato się nie mylił. W swojej analizie nie popełnił błędu, a kod identyfikacyjny wątroby nie figurował w plikach centralnego banku danych. Wolf z satysfakcją pokiwał głową, grzecznie wyprosił Larsena i cierpliwie kontynuował poszukiwania.

W ciągu następnych osiemnastu godzin Bey wstał tylko jeden raz z fotela, po to, aby przejść do szafki z lekarstwami w łazience i zażyć dozę kortaminy, która pozwoliłaby mu nie zasnąć i zachować sprawność umysłu przez całą noc. Sytuacja wyglądała nieźle. Powróciło dobrze znane uczucie podniecenia i oczekiwania. To pomagało bardziej niż proszki.

W odległości trzech mil od biura Wolfa, w sekcji kontroli centralnej ukrytego pod ziemią laboratorium, zaczęły mrugać dwa czerwone światelka, włączył się też cichy, przerywany brzęczyk. Samotny mężczyzna za konsolą polecił komputerowi wyświetlić informacje. Wniosek był prosty. Za pomocą łańcuchów interogacyjnych badano pliki medyczne w centralnym banku danych. Program służący wykrywaniu takich badań miał ponad pięć lat i nigdy dotąd nie był potrzebny. Mężczyzna z satysfakcją pomyślał o swojej zdolności przewidywania.

Można było użyć jeszcze pewnego sposobu, ale to opóźniłoby tylko nadejście kłopo-

tów, a i to w niewielkim stopniu. Mężczyzna w białym kitlu westchnął i wykasował tekst na monitorze. Nadeszła chwila, której oczekiwał, należało zakończyć jedną fazę i rozpocząć następną. Powinien teraz uzyskać połączenie z Tycho City i przyspieszyć zmianę. Na szczęście człowiek, którego potrzebował, powrócił już na Księżyc.

— Siadaj, John. Mam ci coś takiego do powiedzenia, że lepiej abys siedział, gdy to usłyszysz!

Wolf był nie ogolony, podekscytowany i miał podkrążone oczy. Jego pantofle leżały na podłodze, a wokół niego wałały się stosy wydruków. Larsenowi udało się jakoś precyzyjnie do jednego z nielicznych skrawków wolnej przestrzeni przy terminalu.

— A ty sam powinieneś się chyba położyć. Mój Boże, Bey, co ty tu robił? Wyglądasz, jakbyś nie spał przez cały tydzień, tylko ciągle pracowałeś...

— Nie przesadzajmy. Jedynie przez dobę. — Wolf rozparł się wygodnie w fotelu, zmęczony lecz zadowolony. — John, co sobie pomyślałeś, kiedy stwierdziłeś, że Rad-Kato miał rację?

— Wczoraj przez cały dzień musiałem się zajmować innym przypadkiem, więc nie bardzo miałem czas zastanawiać się nad tamtą sprawą. Przez chwilę podejrzewałem, że to Morris zrobił jakiś szwindel z próbką, schował tę prawdziwą i położył na jej miejscu inną. Ale im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej śmieszny wydawał mi się mój pomysł.

Wolf pokiwał głową.

— Nie masz się co wstydzić takich podejrzeń. Mnie również podobne rzeczy przychodziły do głowy. Obaj obserwowaliśmy Morrisa, trudno więc było mu to zrobić. I w ogóle dlaczego miałby chcieć to zrobić? Zacząłem się zastanawiać nad innym wyjaśnieniem. Przypomniałem sobie o błędzie komputera i utracie rekordów, które chcieliśmy przejrzeć pierwszego wieczoru. To było dwa dni temu, prawda?

Wolf znowu wyciągnął się w fotelu.

— A wydaje mi się, że dwa tygodnie. Tak czy inaczej, za pomocą tego terminalu przebadalem statystykę strat rekordów medycznych z powodu awarii komputera, podobnych do tej, jaka się nam przydarzyła. I tu spotkała mnie pierwsza niespodzianka. Zdarzyło się o s i e m d z i e s i ą t takich wypadków. Oznacza to, że straty danych medycznych są średnio d z i e s i ę ć razy większe niż danych innych typów.

— To znaczy, że komputer, który obsługuje bank danych medycznych, jest bardziej zawodny od innych? Nie wydaje się to zbyt prawdopodobne.

— Zgadzam się, ale właśnie taki wniosek pozornie wynikał ze statystyki. Ja również nie mogłem w to uwierzyć i dlatego zacząłem przeglądać rok po roku dane z lat poprzednich. Każdego roku straty danych medycznych były bardzo wysokie w porównaniu z innymi danymi i taki stan utrzymuje się przez ostatnie dwadzieścia siedem lat. Wcześniej straty informacji medycznych były znacznie niższe, na poziomie innych działów.

Wolf poderwał się z fotela i zaczął wędrować tam i z powrotem po zagraconym pomieszczeniu.

— No i co z tego wynika? Wygląda na to, że pewne rekordy medyczne były usuwane celowo. Wróciłem do terminalu i zażądałem spisu tych konkretnych sektorów z danymi medycznymi, które zostały wykasowane. Rok po roku. Rzecz jasna, powstał problem, bo informacje dotyczące przypadkowych rekordów nie mogły być kompletne. Uzyskałem jednak wszystko, co było możliwe, a następnie spróbowałem wydedukować zawartość straconych plików danych.

Larsen pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Bey, to chyba nie jest metoda zbyt wiarygodna. Nie masz żadnego sposobu na to, by zweryfikować swoje wnioski. Musiałbyś mieć kopie skasowanych plików, a ich przecież nie da się uzyskać.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Posłuchaj przyjacielskiej rady, nigdy nie próbuj czegoś podobnego, John. To tak, jakbyś chciał się dowiedzieć, co myśli jakiś facet, na podstawie kształtu jego kapelusza. Sytuacja jest prawie beznadziejna i mogę wyciągnąć tylko najbardziej ogólne wnioski. Po dwudziestu czterech godzinach pracy udało mi się znaleźć cztery odnośniki.

Przerwał, po czym wziął głębszy oddech.

— Oto coś, co mógłbyś spróbować rozgryźć. Czy słyszałeś kiedykolwiek o projektach badawczych o kryptonimach Proteusz, Ryba Płucodyszna, Janus i Regulator Czasu, albo chociaż potrafisz odgadnąć, co mogą one oznaczać?

Larsen zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie mam pojęcia, co mogą oznaczać kryptonimy tych projektów, wiem natomiast z całą pewnością, że nigdy nie słyszałem o żadnych z nich.

— Wcale się nie dziwię, bo ja mógłbym powiedzieć dokładnie to samo. Znalazłem te nazwy, gdy przeglądałem indeks plików opisujących sektory z danymi, a potem pytałem o skasowane rekordy. Poza tym odkryłem jeszcze coś. Wszystkie cztery łączył jeden szczegół — nazwisko szefa projektu.

— Morris?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby to był on. Ale to jeszcze ważniejsza osobistość: Capman. Myślę, że Robert Capman usuwał niektóre rekordy w taki sposób, że wyglądało to na awarię komputera. Mówiłem ci, żebyś usiadł.

Larsen stanowczo pokręcił głową.

— Niemożliwe, Bey. Absolutnie niemożliwe. Zupełnie oszalałeś. Pomyśl tylko, Capman jest dyrektorem szpitala, więc jego nazwisko musi się pojawiać w medycznych informacjach.

— Oczywiście. Ale on nie jest ogólnym koordynatorem tych projektów, lecz głównym szefem zespołu badawczego.

— Mimo to, Bey, nie zgadzam się z tobą. Wszyscy uważają Capmana za jeden z największych umysłów naszego stulecia. Wszystkich stuleci. Może nie?... Jest konsultantem Koordynatorów Generalnych. Jest doradcą technicznym w FPZ. Musisz przedstawić jego motyw. Dlaczego miałby chcieć niszczyć dane, nawet jeśli byłby w stanie to zrobić? Czy mógłbyś podać chociaż jeden sensowny powód?

Wolf westchnął.

— To rzeczywiście cholernie niejasna sprawa. Nie jestem w stanie podać nawet jednego powodu, mogę jednak wskazać na całą serię poszlak, które wskazują na Capmana. Jeżeli akceptujesz teorię wzajemnego wspomagania się materiałów dowodowych, wówczas otrzymasz całkiem przekonujący obraz.

Zaczął odliczać kolejne punkty na palcach.

— Po pierwsze, Capman — w przeciwieństwie do większości ludzi zajmujących się medycyną — jest specem od komputerów. Zna bardzo dobrze zarówno komputery, jak i oprogramowanie używane w Szpitalu Centralnym. Pytałem cię, jak to było możliwe, że test Morrisa dał niepoprawną identyfikację wątroby. Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie. Morris wprowadził próbkę poprawnie — widzieliśmy to obaj, ale zmodyfikowane zostały procedury służące do przeprowadzania identyfikacji. Ktoś wprowadził zmiany w oprogramowaniu, które spowodowały, iż otrzymaliśmy fałszywy wynik. Morris nie miał z tym nic wspólnego. Oczywiście, przyznaję, że takie rozumowanie nie wskazuje z całą pewnością na Capmana. Jest to jedynie luźne przypuszczenie.

Po drugie, Capman przez długi czas zajmował w szpitalu wysokie stanowiska. Obojętne, o co by tu nie chodziło, rzecz zaczęła się co najmniej dwadzieścia siedem lat temu.

— Bey — przerwał Larsen niecierpliwie — nie możesz oskarżać człowieka tylko dlatego, że od dłuższego czasu pracuje w szpitalu. Mówię ci, gdybyś spróbował przedstawić ko-

mukolwiek taki argument, zostałbyś zwyczajnie wyśmiany. Nie masz nawet strzępu dowodu.

— Nie mam dowodów, które mógłbym przedstawić w sądzie, John. Ale pozwól mi mówić dalej. Wszystko do siebie pasuje.

W twarzy Wolfa Larsen dostrzegł coś, co już dawno nauczył się traktować z respektem — wewnętrzne przekonanie o własnej słuszności, będące efektem długich, wnikliwych przemyśleń analitycznych.

— Po trzecie, Capman posiada pełny dostęp do banków przeszczepianych organów. Nie miałby żadnego problemu z dostarczaniem do nich narządów ani z ich pobieraniem stamtąd. Mógłby umieszczać w nich niepotrzebne organy, a prawdopodobieństwo, że ktoś to odkryje, byłoby bardzo małe. Konieczny byłby do tego jakiś zupełnie niezwykły przypadek. Taki, jak przeprowadzenie na chybił trafił testu przez Luisa Rad-Kato.

Jeszcze parę argumentów i będziesz mógł sam się wypowiedzieć. Robert Capman osobiście weryfikuje wyniki testów człowieczeństwa dokonywanych w Szpitalu Centralnym. Tylko Capmanowi udałoby się uniknąć odpowiedzialności za manipulowanie tymi wynikami. Każda inna osoba ryzykowałaby, że zostanie to odkryte, właśnie przez Capmana. Ostatni punkt: obejrzyj schemat organizacyjny szpitala. Wszystkie czynności, o których mówiłem, prowadzą nas do Capmana.

Wolf wyświetlił na ekranie diagram z naniesionymi przez siebie czerwonymi liniami pokazującymi powiązania z Capmanem. Larsen obejrzał go, zachowując niewzruszony sceptycyzm.

— I co z tego, Bey? Oczywiście, że wszystkie linie prowadzą do niego. Do diabła, jest przecież dyrektorem, m u s z ą więc prowadzić do niego! Odpowiada za wszystko, co się dzieje w szpitalu.

Wolf potrząsnął głową ze znużeniem.

— Ciągłe kręcimy się w kółko. Na końcach linii, które narysowałem, znajduje się Capman, ale nie w charakterze dyrektora. Jesteśmy znacznie niżej, na poziomie projektów. Wygląda na to, że interesuje się on osobiście tymi wybranymi działaniami. Dlaczego właśnie nimi?...

Jest jeszcze kilka spraw, którymi nie miałem czasu się zająć. Zbadanie jednej z nich wymaga ponownej wizyty w szpitalu. Podobno Capman ma prywatne laboratorium na pierwszym piętrze, tuż obok swojego mieszkania. Nie wiadomo, co on tam robi, bo poza mechanicznymi sprzątaczkami nikt tam nie wchodzi. Capmanowi wystarczają dwie lub trzy godziny snu na dobę, więc zwykle pracuje samotnie w laboratorium aż do trzeciej czy czwartej nad ranem. Co on tam wyczynia?

Wolf zerknął do notatek.

— To jest mniej więcej wszystko, z wyjątkiem paru punktów, które są mniej oczywiste.

— Mniej oczywiste! — Larsen prychnął z obrzydzeniem, ale Wolf nie pozwolił sobie przerwać.

— Czy nie zdziwiło cię, John, że Capman tak po prostu „wpadł” do Morrisa w czasie, gdyśmy tam byli? Nie miał po temu żadnego powodu — chyba, że chciał sam sprawdzić, czym się zajmujemy... Nie wiem, czy zdawałeś sobie sprawę, iż patrzył na nas jak przez szkło powiększające. Nigdy jeszcze dotąd nie czułem tak wyraźnie, że ktoś mnie poddaje skrupulatnemu badaniu — to była prawie wiwisekcja.

Jeszcze ostatni punkt i już kończę. Przez czterdzieści lat Capman miał pełną kontrolę nad szpitalem. Wszyscy wiedzą, że jest geniuszem, i wykonują jego polecenia nie zadając żadnych zbędnych pytań. Jeżeli choć trochę znam się na ludzkiej psychologii, to ci powiem, że Capman prawdopodobnie uważa się za kogoś, kto stoi ponad prawem obowiązującym zwykłych obywateli.

Larsen z ironią patrzył na Wolfa.

— Wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale teraz poproszę o prawdziwe dowody. Przed-



stawieś masę poszlak. Gdybyś dodał do tego jeden solidny fakt dotyczący tej sprawy, dałbym się nawet przekonać. Jednak wszystko, co powiedziałeś, to tylko przypuszczenia, oparte na intuicji. Zawsze twierdzę, że rzadko się mylisz w swoich domysłach, ale...

Łagodny dźwięk brzęczyka przerwał mu w pół zdania. Wolf wystukał kod na pilocie umieszczonym na przegubie dłoni, po czym umilkł na kilka sekund i wysłuchał przekazu z prywatnej linii podłączonej do wszczepionego mu implantu telefonicznego. Po chwili przerwał połączenie i zwrócił się do Larsena.

— Prawdziwe dowody, John?... Oto twój solidny fakt, fakt niezbity, właśnie taki, o jaki ci chodziło. Telefonował osobiście Steuben i przekazał mi wiadomość z samej góry. Żądają, żebyśmy pomogli — chodzi o nas obu, wymieniono nasze nazwiska — w rozwikłaniu problemu związanego z przeformowywaniem, który ma FPZ w Bazie Tycho.

— Kiedy?

— Natychmiast. Mamy polecenie przerwać wszystkie inne sprawy, którymi się zajmujemy (Steuben ich nie wymienił i podejrzewam, że nawet ich nie zna), i lecieć jutro na Księżyc. Najwyraźniej zażądało nas bezpośrednio Biuro Koordynatorów Generalnych. Czy to tak — że jest, twoim zdaniem, przypadkowy zbieg okoliczności?

— Nie znam nikogo w Biurze Koordynatorów Generalnych, Bey, i jestem całkowicie pewien, że oni też mnie nie znają. A może ty masz tam przyjaciół?

— Absolutnie żadnego. Jednakże ktoś z nich — albo jeden z ich specjalnych konsultantów, na przykład wiadomo kto — chce nas, jak widać, oderwać od sprawy, nad którą pracujemy. A zatem ktoś o nas słyszał i wie także, co teraz robimy. Może chciałbyś się założyć?...

Twarz Larsena przybrała barwę purpury. Jeszcze raz spojrzął na schemat organizacji Szpitala Centralnego z jarzącymi się liniami prowadzącymi do Capmana, po czym zaklął szpetnie.

— Bey, drugi raz się na to nie zgodzę. Sprawa Kopuły Rozkoszy była ostatnią sprawą, którą pozwoliłem sobie odebrać. Ale jesteśmy w pułapce, bo nie możemy odmówić wykonania polecenia służbowego. Nie mamy podstaw, by sądzić, że problem w Bazie Tycho to fikcja. Gdybyśmy mieli trochę więcej czasu... Co można zrobić w jeden dzień?

Wolf był blady, ale gotowy do walki. Podniósł się z fotela.

— Możemy zrobić przynajmniej jedno, John, zanim nas powstrzymają. Możemy obejrzeć prywatne laboratorium Capmana.

— Ale żeby tam pójść, musimy najpierw mieć nakaz rewizji wystawiony przez Biuro.

— Zostaw to mnie. Co prawda dowiedzą się, co robimy, ale na to nie ma rady. Musimy tam dotrzeć dziś po południu, kiedy Morris będzie jeszcze pracował. Nie mam pojęcia, jakie zadanie nas tam czeka, ale może konieczna nam będzie fachowa pomoc.

— Jak myślisz, co tam znajdziemy, Bey?

— Gdybym mógł przewidzieć, nie musielibyśmy tam iść. Czuję to samo co ty — nie chcę pozwolić, by ktokolwiek odsunął mnie od sprawy w taki sposób. Chcę wiedzieć, jaki jest związek między projektami z zaginionych plików — Proteuszem i pozostałymi — a nie dającą się zidentyfikować wątrobą z Oddziału Transplantacji. Mamy niewiele czasu. Proponuję, żebyśmy wyszli stąd za pół godziny.

## ROZDZIAŁ 6

W drodze do szpitala Larsen przez długi czas w ogóle się nie odzywał. Wolf zauważył, że jego kolega ciągle słucha z uwagą wszczepionego modułu telefonicznego. Domyślał się, jaki był tego powód.

— John, czy w domu wciąż bez zmian? — zapytał, gdy Larsen przerwał wreszcie połą-

czeniu.

Larsen potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

— Niestety — odparł ponuro. — Jest z nią coraz gorzej i ona zdaje sobie z tego sprawę. Nadal jest podłączona do aparatury, ale to już nic nie pomaga.

Westchnął głęboko, po czym dodał:

— Wszyscy kochamy babcię, ale nie potrafimy nic poradzić. Jak powiedzieć komuś, kogo się kocha, że najważniejsze, co można zrobić w takiej sytuacji, to odejść z godnością?

Wolf nie potrafił odpowiedzieć na jego pytanie. Był to wielki problem dla każdej rodziny. KUB dała nie tylko odpowiedź na odwieczne pytanie: jak zdefiniować człowieczeństwo; podał także definicję starości. Średnia długość życia ludzkiego nadal wynosiła około stu lat i tyle mniej więcej trwał okres, kiedy człowiek cieszył się dobrym zdrowiem, był w pełni aktywny. I nagle w ciągu jednego dnia mózg tracił zdolność dostosowywania się do profili fal biologicznego sprzężenia zwrotnego. Następowало gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego, gdyż jedno zależało od drugiego. Większość ludzi zaraz po zaobserwowaniu pierwszych objawów decydowała się na wizytę w Klubie Eutan. Garstka nieszczęśników, którzy nie mogli pokonać strachu przed tajemnicą śmierci, staczała się w dół po równi pochyłej do samego jej końca.

Po chwili Larsen przerwał milczenie.

— Wiesz, Bey, nigdy do tej pory nie spotkałem się ze starością. Czy możesz wyobrazić sobie czasy, gdy połowę ludzkości stanowili starzy? Tracić włosy, zęby, wzrok, słuch... — Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. — Tak musiało być kilkaset lat temu. Jak oni mogli to wytrzymać? Dlaczego wszyscy nie powariowali?

Wolf spojrzął na niego uważnie. Spodziewał się trudnych chwil w Szpitalu Centralnym i musiał mieć pewność, że Larsen nie zawiedzie.

— W tamtych czasach ludzie podchodzili do tego zupełnie inaczej, John — powiedział. — Starzenie się uważano za rzecz normalną, a nie za chorobę powodującą degenerację organizmu. Niektóre atrybuty starości traktowano wręcz z szacunkiem, jako oznaki doświadczenia. Przenieś się wyobraźnią jeszcze kilka wieków wstecz. Wtedy dopiero ogarnie cię przerażenie. Średnia długość życia około trzydziestki, żadnych środków znieczulających, żadnych naprawdę skutecznych środków przeciwbólowych, żadnej porządnej chirurgii...

— Masz rację, ale tak jakoś jest, że o tych rzeczach właściwie się nie myśli. Zaczynasz zdawać sobie z nich sprawę dopiero wtedy, kiedy ujrysz coś takiego na własne oczy. To tak, jak kiedy ci opowiadają, że w dawnych czasach niektórzy ludzie byli przez całe życie niewidomi, inni rodzili się z wadą serca, jeszcze inni tracili jakąś kończynę. Nie wątpisz w to, ale też nie jesteś w stanie wyobrazić sobie takiego życia.

Jechali dalej. Po pewnym czasie Wolf odezwał się znowu.

— Tu nie chodzi tylko o problemy fizyczne. Gdyby kształt twojego ciała i twój wygląd były raz na zawsze ustalone w momencie narodzin, pomyśl, ile mógłbyś mieć problemów emocjonalnych i seksualnych!

Przed nimi wyłoniły się znowu kontury Szpitala Centralnego. Zeszli z ruchomych chodników i stanęli przed masywnymi granitowymi kolumnami obramowującymi główne wejście. Każda wizyta w tym budynku budziła w nich zadawnione lęki. To właśnie tu poddawano ich kiedyś testom człowieczeństwa, chociaż oczywiście byli wtedy zbyt mali, by cokolwiek z tego zapamiętać. Larsen ujął Wolfa za ramię i popchnął go w kierunku drzwi.

— Chodź, Bey — powiedział. — Nie będą nas przecież raz jeszcze poddawać testowi. Chociaż wcale nie jestem pewien, czy gdyby doszło do tego, udałoby ci się go zaliczyć. Wiele osób z Kontroli Form twierdzi, że nie całkiem jesteś człowiekiem. Skąd się bierze ta twoja niesamowita umiejętność wykrywania niedozwolonych form? Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie umiem odpowiedzieć.

Wolf spojrzął ostro na Larsena, ale szybko się zreflektował i wybuchnął śmiechem.

— Mogliby mieć wyniki nie gorsze ode mnie, gdyby stosowali te same metody i pracowali równie ciężko. Szukam zawsze jakichś osobliwości — w wyglądzie, brzmieniu głosu, ubiorze, sposobie poruszania, nawet zapachu — słowem czegokolwiek, co nie pasuje do reszty. Po kilku latach pracy stało się to moim podświadomym nawykiem. Czasami sam nie potrafię powiedzieć, który szczegół zdradził mi niedozwoloną formę. Dopiero po fakcie zaczynam się nad tym zastanawiać.

Przeszli przez szerokie szpitalne drzwi. Dyżur pełnił znajomy recepcjonista. Na ich widok uśmiechnął się szeroko.

— Musieliście panowie zrobić wrażenie na doktorze Capmanie. Polecił mi przekazać wam ten kod, który można stosować w całym szpitalu. Powiedział, że będzie wam potrzebny.

Uśmiechając się, wręczył Wolfowi ośmiocyfrowy kod do urządzeń cyfrowych. Wolf popatrzył na Larsena ze zdumieniem.

— John, czy dzwoniłeś i zapowiadałeś nasze przybycie?

— Nie. A ty?

— Pewnie, że nie. Skąd on, u diabła, mógł...

Wolf przerwał i szybko podszedł do pulpitu informacyjnego na ścianie. Gdy tylko wprowadził kod, na ekranie pojawiła się krótka wiadomość: PANOWIE WOLF I LARSEN MAJĄ MIEĆ UDOSTĘPNIONY WSTĘP NA WSZYSTKIE ODDZIAŁY SZPITALA. CAŁY PERSONEL PROSI SIĘ O JAK NAJDALEJ IDĄCĄ POMOC W DOCHODZENIU PROWADZONYM PRZEZ BIURO KONTROLI FORM. JEST TO POLECENIE DYREKTORA ROBERTA CAPMANA.

Zdumienie i gniew odbiły się na twarzy Larsena.

— On nie mógł przecież wiedzieć, że tutaj przyjdziemy. Zdecydowaliśmy się zaledwie pół godziny temu!

Wolf kroczył już w stronę windy.

— Możesz w to wierzyć lub nie, John, ale jakoś się dowiedział. Kiedyś poznamy rozwiązanie tej zagadki. Chodź!

W momencie gdy wchodzili do windy, wpadł na nich doktor Morris.

— Co się tutaj dzieje?! — wyrzucił z siebie podnieconym głosem. — Pół godziny temu Capman odwołał wszystkie swoje spotkania. Kazał mi czekać tutaj na was. To coś niesłychanego!

W oczach Wolfa dostrzec można było zniecierpliwienie i niepokój.

— Nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia, ale potrzebujemy pomocy. Gdzie się znajduje prywatne laboratorium Capmana? Gdzieś na tym piętrze, prawda?

— Tak, to tamte drzwi. Ale nie może pan tam wejść. Obowiązuje surowe rozporządzenie dyrektora, nie wolno mu przeszkadzać. Nikt...

Przerwał, gdyż Wolf już odsunął drzwi, za którymi, jak się okazało, mieścił się niewielki gabinet. Nie było tu nikogo. Wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. Morris i Larsen weszli za nim.

— Gdzie jest ta prywatna pracownia? — spytał Wolf ponownie doktora.

— Zaraz obok.

Morris poprowadził ich do sąsiedniego pomieszczenia, w którym znajdowało się małe, ale nowoczesnie wyposażone laboratorium. Tu również nie było nikogo. Zaczęli pośpiesznie przeszukiwać oba pokoje. Za drzwiami szafy, stojącej w rogu pracowni, Larsen odkrył windę.

— Doktorze, gdzie można nią dotrzeć?

— Skądże ja mam wiedzieć?... W ogóle nie miałem pojęcia, że ona tutaj jest. Pewnie pozostała z czasów, kiedy nie było jeszcze nowych szybów. Zbudowano je ponad trzydzieści lat temu.

Winda miała tylko jeden guzik. Larsen nacisnął go i trzech mężczyźni w milczeniu zaczęli opadać w dół. Morris po cichu odliczał piętra. Gdy winda wreszcie stanęła, zastanawiał

się nad czymś przez chwilę, a potem skinął głową.

— Jeśli się nie pomyliłem, jesteśmy cztery piętra pod poziomem ziemi. Nigdy nie słyszałem o żadnych pomieszczeniach szpitalnych znajdujących się tak głęboko. Muszą być bardzo stare, jeszcze sprzed czasów kiedy zacząłem tu pracować.

Sala, do której weszli, wysprzątana i niedawno odmalowana, nie wyglądała jednak wcale na starą. W jej drugim końcu znajdowały się duże sklezione drzwi z wbudowanym zamkiem szyfrowym. Wolf przyglądał im się przez chwilę, po czym odwrócił się do Larsena.

— Nie mamy chyba wyboru. Całe szczęście, że to dawny model. Dasz sobie radę, John?

Larsen zbliżył się do drzwi. Przez parę minut spokojnie je badał, wreszcie skinął głową i zaczął delikatnie przesuwac tarcze kombinacyjne, co chwila robiąc przerwy i sprawdzając coś na kieszonkowym komputerze. Po dwudziestu minutach intensywnej pracy wziął głęboki oddech i ustawił pełną kombinację. Szarpnął lekko, chwila niepewności i oto drzwi otwały się posłusznie. Cała trójka znalazła się w jakimś długim, słabo oświetlonym pomieszczeniu.

Morris od razu zauważył rzędy ogromnych zamkniętych zbiorników ustawionych wzdłuż obu ścian mrocznej sali.

— Ich nie powinno być tutaj! To są specjalne komory przeformowujące. Przypominają inkubatory, w których umieszcza się niemowlęta urodzone z wadami, ale są dziesięć razy większe. Takie urządzenia nie mają prawa znajdować się w naszym szpitalu!

Szybko obszedł całą salę, obejrzał każdy zbiornik i sprawdził wszystkie monitory. Kiedy wrócił do Wolfa i Larsena, na jego twarzy malowało się zdumienie.

—Dwadzieścia urządzeń, z czego czternaście zajętych. — Głos mu drżał. — Nie wiem, kto się w nich znajduje, ale z całą pewnością to pomieszczenie nie ma nic wspólnego ze szpitalem. To jest absolutnie nielegalna pracownia przeformowująca!

Wolf spojrział z ponurą satysfakcją na Larsena, po czym zwrócił się do Morrisa.

— Czy może nam pan powiedzieć, jakich zmian się tutaj dokonuje?

Morris zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

— Jeżeli zastosowano normalny układ, to gdzieś tutaj musi znajdować się centralna kontrola. Powinny tam być zapisy dokonanych zmian, a także programy komputerowe, projekty eksperymentów, słowem wszystko. Znajdziemy ją pewnie po tamtej stronie sali.

Pobiegli na drugi koniec pomieszczenia. Morris wydał z siebie pomruk satysfakcji, bo istotnie dostrzegł tam centralę, o której mówił. Natychmiast podszedł do konsoli i zaczął po kolei wywoływać rekordy dotyczące poszczególnych stanowisk doświadczalnych. Jego twarz stopniowo stawała się coraz bledsza, a czoło pokryło się potem. Wreszcie zaczął mówić, powoli i bardzo cicho.

— Część rekordów zniknęła, ale i tak mogę wam powiedzieć, że robiono tu okropne i surowo zabronione rzeczy. W czternastu zbiornikach znajdują się osobniki ludzkie. Zaprogramowano je tak, aby przekształciły się we wcześniej zaprojektowane formy. Opisy tych form są wbudowane w oprogramowanie kontrolne. I jeszcze jedna rzecz. Osobniki w zbiornikach są w wieku, w którym przeformowywanie jest absolutnie zabronione. Według mojej wstępnej oceny ich wiek zawiera się w przedziale między dwoma a szesnastoma latami.

Upłynęło kilka sekund zanim to do nich dotarło. Wreszcie Larsen odezwał się cicho.

— Powiedział nam pan, że w zbiornikach znajdują się d z i e c i. To potworne. W jaki sposób dziecko może ocenić ryzyko związane z przeformowywaniem?

— W ogóle nie może. W tym wypadku zagadnienie świadomości niebezpieczeństwa wcale się nie pojawia. Używa się pewnej specjalnej, całkowicie nielegalnej metody. Zasadniczo znana jest ona już od wielu lat. Bodziec potrzebny do zaprogramowania przeformowania aplikuje się bezpośrednio mózgowym ośrodkom odczuwania przyjemności. W efekcie te dzieci nie mają żadnego wyboru. Ich dążenie do zmiany jest wymuszane przez najsilniejszy ze znanych bodźców.

Morris pochylił się do tyłu na krześle i ukrył w dłoniach okryte potem czoło. Po dłu-

ższej chwili przemówił znowu zmęczonym głosem, niewyraźnie wymawiając poszczególne słowa.

— Nie wierzę. Nie jestem w stanie uwierzyć, mimo że widziałem to na własne oczy. W Szpitalu Centralnym i przy udziale Capmana... Był moim wzorem, odkąd ukończyłem akademię medyczną. Zawsze byłem przekonany, że spośród wszystkich ludzi, jakich poznałem, jemu najbardziej leży na sercu zarówno dobro poszczególnych Jednostek, jak i dobro całej ludzkości. Nie interesowały go pieniądze ani rzeczy materialne. A teraz okazuje się, że jest wplątany w tę sprawę. To wszystko nie ma sensu...

Głos mu się załamał, zastygł zgarbiony nieruchomo na swym krześle. Po kilku sekundach Wolf przerwał ponurą ciszę.

— Panie doktorze, czy mógłby pan określić, jakie konkretnie procesy przeformowywania były tutaj przeprowadzane?

Wyrwany z zadumy Morris potrząsnął przecząco głową.

— Bez brakujących rekordów jest to niemożliwe. Capman musiał je trzymać gdzieś osobno. Na ekranie terminalu mogę obejrzeć teksty programów, ale byłoby bardzo trudno odgadnąć cel doświadczenia z samych wydruków. Zrozumienie nawet krótkich procedur zajęłoby godziny. Na przykład tutaj mamy fragment kodu, który pojawia się ciągle w dwóch eksperymentach, ale jego sens jest dla mnie niejasny.

— A jak pan sądzi, doktorze, o co tu może chodzić? — zapytał Bey. — Rozumiem, że nie jest pan w stanie wyjaśnić tego dokładnie, ale może domyśla się pan chociaż, jaka jest ogólna idea?

Morris miał dosyć niepewną minę.

— To, co powiem, będzie oczywiście wyrwane z kontekstu. Rzecz przypomina bezpośrednią pętlę opóźniającą. Powoduje ona, że program wykonuje każdą instrukcję określoną liczbą razy, a dopiero potem przechodzi do następnej. W ten sposób wszystko jest spowalniane o ten sam czynnik, zadany przez eksperymentatora.

— Ale czemu to miało służyć?

— Bóg jeden wie. Mamy tu do czynienia z interakcyjnymi programami operującymi w czasie własnym, więc ich spowalnianie jest nonsensem. — Przerwał na sekundę, po czym dodał: — Zauważcie jednak, że programy te prawdopodobnie przygotował Robert Capman. On jest prawdziwym geniuszem. Ja nie. Fakt, że tego nie rozumiem, nic nie znaczy. Aby się dowiedzieć, co on wymyślił, musielibyśmy mieć jego własne notatki oraz projekty doświadczeń.

Wolf spacerował pomiędzy ścianami pomieszczenia, myśląc intensywnie.

— To nie będzie łatwe. Założę się, że Capman opuścił szpital. Inaczej nie pozwoliliby nam tak swobodnie poruszać się tutaj. Zupełnie nie rozumiem, czemu do tego dopuścił, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że go podejrzewamy. W jakiś sposób musiał odkryć, co robimy, i stwierdził, że nie będzie w stanie nas powstrzymać. Ale jeżeli go nie odnajdziemy, nie dowiemy się być może nigdy, co naprawdę tu robił.

Nagle podjął decyzję i odwrócił się do Larsena.

— John, idź poszukaj czujnika śledzącego. Podejrzewam, że Capman był w tym pomieszczeniu nie dalej jak godzinę temu. Musimy spróbować go odnaleźć, choćby ze względu na jego własne dobro. Możesz wyobrazić sobie reakcję społeczeństwa, kiedy wszyscy się dowiedzą, że kradł ludzkie niemowlaki do eksperymentów z przeformowywaniem?... Zostanie rozerwany na strzępy. Musiał chyba zabierać dzieci fałszując wyniki testów człowieczeństwa. Dlatego nie ma ich identyfikacji w banku danych.

Larsen pospiesznie wybiegi z podziemia. Morris niespodziewanie trochę się rozchmurzył.

— Zaraz, zaraz — powiedział. — Przypuśćmy, że Capman pracował z osobnikami, które nie przeszły p o z y t y w n i e testu człowieczeństwa. To już nie byłoby tak okropne,

jak wykorzystywanie do eksperymentów ludzkich niemowląt.

Wolf potrząsnął głową.

— Też o tym myślałem, ale to niemożliwe. Niech pan nie zapomina, że cały test człowieczeństwa opiera się na definicji, która mówi, iż nieludzie nie są w stanie dokonywać świadomych przeformowań. Siłą rzeczy mamy do czynienia z osobnikami ludzkimi. Co więcej, proszę pamiętać, że analizowana przez nas wątroba pochodziła od osoby dwunastoletniej. Capman nie tylko przeprowadzał doświadczenia; niektóre z nich z całą pewnością były nieudane. Wygodną metodą pozbywania się pozostałości po takich eksperymentach stanowiło umieszczanie ich w bankach organów. Ryzyko, że rzecz zostanie wykryta, było w tym wypadku niewielkie.

Znowu zaczął maszerować niecierpliwym krokiem po pomieszczeniu, zaś wstrząśnięty Morris siedział nieruchomo, pogrążony w cichej rozpaczy.

— Mój Boże, John mógłby się pośpieszyć! — odezwał się wreszcie Wolf. — Musimy zdobyć ten czujnik! Jeśli nie dowiemy się natychmiast, dokąd umknął Capman, utkniemy w miejscu.

Wciąż maszerując tam i z powrotem Wolf przyglądał się aparaturze pomieszczenia kontrolnego. Umieszczony tuż obok konsoli komunikator przypominał urządzenie do celów specjalnych starego typu. Wszystkie szyfry służące do przekazywania wiadomości zostały dawno pozmieniane. Oznaczało to, że wprowadzenie jakiegokolwiek kodu mogło spowodować najróżniejsze reakcje. Bey zastanawiał się przez chwilę, po czym wystukał ośmiocyfrowy szyfr, który Capman zostawił mu w recepcji. Tym razem nie ukazała się prośba o współpracę z Kontrolą Form. Zamiast tego na ekranie zaczął się przesuwac znacznie dłuższy tekst. Bey czytał go z rosnącym osłupieniem.

DROGI PANIE WOLF, SKORO CZYTA PAN TE SŁOWA, MUSI SIĘ PAN ZNAJDOWAĆ W MOIM PRYWATNYM PODZIEMIU. WYKRYŁ PAN ZATEM — CZE-  
GO SIĘ OBAWIAŁEM OD CHWILI, GDY SPOTKALIŚMY SIĘ PO RAZ PIERWSZY —  
NA CZYM POLEGA ISTOTA MOJEJ PRACY TUTAJ. OD WIELU LAT WIEDZIAŁEM,  
ŻE TAKI DZIEŃ MUSI KIEDYŚ NADEJŚĆ, I PRYZYWCZAILEM SIĘ DO MYŚLI, IŻ  
ZAPEWNE NIE BĘDĘ MÓGL NADZOROWAĆ OSTATNIEJ FAZY TYCH BADAŃ.  
PANIE WOLF, BYĆ MOŻE NIE ZDAJE PAN SOBIE JESZCZE SPRAWY Z FAKTU, ŻE  
OBAJ — PAN I JA — JESTEŚMY PRZEDSTAWICIELAMI BARDZO RZADKIEJ RASY.  
DLA MNIE SZYBKO STAŁO SIĘ OCZYWISTE, IŻ MOJA PRACA ZOSTANIE PRZE-  
RWANA PRZEZ PAŃSKIE DOCHODZENIE. BOLEJĘ NAD TYM, ALE JUŻ SIĘ Z TYM  
POGODZIŁEM.

DAWNO TEMU POSTANOWIŁEM, ŻE JEŚLI MOJA TAJEMNICA ZOSTANIE  
ODKRYTA, SPĘDZĘ RESZTĘ ŻYCIA UKRYWAJĄC SIĘ GDZIEŚ POD OBCYM NA-  
ZWISKIEM. NIE ŚCIERPIAŁBYM DŁUGOTRWAŁEGO PROGRAMU REHABILITA-  
CYJNEGO, JAKI W NAJLEPSZEJ INTENCJI ZAAPLIKOWANO BY MI JAKO KARĘ  
ZA POPEŁNIONE ZBRODNI. WIĘKSZOŚĆ UZNA ME CZYNY ZA NIEWYBACZA-  
LNE, ALE CHCIAŁBYM PANA ZAPEWNIĆ, ŻE W MOJEJ PRACY ZAWSZE STAWIA-  
ŁEM SOBIE ZA CEL DOBRO LUDZKOŚCI. PRAGNĄC GO OSIĄGNAĆ, MUSIAŁEM  
NIESTETY POŚWIĘCIĆ NIEWIELKĄ LICZBĄ ISTNIEŃ LUDZKICH. JESTEM W  
PEŁNI PRZEKONANY, IŻ W TYM WYPADKU CEL UŚWIĘCA ŚRODKI.

ABY ŻYĆ TAK, JAK TEGO CHCE, POD ZMIENIONYM NAZWISKIEM, ROBERT  
CAPMAN BĘDZIE MUSIAŁ OPUŚCIĆ ZIEMIĘ. JEST MAŁO PRAWDOPODOBNE  
BYŚMY SIĘ JESZCZE KIEDYŚ SPOTKALI. BYŁOBY TO DLA MNIE ZBYT WIELKIM  
RYZYSKIEM, GDYŻ PODEJRZEWAM, ŻE PAN I JA ZAWSZE SIEBIE ROZPOZNAMY.  
HOMER POWIADA, IŻ CI, KTÓRZY SĄ PODOBNI, WIECZNIE POZNAWAĆ SIEBIE  
BĘDĄ. PANIE WOLF, NIECH PAN STUDIUJE TEORIĘ PRZEFORMOWAŃ. PAŃSKIE  
ZDOLNOŚCI PRAKTYCZNE SĄ ZDUMIEWAJĄCE, LECZ BEZ BIEGŁEJ WIEDZY

TEORETYCZNEJ NIE DA SIĘ ICH W PEŁNI WYKORZYSTAĆ. JEŚLI PAN JĄ ZDOBE-  
DZIE, CAŁY ŚWIAT STANIE PRZED PANEM OTWOREM.

DZIŚ RANO ZAKOŃCZYŁEM PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU! TERAZ  
MUSZĘ JUŻ ZNIKAĆ. PROSZĘ MI WIERZYĆ, ISTNIEJE PUNKT, KIEDY SŁAWA  
STAJE SIĘ CIĘŻAREM. JA JUŻ DOTARŁEM DO NIEGO. MOIM NAJGORĘTSZYM  
PRAGNIENIEM JEST TERAZ ZASZYĆ SIĘ GDZIEŚ I ŻYĆ SPOKOJNIE, MAJĄC PRZY  
SOBIE MOJE NAGRANIA I TAŚMY HOLOGRAFICZNE. Z POWAŻANIEM, ROBERT  
CAPMAN.

To był koniec tekstu. Wolf i Morris wpatrywali się intensywnie w ekran, ale nic więcej  
się na nim nie pojawiło.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego wszyscy w szpitalu uważają Capmana za wszechwie-  
dzącego — powiedział wreszcie Wolf. — Ale z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że  
nie mogę pozwolić mu uciec, jeśli tylko będę w stanie go wyśledzić. Jest to moim obowią-  
zkiem. Gdy John Larsen tutaj wróci, spróbujemy ruszyć jego tropem, bez względu na to,  
dokąd się udał.

Morris nie odpowiedział. Doznał tego dnia zbyt wielu wstrząsów, by móc zachować ró-  
wnowagę. Siedział na krześle, obok konsoli kontrolnej, z opadłą szczęką, nadal nieruchomo,  
jakby utracił wszystkie siły. Wreszcie w głównych drzwiach podziemia pojawił się Larsen.

— Przepraszam, Bey, że trwało to tak długo — powiedział. — Pomyślałem, że najlepiej  
będzie, jeśli pójdę do mieszkania Capmana i wyreguluję czujnik za pomocą kilku elementów  
jego garderoby. Jest chyba teraz dobrze ustawiony na chemię jego ciała. Możemy ruszać w  
każdej chwili, gdy tylko uchwycimy najslabszy nawet zapach. Przez cały czas czujnik wska-  
zywał ten kierunek, tak więc Capman w jakiś sposób musiał się wydostać tędy. Być może jest  
tu gdzieś ukryte wyjście.

Zaczęli obaj systematycznie i uważnie badać ściany, a Morris spoglądał na nich apaty-  
cznym wzrokiem, niczego nie rozumiejąc. Po pewnym czasie Larsen znalazł luźno wiszącą  
płytę ścienną za urządzeniem klimatyzacyjnym. Udało im się ją odsunąć i zobaczyli, że za nią  
znajdował się długi, wąski korytarz, oświetlony słabym zielonkawym światłem. Gdy Larsen  
umieścił w otworze czujnik śledzący, jego monitor rozbłysnął jasną czerwienią. Strzałka  
wskazująca obróciła się powoli i wskazała kierunek wzdłuż korytarza.

— Tam poszedł, Bey — powiedział Larsen. Odwrócił się do Morrisa. — Dokąd można  
tędy dojść?

Morris wziął się w garść i rozejrzał dookoła.

— Muszę pomyśleć. Winda znajdowała się w zachodnim rogu laboratorium. Wynika z  
tego, że patrzycie prawie dokładnie na wschód.

Bey Wolf w zadumie przygryzł dolną wargę.

— Właśnie tego się spodziewałem — powiedział. — Jasne, że tam...

Odwrócił się do Larsena.

— Musimy iść w tym kierunku, John, jeżeli chcemy schwytać Capmana. Domyślasz  
się, dokąd w ten sposób trafimy? Wylądujemy w samym sercu Starego Miasta.

## ROZDZIAŁ 7

Wybierz spośród dwudziestowiecznych miejskich gett najbardziej odrażające i ponure.  
Pozwól, niechaj trwa w tym stanie przez dwieście lat, ozdób je tylko bezładną mieszaniną  
różnych naziemnych i podziemnych budowli. Zaludnij je najbiedniejszymi z biednych i  
dodaj do tego znaczną liczbę osobników stanowiących najbardziej nieudane przypadki do-  
świadczeń z przeformowywaniem. Otrzymasz Stare Miasto, dzielnicę, po której stróże prawa

za dnia poruszali się z największą ostrożnością, zaś w nocy — prawie nigdy. Bey Wolf i John Larsen, zaopatrzeni w latarki, pistolety gazowe i czujnik śledzący, wynurzyli się z długiego korytarza podziemnego w chwili, gdy zaczynał zapadać zmierzch. Rozejrzeli się czujnie dookoła, po czym ruszyli w kierunku, który wskazywała strzałka czujnika — w głąb Starego Miasta.

Wszędzie dostrzec można było oznaki ubóstwa, świadczyły o nim brudne, zaśmiecone ulice, popękane mury opuszczonych budynków i kompletny brak ruchomych chodników. Chodziło się tutaj na piechotę, albo jeździło staroświeckimi pojazdami kołowymi bez automatycznych urządzeń kontrolnych i mechanizmów zabezpieczających.

— Umówmy się co do jednego, John — powiedział Wolf rozglądając się z wielkim zainteresowaniem dookoła. — Naszym celem jest schwytanie Capmana, nie zwracajmy więc teraz uwagi na niedozwolone kształty. Wydaje mi się, że zobaczymy ich więcej, niż widzieliśmy kiedykolwiek dotąd. Spójrz choćby tam!

Ruchem głowy wskazał boczną uliczkę, którą właśnie mijali. Larsen zobaczył niezgrabną niedźwiedzią formę stojącą obok filigranowego okrągłego człowieczka, mającego nie więcej niż dwie stopy wzrostu. Bardzo ostrożnie rozwijali szpulę jednorodnego drutu i przymocowywali go do ramy z metalowych prętów. Wolf nawet na chwilę nie zwolnił kroku.

— Gdybyś na to wpadł, zostałbyś przecięty na pół, zanim zdążyłbyś cokolwiek pomyśleć — mruknął. — Najwyraźniej ustawiają jakąś pułapkę. Nie jest przeznaczona dla nas, ale lepiej zachować czujność!

Larsenowi nie trzeba było tego powtarzać. Starał się patrzeć we wszystkie strony jednocześnie, a jego dłoń przesunęła się bliżej ku ręczce pistoletu gazowego.

— Bey, oni chyba nie są efektami nieudanych prób uzyskania zwykłych form komercyjnych — zauważył. — Przypuszczam, że takie wypadki zdarzają się, kiedy jakiś biedaczyna bez piątej klepki w głowie dorwie się do aparatury przeformowującej.

Wolf skinął głową.

— Prawdopodobnie ich świadomość przeciwstawia się przyjęciu takich kształtów, ale jakaś tajemnicza siła, tkwiąca gdzieś głębiej, zmusza ich do tego. Może za sto lat zrozumiemy ten mechanizm psychiczny.

Mówiąc to, uważnie obserwował wszystko dookoła i w ten sposób gromadził w pamięci materiał do przyszłych analiz. Z wyjątkiem zupełnie szczególnych wypadków nie odwiedzano nigdy Starego Miasta, dlatego Wolf chciał wykorzystać nadarzącą się okazję w maksymalnym stopniu. Krocząc pospiesznie ciemniejącymi ulicami uświadomili sobie naraz nieobecność latarni. Aby oświetlić drogę, musieli się posługiwać ręcznymi latarkami. Strzałka czujnika wskazywała wciąż ten sam kierunek. W miarę jak zapadała noc, na ulicach pojawiali się coraz częściej unikający światła dziennego mieszkańcy Starego Miasta. Docierające do nich dźwięki i mijające ich postacie stawały się coraz bardziej dziwne i obce. Larsen mocniej ścisnął rękojeść pistoletu.

Po pewnym czasie doszli do długiej pochylni, którą ponownie opuścili się pod poziom ziemi. Latarki oświetlały tunel na jakieś dziesięć jardów. Dalej panowała absolutna ciemność. Gadzi kształt o szarej barwie przesunął się niedaleko od nich w bocznym korytarzu, a gdzieś daleko przed sobą usłyszeli odgłosy drapania i dziurawienia chityny, wydawane przez coś, co pospiesznie kryło się w mroku. Wolf stanął nagle, zaskoczony.

— Będzie co opowiadać po powrocie do biura. Jeśli nie postradałem zmysłów, właśnie widziałem kogoś, kto wytworzył sobie szkielet skórny. Ciekawe, czy zachował wewnątrz strukturę kręgową?

Larsen nie odpowiedział. Nie miał w sobie pasji badawczej Wolfa, a całe to poszukiwanie zaczynało mu się coraz mniej podobać. Szli dalej, pochylnia przeszła w wąską, wilgotną, wykopany w ziemi tunel z pokrytą brudem podłogą. Przed nimi wyrosła jakaś wysmukła postać, zakwiliła cichutko, po czym poruszając się wężowato zniknęła w jednym z bocznych



korytarzy.

Wolf zatrzymał się nagle i przesunął palcami po metalowym uchwycie czujnika.

— Cholera, John, czy mi się tylko wydaje, czy ta rzecz staje się coraz gorętsza?

— Całkiem możliwe. To samo dzieje się z moim pistoletem i latarką. Zauważyłem to jakiś czas temu.

— Musieliśmy wejść w pole indukcyjne. Jeżeli dalej stanie się silniejsze, nie będziemy mogli mieć przy sobie żadnych metalowych przedmiotów. Spróbujmy przejść jeszcze kilka metrów.

Ostrożnie poszli dalej, ale szybko stwierdzili, że natężenie pola wzrastało, cofnęli się więc i odbyli krótką mii radę wojenną.

— John, sygnał odbierany przez czujnik jest bardzo silny — powiedział Wolf. — Capman nie może być zbyt daleko. Zostawmy tutaj wszystkie metalowe przedmioty i przeszukajmy teren w obrębie najbliższych pięćdziesięciu metrów. Jeśli go tam nie znajdziemy, będziemy musieli zrezygnować.

Obaj mężczyźni czuli narastające napięcie. Gdyby było jaśniej, Wolf mógłby wyczytać z twarzy Larsena, jakie wrażenie wywarły jego słowa; w otaczających ich ciemnościach usłyszał tylko, że przyjaciel bardzo cichym głosem wyraża zgodę na jego propozycję. Odłożyli pistolety, latarki i czujnik śledzący, po czym ostrożnie, krok po kroku, zaczęli się zanurzać w gęsty mrok.

Nagle Larsen przystanął.

— Bey! — zapytał cichutkim szeptem. — Czy słyszysz coś przed nami?

Wolf nastawił uszu, ale niczego nie usłyszał.

— Brzmiało to jak jęk. O, znowu!... A teraz dotarło do ciebie?

— Chyba tak. Musimy być bardzo ostrożni. To tylko parę jardów stąd.

Zaczęli się skradać w cuchnącej stęchlizną ciemności. Usłyszeli ponownie jęk, a po nim ciężki, bolesny oddech. Nagle dobiegł do nich słaby, ledwo słyszalny głos.

— Kto tutaj idzie? Zatrzymajcie się, na miłość boską, nie podchodźcie bliżej!

— Capman?... To my, Wolf i Larsen. Gdzie pan jest?

— Tutaj, na dole. Stawiajcie ostrożnie nogi. Poczekajcie chwilę! Pokażę wam, którądy można bezpiecznie przejść.

Wąski strumień światła wystrzelił przed nimi z dna tunelu. Wolf i Larsen ruszyli powoli w tę stronę i po chwili znaleźli się na skraju rowu o głębokości dwunastu stóp.

Na jego dnie leżał bezradnie Capman — miał zwichnięte obie nogi, w dłoni trzymał małą latarkę, którą oświetlał im drogę.

— Tego dołu nie było tu jeszcze kilka dni temu — powiedział z wysiłkiem. — Musiała go wykopać jedna z tych pokracznych form, które zamieszkują tunele. Chyba jakaś duża. Przeszła przed paroma minutami, a potem jeszcze raz. W tamtym kierunku.

Oświetlił latarką dno rowu — ujrzeli spory tunel biegnący gdzieś w bok. Capman wyglądał na osłabionego i widać było, że ból bardzo mu dokuczał, ale jego umysł nadal pracował bez zarzutu.

— Jeśli potrafi tu przeżyć, jest chyba mięsożerna — zauważył. — Ciekawe, jak wygląda forma podstawowa.

Wolf ze zdumieniem usłyszał w głosie Capmana nutę autentycznej ciekawości. Podeszedł jeszcze bliżej do brzegu wykopu i usiłował zajrzeć w głąb tunelu.

— Nie bardzo wiem, czy będziecie w stanie mi pomóc — mówił dalej Capman spokojnym tonem. — Jeśli nie możecie mnie stąd wydobyć, najważniejsze jest to, bym przekazał wam moje zapisy. Powinienem zostawić je w szpitalu. Bez nich nie można zrozumieć mojej pracy. Postarajcie się, aby trafiły we właściwe ręce.

Gwałtownie przerwał i skierował światło latarki na ścianę wykopu.

— Boję się, że to coś wraca. Uważajcie, chcę rzucić wam szpulę. Podejdźcie bliżej

brzegu. Nie wiem, czy potrafię celnie rzucić z tej pozycji.

Puścił strumień światła na ścianę rowu w taki sposób, że rozproszone promienie pobiegły w górę, po czym z trudem podrzucił niewielką szpulę. Sięgnąwszy najdalej, jak był w stanie to uczynić, Larsen zdołał złapać ją jedną ręką. Capman odetchnął z ulgą i opadł z powrotem na brudną ziemię. Usłyszeli głośnie pochrząkiwanie i odgłos, który wydawał przepychający się przez tunel tajemniczy utwór. Wolf i Larsen patrzyli w dół z przerażeniem, ale Capman zachował zdumiewający spokój.

— Pamiętajcie, że cokolwiek by się tutaj stało — powiedział — waszym obowiązkiem jest dostarczyć zapisy do szpitala. Nie traćcie już więcej czasu.

Z powrotem skierował latarkę w głąb rowu. Wolfowi i Larsenowi wydało się, że w jej słabym świetle pojawił się ogromny mały kształt sunący w stronę Capmana. Zanim jednak zdołali dokładniej mu się przyjrzeć, latarka upadła na ziemię i natychmiast zgasła. Usłyszeli rozdzierający krzyk i jakby bulgocące kasłanie, po czym zapadła cisza.

Wolf i Larsen uprzytomnili sobie nagle, że są zupełnie bezbronni. Nie tracąc czasu odwrócili się bez słowa i zaczęli uciekać wzdłuż tunelu. Podnieśli pozostawione pistolety, latarki i czujnik, po czym szybko jak mogli popędzili ulicami Starego Miasta. Dopiero gdy znaleźli się w szpitalnej windzie i powoli jechali nią w górę do laboratorium Capmana, Larsen przerwał milczenie.

— Nie wiem, co Capman robił w podziemiu, ale cokolwiek by to było, zapłacił za to dzisiaj.

Wolf skinął tylko potwierdzająco głową i dodał:

— *Requiescat in pace...*

Udali się bezzwłocznie na Oddział Transplantacji, gdzie przekazali Morrisowi bezcenną szpulę mikrofilmu i opowiedzieli mu, w jaki sposób trafiła w ich ręce. Pod wpływem nalegań Wolfa doktor zgodził się utworzyć zespół, który pod jego kierownictwem miał natychmiast przystąpić do jej analizy.

## ROZDZIAŁ 8

Na godzinę przed wschodem słońca Wolf i Larsen zasiedli do śniadania w przeznaczony dla odwiedzających części Szpitala Centralnego, mieszczącej się na ostatnim piętrze budynku. Ulegli namowom Morrisa i pozwolili sobie na trzy godziny głębokiego snu, a potem poświęcili kolejne godziny na zaprogramowane odreagowywanie stresów. Obaj czuli się teraz wypoczęci, w dobrej formie i z zadowoleniem powitali solidny posiłek, który podali im mechaniczni słuźący. Zanim skończyli jeść, przybiegł do nich zaaferowany Morris. Widać było, że wcale nie spał, ale jego oczy błyszcząły z podniecenia. Machnął przed nimi plikiem wydruków i usiadł naprzeciwko.

— Fantastyczne! — wykrzyknął. — Inaczej nie można tego określić. Potrzeba lat, byśmy mogli poznać wszystkie szczegóły. Capman zaszedł w przeformowaniach dalej, niż się to komukolwiek śniło. Każdy osobnik z tego podziemnego laboratorium otwiera nowe horyzonty w przeformowywaniu doświadczalnym!

Zaczął kartkować wydruki.

— Tutaj mamy formę beztlenową — powiedział. — Może normalnie wdychać powietrze, ale — jeśli to konieczne dla podtrzymania życia — jest również w stanie przyswajać inne substancje chemiczne. Mogłaby funkcjonować pod wodą, w próżni — prawie wszędzie. Ta forma natomiast obdarzona jest grubym i odpornym naskórkiem. Powinna wytrzymać ekstremalne gorąco i promieniowanie.

A tutaj mamy coś takiego — Morris zamachał gwałtownie wydrukiem. Z podniecenia

nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał, i zaczął się przechadzać obok okna, w którym właśnie zabłyśło blade światło brzasku. — Spójrzcie, ta forma ma pełny układ fotosyntetyczny, z torebkami chlorofilowymi na piersiach, ramionach i plecach. Może całkiem swobodnie przetrwać w stanie półuśpienia żywiąc się śladowymi ilościami minerałów, wody i dwutlenku węgla. Może też żyć jak normalny człowiek, jedząc zwykły pokarm.

Tu zaś są formy zminiaturyzowane, osiągające w wieku dojrzałym zaledwie dziesięć cali. Średnia długość ich życia jest normalna, struktura chemiczna i genetyczna również. Tak więc po kilku pokoleniach mogą mieć znowu dzieci zwyczajnych rozmiarów.

Wolfowi nagle coś się przypomniało.

— Czy tym formom nadano może jakieś specjalne nazwy? — zapytał.

— Tak. Wszystkie one przedstawione są w notatkach do głównej pracy Capmana pod nagłówkiem *Projekt Proteusz*. Jest jednak jeden niepokojący wyjątek. Chodzi o formę, o której rozmawialiśmy w laboratorium zeszłego wieczora.

Przerzucił plik wydruków i wyciągnął zeń jeden, sprawiający wrażenie znacznie obsze-  
niejszego od pozostałych.

— To ta forma z pętlą opóźniającą, która przewija się przez cały program. Próbowaliśmy różnymi sposobami przywrócić obiekt do normalnego życia, niestety bezskutecznie. Znajduje się on jakby w transie katatonicznym. Kiedy chcieliśmy obliczyć współczynnik żywotności, nastąpiło przepełnienie pamięci komputera.

Wolf spojrzął na Morrisa i pomyślał o liście Capmana pozostawionym w podziemnym laboratorium. Może Capman rzeczywiście miał rację i sposoby myślenia ich obu były podobne? Jemu samemu cel eksperymentu wydawał się oczywisty, a tymczasem Morris i Larsen nie potrafili go dostrzec.

— Panie doktorze — powiedział. — Czy Capman kiedykolwiek rozmawiał z panem na temat przyszłości rodzaju ludzkiego? Na przykład o tym, co stanie się z nami za sto lat?

— Ze mną nie, ale jego poglądy były wszystkim dobrze znane i bardzo zbliżone do poglądów Laszlo Dolmetscha: społeczeństwo jest niestabilne i bez nowych celów, nowych perspektyw, czeka nas stagnacja, a nawet cofnięcie się na niższy poziom cywilizacyjny. Federacja Przestrzeni Zjednoczonych nie może temu zaradzić, zajmuje bowiem zbyt duży obszar i ma za słaby kontakt z otoczeniem.

Wolf przechylił się do tyłu i popatrzył w sufit.

— Czy, biorąc po uwagę takie poglądy, nie wydaje się oczywiste, jaki był plan Capmana? Potrzebujemy nowych perspektyw. FPZ ich nam nie stworzy bez dodatkowej pomocy. Prace Capmana miały służyć jednemu, dobrze określonej celowi — przygotowaniu form przystosowanych do podboju Kosmosu. Opisał pan formy, które nadają się idealnie do pracy w przestrzeni kosmicznej albo na Księżycu czy Marsie lub nawet do tworzenia ziemskich warunków na Wenus.

Morris sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Ma pan rację. Ale do czego mogą się przydać formy miniaturowe, albo ta z katatonią?

— Ona nie ma katatonii. Po prostu śpi. Wszystkie jej procesy życiowe zostały spowolnione o pewien ustalony współczynnik. Nie wiem, jaka jest jego wielkość, ale można to będzie ustalić, jeśli przyjrzymy się wartości opóźnienia w programie biologicznego sprzężenia zwrotnego. Capman ustawił pętlę spowalniającą w taki sposób, by komputer reagował na zmianę w doświadczeniu przeformowującym w „czasie własnym” osobnika.

Morris znowu popatrzył na wydruki.

— Tysiąc dwieście — wykrztusił w końcu. — Wielki Boże, wprowadzona wartość czynnika wynosi t y s i ą c d w i e ś c i e! To znaczy, że...

— Że będzie spać przez całą swoją „noc” — dokończył Wolf. — Jest ona równa tysiącu dwustu naszych nocy. Myślę, iż spodziewana długość życia wydłuży się proporcjonalnie,

czyli tysiąc dwieście razy. Daje to około stu dwudziestu tysięcy lat. Oczywiście to nie jest subiektywna długość życia formy — ta zapewne będzie taka sama jak nasza.

— Ale w jaki sposób można się z nią porozumieć?

— Tak samo, jak to robił Capman w swoich programach przeformowywania. Trzeba spowolnić wszystkie bodźce o czynnik tysiąc dwieście. Podawajcie jej informacje w takim tempie, w jakim zaprogramowano odbiór.

— Ale po co to wszystko? — spytał Morris. — Nie będzie mogła przecież pracować w przestrzeni kosmicznej, jeśli nie jest w stanie komunikować się z nami.

— Nowe cele — odparł Wolf. — Potrzebujemy nowych celów, prawda? Czy pan nie rozumie, że mamy tutaj idealną formę do podróży międzygwiazdnych? Dla niej stuletnia wyprawa potrwa zaledwie jakiś miesiąc. Będzie żyć ponad sto tysięcy ziemskich lat. Jeśli w pojeździe kosmicznym umieści się aparaturę do przeformowywania, będzie mogła na miejscu wrócić do normalnego rytmu i prowadzić prace obserwacyjne. Łącząc w jednej formie jej cechy z cechami osobników zminiaturyzowanych otrzymamy ludzi, którzy będą w stanie dolecieć do gwiazd statkami kosmicznymi zbudowanymi przy użyciu współczesnej technologii.

— Czynnik opóźniający został ustalony *á priori* — zauważył Morris. — Nie ma powodu, by sądzić, że tysiąc dwieście jest liczbą nieprzekraczalną. Muszę sprawdzić ile wynosi wartość maksymalna. Myśli pan, że dzięki temu programowi formy mogą też działać szybciej niż normalnie?

— To znacznie trudniejsze. Nie wiem, jak dałoby się przyspieszyć sygnały nerwowe. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, więc sam pan musi to zbadać. Teraz pan rozumie, dlaczego w komputerze nastąpiło przepelnienie pamięci, kiedy próbowano obliczyć współczynnik żywotności. Subiektywnie nadal wynosi on jeden, choć dla zewnętrznego obserwatora ma wartość tysiąc dwieście. Trzeba by znaleźć nową definicję dla tego współczynnika.

Podniecony Morris bez przerwy przemierzał pokój z pomiętymi wydrukami w dłoniach.

— Tyle nowych pomysłów!... Pozbawieni pomocy Capmana będziemy musieli badać je przez całe lata. Nie zdajecie sobie w ogóle sprawy, jaką stratą jest dla nas jego śmierć. Muszę już wracać do kolegów i pomóc im w pracach nad analizą. Niestety, żaden z nas nie ma tak głębokiego wglądu w istotę zagadnienia jak Capman... Nikt nie wypełni luki po nim.

Morris najwyraźniej otrząsnął się z szoku wywołanego odkryciem, że Capman przeprowadzał niedozwolone eksperymenty na ludziach. Jego umysł był teraz całkowicie pochłonięty możliwościami, jakie niosły ze sobą nowe formy. Zmierzał już w stronę wyjścia, kiedy Wolf zadał mu ostatnie pytanie.

— Czy doświadczenie z katatonią nosiło jakąś specjalną nazwę?

Morris skinął głową.

— Projekt Regulator Czasu. Teraz ta nazwa ma dla mnie sens. Muszę sprawdzić, jaką maksymalną wartość może przyjąć czynnik opóźniający. Nie widzę powodu, dlaczego nie mogłby wynosić dziesięć tysięcy albo jeszcze więcej. Wyobrażacie sobie człowieka żyjącego milion lat?...

Wybiegł z sali i wraz z nim z pomieszczenia uleciały energia i podniecenie. Po kilku sekundach Wolf powstał z miejsca, podszedł do okna i zapatrzył się w mroczne, rozlądle cielsko Starego Miasta.

— Rozchmurz się, Bey! — odezwał się Larsen. — Wciąż jeszcze dręczysz się śmiercią Capmana. Mam rację? Naprawdę nie mogliśmy w żaden sposób mu pomóc. I, moim zdaniem, nie powinniśmy go osądzać. Robił okropne rzeczy, ale zapłacił za to własnym życiem. Nie ma sensu ciągle o tym myśleć.

Bey powoli odwrócił się od okna. Sądząc z wyrazu jego twarzy, myślał o czymś intensywnie.

— Nie to mnie martwi, John — odpowiedział. — Zastanawiam się nad czymś znacznie mniej abstrakcyjnym. Trudno uwierzyć, żeby ktoś tak bystry jak Capman mógł zginąć w tak

idiotyczny sposób.

Larsen wzruszył ramionami.

— Każdy ma jakieś słabe punkty, o których nie wie, Bey. Nie ma ludzi postępujących w sposób absolutnie bezbłędny.

— Ale Capman sam przyznał, że od dawna liczył się z tym, iż ktoś odkryje jego tajemnicę. Nie wiedział, kiedy to nastąpi, ale musiał być na to przygotowany. Stworzył skomplikowany system kontrolny informujący go o tym, czy ktoś interesuje się jego pracami. Kiedy się zorientował, że jesteśmy na jego tropie, był gotów do ucieczki.

— I właśnie próbował uciec — zgodził się Larsen. — Miał gdzieś zniknąć, ale nie przewidział tej potwornej zasadzki na Starym Mieście.

Wolf potrząsnął głową.

— Nie, John, Robert Capman przewidział w s z y s t k o. Nic uwierzę, że wpadł w taką pułapkę. To my w nią wpadliśmy. Zrozum, zaaranżował wszystko tak, byśmy podążyli jego śladem. Wiedział, że będziemy musieli go ścigać. Całe to gadanie o wycofaniu się i spokojnym życiu to bzdura. On s p o d z i e w a ł s i ę, że będziemy szli jego tropem.

— Może i tak, Bey. Ale nie spodziewał się tej nielegalnej formy w tunelu.

— Tak sądzisz, John?... On chciał, żebyśmy jak najszybciej zaczęli go ścigać. Tylko my dwaj, bez specjalnego wyposażenia i przygotowania. No i pognaliśmy za nim jak para kretyków.

Wolf popatrzył na ulice Starego Miasta, które rozjaśniały powoli fosforyzujące smugi zielonego światła; po raz ostatni przed świtem nędzarze wypełzali ze swych nor na poszukiwanie odpadków.

— Powinniśmy zacząć coś podejrzewać — ciągnął dalej — gdy tylko natknęliśmy się na pole indukcyjne. Kto mógłby je wytworzyć — i po co? Komuś zależało, abyśmy dotarli do Capmana bez latarek i broni.

— Ale przecież widzieliśmy tę monstrualną formę i widzieliśmy jak zginął Capman. Czy twierdzisz, że to też było częścią planu?!...

Wolf popatrzył uważnie na Larsena.

— Widzieliśmy? Czy aby na pewno?... Co tak n a p r a w d ę zobaczyliśmy? Wielki, niewyraźny kształt. Potem Capman upuścił latarkę i zrobiło się ciemno. Rzuciliśmy się do ucieczki. W rzeczywistości nie widzieliśmy nic, co by świadczyło o śmierci Capmana. Kiedy po raz ostatni wiałeś przed czymkolwiek w takiej panice?

Larsen pokiwał głową.

— Nie mam z czego być dumny. Już dawno nie przydarzyło mi się nic podobnego. Zupełnie nie wiem, co się z nami stało.

— A ja myślę, że wiem. Uciekaliśmy, ale ktoś nam w tym pomógł. Założę się, iż gdzieś obok dołu umieszczono emiter fal poddźwiękowych oraz kilka innych urządzeń. Wszystko po to, żeby przerazić nas śmiertelnie, gdy tylko wejdziemy w posiadanie szpuli z mikrofilmem. Capman podkreślił aż dwa razy, że musimy koniecznie dostarczyć film do szpitala, dzięki czemu mogliśmy usprawiedliwić przed sobą naszą nagłą ucieczkę. Capman co prawda powiedział, że „zapomniał” zostawić szpulę w szpitalu, ale zabranie jej ze szpitala musiało być czynem świadomym. A przecież wszyscy naokoło powiadają, iż nigdy nie zapominał o niczym, o najdrobniejszych nawet szczegółach!

Wolf westchnął i ponownie zerknął za okno.

— John, wszystko to było sfingowane. Poruszano nami jak parą kukiełek. Capman jest cały i zdrow tak samo jak my!

Przez kilka minut Larsen przetrwał w milczeniu słowa Wolfa. W końcu on także podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

— A więc uważasz, że Capman nadal sobie żyje gdzieś tutaj. W jaki sposób moglibyśmy to udowodnić?

Wolf przyjrzał się swemu odbiciu w gładkiej szybie. Zobaczył mężczyznę ze zmarszczonym czołem i zatroskaną twarzą, o cienkich, pozbawionych uśmiechu ustach. Radość i entuzjazm Morrisa, wywołane osiągnięciami Capmana, nie okazały się zaraźliwe.

— To diabelna sprawa, John — odrzekł. — Nie da się tego udowodnić. Nikt nie uwierzy w to, co ci opowiedziałem. Jeżeli przedstawimy same fakty — a musimy tak zrobić — Capman zostanie uznany za zmarłego. Poszukiwania będą zakończone. Uzyska taką wolność, jakiej nie miałby nigdy, gdybyśmy nie ruszyli w pościg za nim.

Markotny nastrój udzielił się także Larsenowi.

— Z niektórymi twoimi wnioskami wciąż trudno mi się pogodzić. Capman poświęcił się całkowicie swoim badaniom. Słyszeliśmy to od wielu ludzi pracujących tutaj. Teraz nie będzie mógł ich kontynuować. Jak wobec tego będzie wyglądało jego dalsze życie?

Bey Wolf obrzucił Larsena sceptycznym spojrzeniem.

— Czy rzeczywiście Capman nie będzie mógł kontynuować swoich badań? Przypomnij sobie: w podziemnym laboratorium znajduje się dwadzieścia zbiorników. Zajętych było tylko czternaście z nich. A co z doświadczeniami przeprowadzonymi w pozostałych sześciu? Poznaliśmy znaczenie nazw projektów Proteusz i Regulator Czasu. Ale w banku danych natknąłem się na dwie jeszcze inne nazwy. Co z projektami Janus i Ryba Płucodyszna? Nie wiemy, czego dotyczą, nie wiemy też, co się z nimi stało. Podejrzewam, że Robert Capman ma gdzieś drugie laboratorium. Przeniósł do niego materiały do sześciu pozostałych eksperymentów i będzie tam nad nimi pracował. I założę się, że są to najciekawsze formy!

— Bey, czy sądzisz, że druga pracownia znajduje się na terenie Starego Miasta?

— Być może, ale raczej w to wątpię. Moglibyśmy tam ją odnaleźć. Na posiedzeniu Komitetu Budowy oświadczył, że ma nadzieję pracować aktywnie jeszcze przez dwadzieścia lat. Sądzę, że wyszukał miejsce, w którym może spokojnie prowadzić swoje badania, mając pewność, że nikt mu nic będzie przeszkadzał. Czy wyobrażasz sobie, jakie kształty Capman jest w stanie stworzyć w ciągu dwudziestu lat? Nie wydaje mi się, by w Starym Mieście dało się znaleźć takie miejsce.

— Nawet jeśli go tam nie ma, powinniśmy się upewnić i sprawdzić to. — Larsen odwrócił się od okna. — Idę napisać raport. Chyba nie polecimy dzisiaj na Księżyc, jak tego chciał Steuben. Zażądam, by wysłano grupę poszukiwawczą, niech sprawdzą dokładnie całą trasę, którą szliśmy wczoraj wieczorem. Może znajdują jakieś ślady.

Wyszedł i Wolf pozostał sam w wielkiej sali. Powodowany nagłym impulsem pogasił wszystkie światła, po czym wrócił do okna wychodzącego na wschodnią część miasta.

Jeśli chcesz, to szukaj, John, pomyślał. Jestem absolutnie pewien, że nie znajdziesz żadnych śladów po Robercie Capmanie. Jak to on napisał w swoim liście? „Robert Capman będzie musiał opuścić Ziemię”. I tak się chyba rzeczywiście stało. Co dalej? Mam się pogodzić z porażką, poddać uczuciu rozczarowania, które już dobrze znam? Nie, to jeszcze nie koniec tej sprawy, to dopiero początek.

Jeżeli Capman jest rzeczywiście takim człowiekiem, za jakiego go uważam, a ja takim, za jakiego on mnie bierze, to muszę także przyjąć, z całą pewnością, że przewidywał, iż nie dam się nabrać na jego „śmierć”. Czego może spodziewać się teraz po mnie? Że będę go ścigać. Musi więc także zakładać, że dysponuje jakąś kryjówką, której nie będę w stanie odszukać. Co jeszcze? „Niech pan studiuje teorię przeformowań” — zalecił mi w swoim liście. Musiał mieć jakiś powód po temu, myślę, że było to coś więcej niż ogólnikowa sugestia.

Z jednej strony Capman przeprowadzał okropne eksperymenty na dzieciach, a jednocześnie znany był powszechnie jako człowiek, który stawiał szczęście rodzaju ludzkiego ponad wszystko. Te dwa fakty trudno było ze sobą pogodzić. Na czym więc naprawdę polegały eksperymenty Capmana, o co w nich chodziło?

Tego Wolf nie wiedział, a Capman nie zamierzał wyjawiać swoich planów — przynajmniej jeszcze nie teraz. Wiedział natomiast, że to, co najważniejsze w całej sprawie, pozosta-

ło nie wyjaśnione i że być może wiele czasu musi upłynąć, zanim uda mu się dotrzeć do tego. Ale jeśli kiedyś nadejdzie czas wyjaśnień, pomyślał, chciałbym być zdolny je zrozumieć.

Wolf czuł się jak człowiek, któremu na ułamek sekundy pokazano Ziemię Obiecaną. Czuł, że w głębi duszy pragnie teraz najbardziej jednego — móc pracować z Capmanem, gdziekolwiek ten był, w dowolnym miejscu we Wszechświecie, prowadzić wspólne badania nad nowymi formami, poznać cały świat nieznanych dotąd nikomu zdumiewających transformacji.

Myślał teraz o tym, kiedy znowu zobaczy Roberta Capmana. Pierwsze promienie wschodzącego słońca wpadały już przez okna górnych pięter szpitala. Poniżej, nadal ukryte w cieniu, leżało odpychające cielsko Starego Miasta. Behrooz Wolf przyglądał mu się w milczeniu, dopóki nowy dzień nie dotarł do ulic na dole, po czym odwrócił się i wyszedł z sali. Co prawda Capman gdzieś zniknął, ale banki danych nadal kryły odpowiedzi na niektóre pytania.

## ROZDZIAŁ 9

Rezydencja Słoneczna  
Kod 127/128/009  
Wolna Kolonia

Drogi Panie Wolf,

Na wstępie pragnę Pana bardzo przeprosić, za to, że tak długo czekał Pan na odpowiedź. Pański list, zaraz po tym, jak go przeczytałem, zapodział się gdzieś pośród moich szpargałów i odnalazłem go dopiero dwa dni temu. Zamierzałem przesłać Panu odpowiedź ustną, ale podobno ostatnimi czasy zdarza mi się powtarzać i tracić wątek, tak więc ten sposób jest chyba lepszy. Cokolwiek by się rzekło o programach sprzężenia zwrotnego, nie są one w stanie przeciwdziałać pogarszaniu się pamięci na starość. W zeszłym tygodniu bardzo długo szukałem wtyczki implantu. Dopiero jeden z moich przyjaciół przypomniał mi, że odestałem ją do naprawy. Dlatego pomyślałem sobie, iż lepiej wysłać Panu odpowiedź pisemną.

Cóż, jedno nie ulega wątpliwości. Bardzo dobrze pamiętam Roberta Capmana, zapewne dlatego, że poznałem go tak dawno temu. Większość rzeczy, o których Pan pisze w swoim liście, jest zgodna z prawdą. Byłem nieco zdziwiony, że w sprawie faktów dotyczących życia Capmana nie chce Pan się opierać na danych z archiwów publicznych. Pewnie, podobnie jak ja, ma Pan kłopoty z komendami komputerowymi.

Nigdy nie zapomnę Capmana. Całkiem nieźle pamiętam nawet nasze pierwsze spotkanie. Dostaliśmy się na Uniwersytet Hopkinsa w tym samym roku i przybyliśmy tam dokładnie tego samego dnia jesienią '05. Było to jeszcze, zanim wprowadzono tę nonsensowną identyfikację chromozomową, i musieliśmy wpisać się do księgi. On to zrobił pierwszy, a kiedy już zabierał swoją walizkę, ja przeczytałem jego nazwisko i zażartowałem: „Powinniśmy chyba się zaprzyjaźnić, bowiem razem tworzymy całość”. Chodziło mi o to, że między nim, Capmanem, i mną, Solem, mieściło się całe ciało \*. Dodałem jeszcze: „Pozwól, że ci pomogę z tą walizką”, gdyż w porównaniu ze mną wydawał się bardzo drobny. Rzecz w tym, że był młodszy ode mnie prawie o dziesięć lat. Ja miałem wówczas lat dwadzieścia pięć, a on nie skończył szesnastu i do tego był mały jak na swój wiek. Nie wiedziałem wtedy jeszcze (choć powinienem się domyślić), że Capman to zupełnie szczególna postać. Właśnie w tamtym roku podwyższono dolny limit dla wступujących na uczelnię do dwudziestu sześciu lat, i ja sam miałem spore trudności, by się tu dostać. Capman, zdając testy, nie wypełnił rubryki „wiek”, tak więc członkowie komisji nie wiedzieli, ile ma lat, przed zapoznaniem się z jego pracami egzaminacyjnymi. Gdy je przeczytali, uznali, że należy koniecznie przymknąć oko na wsze-

lkie przepisy i przyjąć go na studia.

Wie Pan, jak to jest, kiedy człowiek znajdzie się na nowym miejscu; każda przyjaźń jest wówczas silniejsza niż zwykle. Od chwili naszego pierwszego spotkania przez cały tydzień

\* *Sole* znaczy po angielsku „spodnia część stopy”, a *Capman* „człowiek w czapce” (przyp. tłum.).  
lub dłużej łączyliśmy wszędzie razem, a kiedy rozdzielano kwatery, postanowiliśmy zamieszkać wspólnie, przynajmniej przez pierwsze kilka miesięcy. Dzielił się pokój przez ponad dwa lata, do momentu, kiedy Capman podjął studia podyplomowe.

Wydaje mi się teraz, że gdybyśmy nie mieli wspólnego pokoju, spędzalibyśmy jeszcze więcej czasu razem. Jeden z nas musiał używać łóżka w nocy, zaś drugi spać w dzień (o noclegi na Hopkinsie było wówczas jeszcze trudniej niż dzisiaj). Robert zdecydował się sypiać w ciągu dnia, ale nie zajmowało mu to zbyt wiele czasu. Nigdy nie potrzebował dużo snu. Często po powrocie z zajęć zastawałem go siedzącego przy biurku — potrafił pracować cały dzień nad jakimś interesującym go problemem i zupełnie nie czuł się senny. „Zdrzemnę się przez pół godzinki” — mawiał wtedy. Po tak krótkim odpoczynku był całkowicie wypoczęty i mógł normalnie uczestniczyć w zajęciach.

Pyta Pan, jaki przedmiot studiował Capman. Biochemię — tak jak ja, ale on szalenie pasjonował się zagadnieniami teoretycznymi. Starał się rozgryźć różne problemy, których nikt poza nim nie próbował nawet podejmować i które nigdy nie były poruszane na egzaminach. Zdarzało mi się czasami usłyszeć rozmowy profesorów o nim, wcale nie byli pewni, czy cieszą się z takiego studenta, czy też działał im on na nerwy. Widzi Pan, bardzo szybko przekonali się, że nie zadowala go nigdy zbyt prosta i gładka odpowiedź. Jeśli taką otrzymał, wracał następnego dnia i z drobiazgową dokładnością spierał się z nimi na temat najbardziej niejasnych kwestii.

Nie wiem, czego jeszcze chciałby się Pan dowiedzieć. Zasadnicze informacje, które Pan przytoczył, są zgodne z prawdą. Wiem, że studiował na Hopkinsie od roku '05 do roku '09, po czym wyjechał do Europy i podjął studia na jednej z tamtejszych uczelni. O ile pamiętam, było to Cambridge. Spędził tam dwa lata. Wrócił, aby objąć stanowisko asystenta w Fundacji Melforda. Właśnie tam zdobył sławę po opublikowaniu taksonomii form dozwolonych. Rzecz jasna, zaczął pracować nad tym zagadnieniem znacznie wcześniej, już wkrótce po rozpoczęciu studiów na Hopkinsie. Pamiętam, jak przychodził do mnie i innych studentów biochemii z długimi listami symboli na ogromnych płachtach papieru i próbował nam je objaśniać. Nie wiem jak inni, ale ja naprawdę nic z tego nic rozumiałem.

Capman nie miał zbyt wielu przyjaciół na Uniwersytecie Hopkinsa. Wydaje mi się, że spośród wszystkich osób, które tam poznał, ja byłem mu najbliższy. Jeśli chodzi o sprawy seksualne, to właściwie nie interesował się ani mężczyznami, ani kobietami, i nie przypominam sobie, by w czasach kiedy go znałem, był z kimkolwiek związany, z jednym chyba wyjątkiem — mam na myśli to, co łączyło go z Bethą Melford w okresie, gdy pracował w Fundacji Melforda. Była znacznie starsza od Capmana, ale to im nie przeszkadzało. Wraz z grupą ludzi mieszkających w różnych miejscach we Wszechświecie zorganizowali coś w rodzaju stowarzyszenia. Nazwali je Towarzystwem Księżycowym, chyba dla żartu, bo, o ile wiem, nie miało nic wspólnego z Księżycem. Wśród jego członków znalazły się ważne (wówczas lub nieco później) osobistości. Nie sądzę, by bliskie związki fizyczne, tworzące się czasami między tymi ludźmi, miały zbyt poważny charakter, żaden chyba nie trwał dłużej niż parę tygodni. Panowała opinia, że oni wszyscy to jedna banda cyników.

Nie chciałbym, aby Pan źle zrozumiał ostatnie zdania. Robert Capman był wspaniałym człowiekiem, któremu powierzyłbym własne życie. Mówię tak, mimo że przez ostatnie czterdzieści lat nie kontaktowaliśmy się ze sobą bezpośrednio. Docierały do mnie z Ziemi jakieś plotki, że podobno, prowadząc swoje doświadczenia, mordował ludzi. Nie wierzę w te historie. Są to z pewnością sztuczne sensacje — agencje informacyjne zrobią wszystko, aby wzbudzić zainteresowanie. Zawsze powtarzam, że ludzie z holowizji to po prostu łgarze. Nie mo-



zna wierzyć w to, co nam teraz mówią, tak jak nie należało dawać wiary ich opowieściom o zaginięciu Yifera w roku '90. Dobrze to pamiętam.

Oczywiście, wszystkie opisane przeze mnie fakty zdarzyły się wiele lat temu, ale pamiętam je znakomicie, gdyż miały miejsce w okresie mojej młodości. Obecne wydarzenia łatwo uciekają mi z pamięci, nie powinienem jednak narzekać, gdyż cieszę się niezłym zdrowiem, mimo że w następnym tygodniu będę obchodził moje sto dziewiąte urodziny. Przepraszam, że tak długo zajęło mi przygotowanie odpowiedzi, ale sądziłem, iż lepiej uczynić to w formie pisemnej. Wspomniał Pan, że wypytywał Pan o Roberta jego przyjaciół; mam nadzieję, iż poda Pan im mój adres w razie, gdyby któryś z nich chciał się ze mną skontaktować. Byłoby miło znowu ich zobaczyć i powspominać stare czasy. Oczywiście nie mógłbym udać się w żadne miejsce o dużej grawitacji, ale być może ktoś zechciałby odwiedzić mnie tutaj.

Mam nadzieję, że ten list okaże się pomocny dla Pana, i chcę wierzyć, że przyczyni się do tego, by plotki na temat Roberta Capmana zaczęły cichnąć.

Ludwig Plato Sole

Bey przeczytał uważnie cały list, po czym dołączył do sterty innych. Była to ostatnia odpowiedź na rozesłane przez niego pytania i miał szczęście, że ją w ogóle otrzymał. Do listu dołączona była krótka notka, napisana przez naczelnego lekarza Wolnej Kolonii, z której wynikało, iż Ludwig Sole w błyskawicznym tempie tracił zdolność posługiwania się maszynami biologicznego sprzężenia zwrotnego. Należało przypuszczać, że nie nadejdą już żadne informacje z Rezydencji Słonecznej. Ale właściwie nie są mi już potrzebne — pomyślał Bey. List Sole'a mówił o tych samych sprawach, co pozostałe, jednakże jego autor, w okresie gdy Capman studiował na Hopkinsie, znał go stosunkowo najlepiej.

W ciągu ośmiu miesięcy od chwili zniknięcia Capmana Wolfowi udało się z trudem ustalić adresy czterdziestu siedmiu jego żyjących znajomych i bliskich współpracowników. Najstarszy miał sto dziesięć lat, najmłodszy — prawie dziewięćdziesiąt.

Podsumowanie wszystkich odpowiedzi nadesłanych na przygotowane pytania wypadło zaskakująco. W żadnym z opisów Capmana Bey nie znalazł choćby najdrobniejszej wzmianki o okrucieństwie czy megalomanii. Owszem, była mowa o dziwactwach, ale dziwactwach świadczących o bardzo intensywnej, samodzielnej pracy umysłu, przypominających Newtona czy Archimedes; kaprysach będących skutkiem samotności geniusza. Czy jakieś przypadkowe wydarzenie dwadzieścia siedem lat temu mogło spowodować istotne zmiany? „Genialne umysły są blisko spokrewnione z szaleństwem”, co do tego nie ma żadnych wątpliwości — a jednak Robert Capman nie pasował do owego schematu.

Bey sięgnął po poźółkłą kartkę doczepioną do listu Sole'a. Pokryta wyblakłym i prawie nieczytelnym pismem stanowiła relikwinię minionej epoki. Był to odpis dokumentu uniwersyteckiego Capmana. Dziwne, że Sole nie wspomniał o nim w swoim liście. Bey zwiększył strumień światła padający na kartkę i chwilę eksperymentował z częstotliwościami fal poszczególnych lamp, aż uzyskał optymalne warunki do odczytania cienkiego niebieskiego druku.

*Robert Samuel Capman, urodzony 26 czerwca 2090.*

*Data wstąpienia na Uniwersytet: 5 września 2105. Kategoria: BIO/CHEM/FIZ/MAT.*

Bey pochylał się nad poźółkłym papierem. Pod ogólnymi danymi biograficznymi znajdowała się ledwo widoczna długa lista liczb, jakiej jeszcze nigdy nie widział.

Przypominała wydruk profilu psychologicznego, chociaż format był raczej odmienny. Wolf podłączył się do centralnego komputera Kontroli Form i włączył dodatkowo czytnik optyczny. Skaner miał początkowo pewne trudności z rozszyfrowaniem treści zapisu, ale po kilku próbach i korektach wątpliwych znaków ukazał się napis potwierdzający dokonanie prawidłowego odczytu.

Bey zażądał powiększenia czcionki na ekranie i czekał z niecierpliwością na wynik operacji przeprowadzanej bezdźwięcznie przez komputer. Jego pragnienie odnalezienia Capmana

bynajmniej nie osłabło w ciągu tych miesięcy, jakie upłynęły od pamiętnego wieczoru w podziemiach Starego Miasta. Wręcz przeciwnie — determinacja Beya jeszcze wzrosła. Pogodził się z myślą, że poszukiwania potrwać prawdopodobnie całe lata. Wszystkie fakty wskazywały na to, że Capman opuścił Ziemię, a uganianie się za nim po całym Układzie Słonecznym wyglądało raczej na bezcelowe, nawet gdyby FPZ włączyła się do współpracy, do czego najwyraźniej wcale się nie paliła. Pozostawała teoria przeformowań. Z każdym dniem Wolf przekonywał się coraz bardziej, jak słuszna była rada, której udzielił mu Capman. W miarę jak pogłębiał swoją wiedzę, otwierały się przed nim coraz to nowe horyzonty, a przecież wciąż znajdował się dopiero na początku drogi. Zaczynał rozumieć, w jaki sposób — i jak wspaniale! — pracował umysł Capmana.

Komputer wydawał się wreszcie zadowolony z wyników swej pracy nad rozpoznawaniem znaków. Bey niecierpliwie obserwował ekran wypełniany się opisem końcowej interpretacji analizowanego tekstu. Miał teraz przed sobą zawarte w nim informacje i chociaż forma zapisu znacznie odbiegała od współczesnej, był jednak w stanie wszystko zrozumieć. Poziom inteligencji, rodzaje zdolności, umiejętności mechaniczne, możliwości asocjacyjne, ilorazy świadomości i podświadomości, paralogika, związki nieliniowe — na wykazie podane były wartości numeryczne tych wskaźników.

Bey przebiegł szybko wzrokiem dane z ekranu. Zaskoczyły go słabe wyniki w niektórych dziedzinach. Mniej więcej w połowie listu zaczął rozpoznawać znajome cechy. Przerwał lekturę oszołomiony oczywistymi wnioskami, jakie musiały mu się nasunąć. Cały profil był mu doskonale znany. Szczegóły nieco się od siebie różniły — nie ma przecież dwóch identycznych osób — ale podobieństwo było uderzające. Bey Wolf znał ten profil psychologiczny równie dobrze jak odbicie swojej twarzy w lustrze...

Wciąż jeszcze siedział nieruchomo przed ekranem, gdy z położonego piętro wyżej wydziału naprawczego powrócił Larsen. Nie zwracając uwagi na zadumaną minę Wolfa zaczął wyrzucać z siebie podnieconym głosem:

— Już po kłopotach — nastąpił przełom w sprawie kształtu salamandry. Biuro w Victorii odkryło całą grupę. Jeżeli wyruszymy natychmiast, możemy użyć wejściówki do Łącznika zarezerwowanej dla nas przez Wydział Transportowy. Wstawaj, idziemy!

Bey otrząsnął się z zamyślenia i podniósł z krzesła. Jak zawsze, obowiązki stały na pierwszym miejscu. Rzucił ostatnie smutne spojrzenie na zapis, który wciąż jeszcze jaśniał na ekranie, i wyszedł z Larsenem z pokoju.

## CZEŚĆ DRUGA

### ROZDZIAŁ 10

Po raz pierwszy potwory pojawiły się przy wybrzeżu Guam. Wszystkie trzy stały ramie przy ramieniu na dnie morza, patrząc w kierunku zachodnim na brzeg wyspy. Za nimi rozciągał się niezgłębiony Rów Mariański. Delikatne promienie słońca zdawały się umykać przed ich mrocznymi konturami poruszającymi się powoli w chłodnej spokojnej wodzie.

Zdumionemu i przerażonemu Linowi Maro, który krążył właśnie nieopodal w swej nowej formie skrzelowej, wydawało się, że sunęły one powoli do przodu i wspinając się na przybrzeżny szelf, systematycznie zmierzały z mrocznych głębi ku odległej wyspie. Zapomniawszy o długich miesiącach treningów i kontrolowanym sprzężeniu zwrotnym Lin otworzył szeroko usta ze zdziwienia, wskutek czego jakieś pół litra ciepłej morskiej wody powędrowało do jego płuc. Kaszląc i plując, ze skrzelami pracującymi na pełnych obrotach, przebył 150 stóp dzielących go od powierzchni morza i jak mógł najszybciej popłynął w stronę bezpiecznego brzegu. Spojrzawszy wstecz przekonał się, że monstra ścigają go. Zobaczył szerokie pyski z wielkimi błyszczącymi ślepiami, otoczone kłębami lepkich, gęstych włosów. Spieszył się, jak mógł, i dlatego nie dostrzegł stalowych obciążników, które nie pozwalały potworom oderwać się od dna.

Mieszkańcy wyspy różnie przyjęli opowieść Lina, niektórzy byli rozbawieni, inni wzruszali ramionami. Lin po raz pierwszy przebywał w nowej formie w środowisku naturalnym. Wiadomo, że różnica między symulacją a światem realnym jest ogromna. Niewielkie halucynacje, drobne zaburzenia centralnego układu nerwowego — takie rzeczy zdarzały się podczas pierwszych spacerów w nowych kształtach KUB. Ostatecznie gwarancje dotyczyły wyłącznie funkcji mechanicznych, a nie odczuć zmysłowych. Maro szukał uparcie kogoś, kto okazałby chociaż niewielkie zainteresowanie jego przygodą. Miejscowy dziennikarz, który zgodził się w końcu popłynąć wraz z nim we wskazane miejsce, zdecydował się na to nie dlatego, że się dał przekonać, ale po prostu z nudów. Wyruszyli następnego dnia; Maro w swej nowej formie, zaś reporter w wypożyczonym stroju płetwonurka.

Potwory stały ciągle w tym samym miejscu. Gdy ostrożnie podpłynęli bliżej, okazało się, że Lin uciekał przed trupami. Obaj mężczyźni opłynęli je dookoła, ze zdumieniem przyglądając się pomarszczonej szarej skórze, masywnym torsom i wielkim ciemnym oczom.

Kiedy cała ta historia trafiła na łącza telekomunikacyjne, nie wywołała wcale szczególnego zainteresowania. Od trzystu lat pisarze wymyślali monstra, które wynurzały się z głębin Rowu Mariańskiego i atakowały cywilizację, używając najróżniejszych wstrętnych metod. Głupawe komunikaty pozwalały zwykłym ludziom zapomnieć na jakiś czas o wskaźnikach społecznych, głodzie i innych rzeczywistych problemach, budziły jednak niewiele emocji wśród specjalistów. Nie odnotowano żadnej paniki na wybrzeżu ani masowych ucieczek w góry.

Stosunkowo największe zainteresowanie trójka potworów wywołała wśród pracowników guamskiego akwarium i wiwarium. Grupa biologów morskich na jeden dzień przerwała studia nad planktonem i udała się nad morze. Najpierw obejrzeni ciała na dnie, następnie za pomocą skomplikowanej maszyneryi unieśli je na powierzchnię, zamrozili i przewieźli na

poduszkowcu na brzeg, aby tam przeprowadzić prawdziwe badania. Już pierwsze oględziny w laboratorium wykazały istotne anomalie. Były to zwierzęta lądowe, a nie morskie. Oddychały płucami i miały grubą skórę, a także mocne szkielety. Rutynowo pobrano próbki tkanek w celu przeprowadzenia identyfikacji chromosomowej i porównania ze znanymi gatunkami.

Kody chromosomowe zostały przesłane do centralnego banku danych w Madrycie. W tym momencie na całej planecie zapaliły się światła ostrzegawcze, i rozdzwoniły się brzęczyki alarmowe. Błyskawiczna odpowiedź komputera nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości. To były ludzkie kody chromosomowe.

Informacje przekazywane nieprzerwanie po powierzchni Ziemi za pomocą kabli, łączy ComSatu, Łącznika Mattina, laserów i nadajników mikrofalowych, są zbierane i rozdzielane przez niewielką liczbę węzłów. Wolfowi udało się po wielu staraniach i zabiegach doprowadzić do tego, że Biuro Kontroli Form stało się jednym z nich. Jego ostatni awans na szefa tejże instytucji umożliwił mu posiadanie we własnym pokoju terminalu interakcyjnego i Bey doznawał zawsze szczególnej przyjemności, gdy siedząc przy nim śledził wszelkie zaburzenia, jakie pojawiały się w regularnym przepływie informacji. John Larsen opowiedział kiedyś o nim, że przypomina tłustego pająka czatującego na łup, i to porównanie bardzo Wolfowi odpowiadało. Lubił podkreślać, że jego sieć była tylko jedną z wielu i to wcale nie najważniejszą — Populacja, Wyżywienie i Energia miały znacznie większy personel i znacznie większe budżety, twierdził jednak, że sprawy, z jakimi miał do czynienia, należało załatwić w możliwie najkrótszym czasie, potrzebował więc systemu pracującego szybciej od innych.

Bey siedział przy terminalu badając pewną formę wszystkożerną, której twórca twierdził, iż je naprawdę wszystko — rośliny, zwierzęta i minerały. Zupełnie nie zwracał uwagi na szalejącą na zewnątrz nie zapowiedzianą burzę śnieżną, a kiedy nadejście priorytetowych informacji o Potworach Mariańskich (jak prasa nazwała odkrycie na wyspie Guam) zmusiło go do przerwania pracy, ogarnęła go irytacja. Gdy jednak poznał szczegóły sprawy obudziło się w nim zainteresowanie. Wyglądało na to, że jakaś nowa grupa przeprowadzała nieudane eksperymenty przy użyciu urządzeń przeformowujących. Ich efekty różniły się zdecydowanie od wyników dotychczasowych doświadczeń.

Zadał komputerowi kilka rutynowych pytań, choć właściwie dobrze wiedział, jakie otrzyma odpowiedzi. Czy te doświadczenia były autoryzowane jako badania medyczne? Czy opisane formy znajdowały się w spisie kształtów zakazanych? Jak tego oczekiwał, banki danych udzieliły negatywnych odpowiedzi. Czy należało przeprowadzić szybką akcję mającą na celu powstrzymanie rozprzestrzeniania się potencjalnie niebezpiecznych form? Odpowiedź na to pytanie była znacznie trudniejsza. Komputer stwierdził, że posiada zbyt mało danych, co oznaczało, iż decyzja musi być podjęta przez człowieka — w tym wypadku przez Beya Wolfa.

Odetchnął głęboko z uczuciem satysfakcji, po czym zażądał od komputera dodatkowych informacji. Ekran wypełniły wyniki testów. Komórki stanowiły mieszaninę form haploidalnych i diploidalnych o dziwnych właściwościach, zarówno chemicznych, jak i strukturalnych. Płuca miały zmienioną strukturę pęcherzyków. Dołączony do analizy komentarz wskazywał na podobieństwo do zwierząt przystosowanych do życia pod wysokim ciśnieniem. Najdziwniejsze były jednak wielkie oczy, które reagowały głównie na bliską podczerwień. Inny komentarz przypominał, że promieniowania w tym zakresie woda niemal zupełnie nie przepuszcza.

Bey pobierał wydruki z komputera. Lubił zaczynać pracę nad nową sprawą od stawiania najbardziej podstawowych pytań. Jakiemu celowi miała służyć nowa forma? W jakim środowisku mogła funkcjonować najefektywniej? No i najważniejsze: jakimi motywami kierował się twórca? Jeśli znało się odpowiedzi na te pytania, następny krok w sekwencji przeformowań można było zazwyczaj przewidzieć.

Niestety, tym razem metoda zawiodła. Bey zaklął cicho i rozparł się wygodnie w fotelu. Potwory Mariańskie łamały wszystkie reguły. Choć poświęcił kilka godzin na zgłębianie ich parametrów fizycznych, nadal nie potrafił określić, w jakim środowisku mogłyby egzystować.

Należało zmienić taktykę i podejść do zagadnienia od Innej strony. Więc dobrze, w jaki sposób te formy znalazły się na dnie morza? Z pewnością same się tam nie ulokowały. A co było przyczyną ich śmierci? Odpowiedź na to pytanie zawierały dokumenty medyczne. Zgon nastąpił skutkiem uduszenia. Najprawdopodobniej po śmierci przywiązano do ich ciał stalowe obciążniki, po czym zrzucono wszystkie trzy do morza. Zapewne z jednostki nawodnej, bo w raportach nie było żadnych wzmianek o uszkodzeniach skóry.

Skąd pochodziły? Sięgnął po katalog ośrodków przeformowywania. Obejmował on wszystkie laboratoria na kwiecie dysponujące systemami do podtrzymywania czynności życiowych, które mogły być potrzebne nowym formom. Zaczął uważnie przeglądać spis, próbując odnaleźć jakiś związek pomiędzy specyfiką poszczególnych ośrodków a przekształceniami dokonanymi na Potworach Mariańskich. Kiedy przewertował już kilkanaście stron, w drzwiach pojawił się Larsen, który wracał z zebraniu poświęconego zatwierdzeniu nowych form proponowanych przez KUB.

Zatrzymał się w progu.

— Jak to możliwe, Bey? Pracujesz w tym pokoju zaledwie od miesiąca, a już zrobiłeś z niego zupełny śmietnik!

Bey powiódł wzrokiem dokoła i zdumiał się na widok ogromnych stosów nowych wydruków i zestawień dotyczących procesów przeformowywania. Cały pokój był nimi zawalony.

— Trochę się tego zebrało. Chyba się rozmnażają po nocach. Pozwól tu, John, i zerknij na ten opis. Obawiam się, że posiedzenie nie rozpało zbyt twojej wyobraźni, co?

Larsen odsunął stertę wydruków i opadł na krzesło. Zawsze podziwiał Beya za umiejętność logicznej i efektywnej pracy w totalnym bałaganie.

— Było ciekawsze niż zwykle — odpowiedział. — Pokazano kilka niezłych modeli. Dwie formy C przystosowane do przebywania w warunkach słabej grawitacji. Mogą zrewolucjonizować pracę na asteroidach, ale jak zwykle wywołały protesty przedstawicieli Belterów.

— Oczywiście — zawsze znajdują się jacyś luddyci. — Bey miał słabość do używania dawno zapomnianych słów, mimo że słuchacze często ich nie rozumieli. — Za kilka lat ustawa zostanie zmieniona. Formy C są na tyle lepsze od starych modeli, że właściwie nie można ich w ogóle porównywać. Uwierz mi, Capman na zawsze zmienił metody badania Kosmosu. Belterzy twierdzą, że z ich powodu tracą pracę, ale nie jest to żaden argument. Formy starego typu są anachronizmem, gdy idzie o pracę w przestrzeni kosmicznej.

Włączył czytnik z ekranem i z jednej ze stert wyciągnął kilka dokumentów.

— Przetaw nieco swój umysł, a opowiem ci o najnowszym problemie. Coś w stylu Capmana. Gdybym nie był przekonany o jego nieobecności na Ziemi, sądziłbym, że to jego robota.

Streścił pokrótce sprawę odkrycia na Marianach, a swą opowieść zakończył pytaniem o pochodzenie form.

— Domyślam się, że na teren Marianów dotarły przez któryś z wylotów Łącznika — powiedział. — Pytanie, przez który? Jest ich dwadzieścia do wyboru. Gdyby nie to, że nie wierzę, by te formy mogły dotrzeć tam spoza Ziemi, podejrzewałbym, że to kosmici!

— Z ludzką identyfikacją chromozomową? Jakbyś to wytłumaczył, Bey?

Larsen podszedł do ekranu na ścianie, na którym Wolf wyświetlił położenia wylotów Łącznika Mattina.

— Zgadzam się z tobą, Bey: one musiały powstać w ziemskim laboratorium. Jeśli przybyły przez łączniki, moglibyśmy od razu wyeliminować kilka z nich — te, które znajdują się na otwartym oceanie i służą wyłącznie jako punkty transferowe. Czy skorelowałeś któreś z

wielkich laboratoriów przeformowujących z wylotami Łącznika Mattina?

— Zacząłem, ale to ciężka robota. Czekam na więcej danych od komputera, a także na pełną identyfikację trzech ciał. Nie wiem, czemu zabiera to tyle czasu. Nadałem tym badaniom najwyższy priorytet.

Stanął obok Larsena przy ekranie ściennym. Wspólnie zaczęli badać rozmieszczenie wylotów Łącznika Mattina, które stanowiły najważniejsze punkty globalnego systemu transportowego. Po jakimś czasie usłyszeli brzęczyk komunikatora. Wolf nie przerwał pracy i nadal notował wyniki analizy, Larsen podszedł do wyświetlacza. Spojrzał na przesuwający się powoli tekst informacji i gwizdnął cicho.

— Chodź tutaj, Bey, i popatrz! — zawołał. — Nie bez powodu znalezienie odpowiedzi zajęło Danym Centralnym tyle czasu. Nadal twierdzisz, że te formy nie są pochodzenia pozaziemskiego?

Początek komunikatu brzmiał następująco: BADANIA ZAKOŃCZONE. IDENTYFIKACJA PRZEPROWADZONA. OSOBNICY PODDANI IDENTYFIKACJI TO: JAMES PEARSON MANAUR, WIEK 34 LATA, OBYWATELSTWO FPZ; CAPERTA LAFERTE, WIEK 25 LAT, OBYWATELSTWO FPZ; LAO SARNA PREK, WIEK 40 LAT, OBYWATELSTWO FPZ. TERAZ NASTĘPUJĄ DANE BIOGRAFICZNE (KONTYNUOWAĆ/STOP)?

Bey nacisnął klawisz KONTYNUOWAĆ. Na ekranie pojawiły się szczegółowe informacje o wykształceniu, pracy, pochodzeniu, rodzinie, statusie majątkowym. Bey zauważył, że wszyscy trzej byli multimilionerami, ale jego umysł wciąż jeszcze pracował przede wszystkim nad tym, co uznał za sprawę najważniejszą. Wszyscy trzej byli obywatelami FPZ i to stanowiło prawdziwą tajemnicę. Od czasu gdy FPZ proklamował niepodległość (nastąpiło to pięćdziesiąt lat temu, w roku 2142), jego mieszkańcy pojawiali się na Ziemi bardzo rzadko. Zniknięcie aż trzech musiało z pewnością wywołać wiele szumu, jeszcze na długo zanim ich ciała znaleziono w pobliżu brzegów Guam.

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Widząc uniesione brwi Wolfa Larsen skinął głową.

— Masz rację. To nie ma zupełnie sensu. W FPZ nadal obowiązuje zakaz doświadczeń z przeformowywaniem. Jeśli nie akceptują form C, tym bardziej nie eksperymentowaliby z zupełnie nowymi modelami, nawet w ramach programu obronnego. A jeszcze trudniej uwierzyć, że przenieśli nieudane egzemplarze na Ziemię.

— Nawet gdyby mogli to zrobić. Pamiętaj o ścisłej kwarantannie obowiązującej od czasu, gdy pojawiły się zarodniki Purcella. — Wolf potrząsnął głową. — Cóż, jeśli chodzi o dalszy tok postępowania, to nie mamy specjalnego wyboru. Musimy włączyć do dochodzenia ludzi z FPZ. Sprawa jest zbyt poważna, byśmy mogli prowadzić ją sami.

Nie bez powodu czuł się przygnębiony. Śledztwo stawało się sto razy bardziej skomplikowane. Jeśli poprowadziliby je dalej bez współdziałania z FPZ mogłoby to jednak spowodować incydent międzyplanetarny.

— Wyślę oficjalną prośbę o współpracę — powiedział Larsen. — Im mniej będą się chcieli na razie dowiedzieć, tym lepiej. Przedstawię im nagie fakty i niech sami decydują, kogo mają przysłać z Tycho City. Miejmy nadzieję, że będzie to ktoś, kto przynajmniej potrafi napisać bez błędów ortograficznych słowo „przeformowywanie”...

W czasie gdy rozmawiali, komunikator nadal przekazywał informacje, zarówno na ekranie, jak i w postaci wydruku. Zaczął właśnie prezentować korelację między położeniem wylotów Łącznika i laboratoriów przeformowujących. Bey zdążył już zapomnieć, że żądał takiego zestawienia... Zapowiadał się długi i męczący dzień.

Nie zdziwiło ich wcale, że na scenie pojawiła się także KUB. Kolejna informacja dotyczyła zajętego przez nią oficjalnego stanowiska.

Korporacja Urządzeń Biologicznych (KUB) przedstawiła dzisiaj formalne oświadczenie, w

którym zaprzecza, by wiadomo jej było cokolwiek na temat ludzkich ciał odnalezionych ostatnio w Pacyfiku. Przedstawiciel KUB poinformował nas, że co prawda ciała te były poddane procesowi przeformowywania, niemniej żaden z programów prezentowanych przez KUB obecnie bądź w przeszłości nie mógłby wytworzyć kształtów przypominających odnalezione w okolicy Guam. W drodze wyjątku KUB zgodził się przedstawić dokumentację dotyczącą form będących obiektem bieżących badań, wezwał także rząd do przeprowadzenia inspekcji laboratoriów.

— To coś nowego — zauważył Bey. — Musieli się na prawdę przestraszyć. Oczekiwałem, że KUB zajmie bardziej zdecydowane stanowisko, oświadczy, że jest winna lub niewinna. Nigdy jeszcze do tej pory nie zdradzali sekretów dotyczących nowych form. Chyba tracą instynkt handlowy.

— Niezupełnie — Larsen wskazał na końcowy fragment wiadomości. — Ciekawe, ile musieli zapłacić za do czepienie tych paru linijek do serwisu informacyjnego.

Dwa ostatnie zdania tekstu brzmiały następująco:

KUB jest pionierem i największą światową firmą w dziedzinie produkcji aparatury służącej do świadomego przeformowywania przy użyciu metod biologicznego sprzężenia zwrotnego. Udostępniliśmy zastrzeżone informacje mogące pomóc w prowadzonym dochodzeniu absolutnie dobrowolnie, ze względu na interes publiczny.

— No tak — mruknął Bey. — To już bardziej w stylu KUB. Stary Melford nie żyje od dawna, ale założę się, że jego szkielet uśmiecha się w grobie.

## ROZDZIAŁ 11

Trzecie pokolenie obywateli FPZ przypomina najlepszych graczy w kanu: są zazwyczaj drobni i szczupli, ruchliwi, lecz niezbyt silni. Dlatego Bey był mocno zaskoczony, gdy ponad dwumetrowy i umięśniony jak zapaśnik olbrzym, który wkroczył do jego pokoju, okazał się być przedstawicielem FPZ oddelegowanym do współpracy z Biurem Kontroli Form w śledztwie dotyczącym sprawy guamskiej. Bey popatrzył na wysoką postać i już chciał zadać przybyszowi pewne pytanie, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Niewiele to pomogło. Park Green spojrzał na Beya ze zrozumieniem, a na jego dziecinnej twarzy wykwitł szelmowski uśmieszek.

— Panie Wolf, niech się pan nie krępuje — powiedział. — Proszę pytać. I tak zrobiłby to pan kiedyś.

Bey odwzajemnił uśmiech.

— W porządku. Czy korzystał pan z aparatury do przeformowywania? Sądziłem, że jest ona w FPZ zakazana, z wyjątkiem zastosowań leczniczych.

— To prawda, i ja jej nie używałem. Takim stworzyła mnie natura. Może się pan domyślać, jak trudno być oficjalnym przedstawicielem FPZ komuś, kto wygląda, jakby sam się zabawiał tą całą maszyną.

Wolf pokiwał głową z uznaniem.

— Nie jestem przyzwyczajony, by tak łatwo odczytywano moje myśli.

— Mam spore doświadczenie, gdy chodzi o mój wygląd. Uznałem, że zanim przystąpimy do pracy, powinienem rozwiązać pańskie wątpliwości. Co nowego w sprawie Guam? Polecono mi jeszcze dziś wieczorem wysłać sprawozdanie do Tycho City, a zupełnie nie wiem, co napisać. Czy w laboratorium ustalono już czas i przyczynę zgonów?

— Wszyscy zmarli trzy dni temu w odstępie kilku godzin. Powodem było uduszenie, ale cała sprawa wygląda dziwnie. W ich płucach znaleziono normalne powietrze — żadnych

gazów trujących ani innych substancji skażonych, Zadusili się tym samym powietrzem, które wdychamy w tej chwili!

Park Green pociągnął nosem i na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— Przekształcili się w formy, dla których powietrze jest substancją trującą. To mi się nie podoba. Czy wiadomo coś o tym, w jaki sposób ciała znalazły się na dnie morskim?

— Umieszczono je tam najpóźniej dwadzieścia cztery godziny po ich śmierci. Musiało to nastąpić w nocy, w przeciwnym razie ktoś wcześniej doniósłby o znalezisku. W tych okolicach każdego dnia łowi ryby wielu pasterzy. Myślę, że umarli daleko od miejsca, w którym ich znaleziono.

— Proszę mi wybaczyć ignorancję, ale nie bardzo pojmuję pańskie rozumowanie.

— Ja tylko snuję przypuszczenia. Wydaje mi się jednak, że zwłoki chciano ukryć na dnie Rowu Mariańskiego. Nikt by ich nie odnalazł pięć mil pod wodą. Przez przypadek opuszczono je w morze o kilka mil za daleko na zachód, co wskazuje, że zrobiła to osoba, która nie znała za dobrze geografii tego regionu. Ktokolwiek to uczynił, bardzo się poza tym spieszył, inaczej byłby znacznie ostrożniejszy. Z tego wszystkiego wynikałoby, że nastąpił jakiś wypadek i nie było czasu na układanie szczegółowych planów. Komuś zależało na ukryciu dowodów jak najszybciej i jak najdalej. Nie wygląda pan na szczególnie zaskoczonego moimi wywodami — dodał na zakończenie Wolf, widząc, że Green potakująco kiwa głową.

— Może słyszał pan coś, o czym zapomniano mnie poinformować?

Olbrzym, któremu jakoś udało się wcisnąć w krzesło, powoli pocierał policzek swoją jedenastocalową dłonią.

— To pasuje do pewnych rzeczy, które wiem o zmarłych — powiedział. — Jakie jeszcze informacje o nich udało się panu zebrać?

— Dosyć skromne — odparł Wolf. — Tylko te, które wy dobyłem z biografii umieszczonych w banku danych. Wszyscy trzej byli Belterami z tego samego statku — „Jasona”. Przybyli na Ziemię trzy tygodnie temu z kupą pieniędzy, po czym gdzieś przepadli. Nikt nie wie, gdzie przebywali do momentu odnalezienia ich ciał w pobliżu Guam. Nie było powodu, by ich śledzić, kiedy odbyli już kwarantannę. Tak przy okazji: w okresie kwarantanny nie mieli żadnych kłopotów, co wyklucza zarodniki Purcella lub jakkolwiek inną znaną chorobę. W chwili śmierci byli w połowie procesu przeformowywania.

— Wszystko to prawda — zgodził się Green — ale brakuje kilku bardzo istotnych faktów. Po pierwsze, nazwał ich pan Belterami. Formalnie rzeczywiście nimi byli. Pracowali w Pasie Asteroid. Jednak zgodnie z terminologią FPZ byli Grabieżcami — poszukiwaczami, którzy przeczesują Pas, aby znaleźć pierwiastki transuranowe. Prowadzili poszukiwania przez ponad dwa lata, aż wreszcie ich monitory wypatrzyły cząstkę Starej Łoży. Nie wiem, czy na Ziemi zdajecie sobie sprawę, że w Układzie Słonecznym jedynym naturalnym źródłem transuranowców są fragmenty Łoży, dryfujące jako komety długookresowe. Grabieżcy czają się na nie i namierzają je za pomocą czułych radarów. Jedno dobre znalezisko i są ustawieni do końca życia.

— Rozumiem, że „Jason” trafił na coś wielkiego — powiedział Wolf. — Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy ujrzałem zapis dotyczący ich stanu majątkowego.

— Znalezisko było rzeczywiście wspaniałe — przytaknął Green. — Trafili na nie jakieś trzy miesiące temu. Zawierało asfanium i polkium — pierwiastki o numerach porządkowych 112 i 114. Rozkruszyli fragment, wydobyli transuranowce, po czym — przed miesiącem — zjechali do Tycho City bogaci niczym Karkov i Melford. Tu zaczęli oblewanie, a trzy tygodnie temu odlecieli na Ziemię, żeby zabawić się na całego. Straciliśmy wówczas z nimi kontakt i nie wiem, co się dalej działo. Specjalnie się o nich nie martwiliśmy, bo przecież żaden Belter nie zechciałby osiąść na Ziemi na dłużej. Sądziliśmy, że kiedy sobie poużywają do syta — wrócą. Domyśla się pan zapewne, co zrobili później.

Wolf skinął głową.



— Chyba tak, ale chciałbym zobaczyć, do czego pan zmierza. Proszę mówić dalej.

— Wyruszyli na Ziemię — podjął Green. — Na kilka dni przed ich odlotem z Księżyca spotkałem całą trójkę w barze „Gippo”. Wyglądali okropnie. Może pan sobie wyobrazić: kilka lat harówki w Kosmosie, a potem szalone świętowanie w Tycho City... Jakby pan postąpił przybywszy w takim stanie na Ziemię? Czy nie skusiłby pana seans przyspieszonej odnowy organizmu z użyciem aparatury biologicznego sprzężenia zwrotnego? Nie jest to tak bardzo nielegalne, a przywróciłoby szybciej niż jakikolwiek inny środek znakomitą formę fizyczną. Trochę kosztuje, ale oni mieli forsy jak lodu.

— Nietrudno byłoby to zorganizować — zauważył Wolf. — Znam tysiąc miejsc, gdzie robią takie rzeczy. Nie mają tam wyrafinowanej aparatury do przeformowywania, ale chodzi raczej o trywialny zabieg. To brzmi sensownie, nie tłumaczy jednak form, które mieli w chwili odkrycia ich ciał w pobliżu Guam. Nie można ich przybrać bez pomocy wyposażonego w odpowiednią aparaturę, wysokiej klasy ośrodka przeformowań. A teraz zaprezentujemy panu nasz punkt widzenia i zobaczymy, co pan powie.

Nacisnął klawisz intercomu i poprosił Larsena o przybycie.

— Chciałbym, żebyś zastanowił się nad odpowiedzią, John — powiedział, gdy ten wszedł do pokoju. — Czy Robert Capman nie żyje?

— Sądziłem, że już od czterech lat — odpowiedział Larsen. Westchnął ciężko i wzruszył ramionami. — Teraz nie jestem tego taki pewien. — Odwrócił się do człowieka z FPZ. — Bey od początku uważał, że śmierć Capmana została sfingowana, i w pewnym stopniu zdołał mnie przekonać. Muszę przyznać, że wiele na to wskazywało, ale przez ostatnie cztery lata, czyli odkąd zniknął, nie było o nim żadnych wieści. Mimo to zgadzam się z Beyem co do jednego: formy z Guam są bardzo w stylu Capmana.

— Z całą pewnością — rzekł Bey, po czym spytał wyraźnie zaskoczonego Parka Greena. — Co pan wie o Capmanie i o tym, co robił?

Green zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział, a jego wysokie czoło pokryło się zmarszczkami.

— Mogę wam jedynie powiedzieć, co dotarło do Tycho City — odparł na koniec. — Capman był wielkim człowiekiem, wynalazcą form C przeznaczonych do życia w Kosmosie, krążą jednak pogłoski, że w trakcie swoich badań przeprowadzał eksperymenty na dzieciach, i kilkoro z nich zmarło. Proceder Capmana wyszedł w końcu na jaw, a on próbował zbiec, ale w czasie ucieczki zginął. Czy mam rozumieć, że prawda wygląda trochę inaczej?

— Myślę, że tak — powiedział Bey. — Nawiasem mówiąc, to John i ja prowadziliśmy tę sprawę i to my odkryliśmy, co robił Capman. Czy jest pan jakoś osobiście uprzedzony w stosunku do niego?

— A niby dlaczego? Nigdy go nie spotkałem i wszystko, co o nim wiem, pochodzi z drugiej ręki. Oczywiście potępiłbym go, gdyby istotnie eksperymentował na dzieciach. Ale co ta historia ma wspólnego ze mną?

— Dobre pytanie? — Wolf maszerował w tę i z powrotem przed siedzącym Parkiem Greenem. Mimo różnicy postaw ich głowy znajdowały się prawie na tym samym poziomie. — Chciałbym żeby pan poznał tok mojego rozumowania. Największy na Ziemi ekspert od przeformowywania być może żyje gdzieś w ukryciu. Pojawiają się nowe formy urągające wszelkiej logice i nie przypominające żadnych znanych dotychczas modeli. To może być Capman ze swoimi starymi sztuczkami. Ale nawet jeśli to nie jest on, chciałbym z nim współpracować nad tą sprawą — byłby idealnym partnerem. No i powinienem dodać jeszcze jedno: ani John, ani ja nie spotkaliśmy już nigdy człowieka, którego umysł wywarłby na nas takie wrażenie.

Green wiercił się niespokojnie na krześle, nie przyzwyczajony do silnej grawitacji.

— Widzę, że chcecie mi coś sprzedać, ale nie mogę zrozumieć, o co wam chodzi. Do czego chcecie mnie namówić?

— Chodzi tylko o jedno. — Wolf zatrzymał się tuż przy nim. — Pragnę odnaleźć Roberta Capmana. Z wielu powodów. Wydaje się nam, że od czterech lat nie ma go na Ziemi. Czy pomoże mi pan go odnaleźć? Nie mam pojęcia, czy przebywa na Księżycu, w Pasie, czy też może jeszcze dalej. Wiem natomiast, że nie będę mógł przesyłać wiadomości do Układu Słonecznego bez pomocy ze strony FPZ.

Green skinął głową ze zrozumieniem.

— Nie mogę dać panu odpowiedzi już teraz — odparł. — Domaga się pan znacznego wsparcia telekomunikacyjnego, a to sporo kosztuje.

— Kosztami proszę obciążyć Biuro Kontroli Form. Mój budżet jakoś to wytrzyma.

— Muszę także przedyskutować aspekty polityczne z ambasadorem Brodinem, który jest w tej chwili w Paragwaju. Zna pan Brodina: n i g d y nie wyraża zgody, jeśli nie prosi się go osobiście. — Green wstał, przeciągnął się i ziewnąwszy głęboko nappełnił powietrzem swoją sześćdziesięciocalową klatkę piersiową. — Lepiej zabiorę się za to, zanim zasną — W Tycho City żyjemy według innego czasu. Jak najłatwiej dostać się do Paragwaju?

— Łącznikiem Mattina. W Argentynie jest punkt wyjściowy, a stamtąd złapie pan lokalny lot. Za dziesięć minut będzie pan w łączniku madryckim, a potem w dwóch skokach znajdzie się pan w Argentynie. Chodźmy — John i ja zawieziemy pana do wlotu.

— Dziękuję za pomoc. Zawsze mam problemy z przyzwyczajeniem się do waszego skomplikowanego systemu. Na całym Księżycu mamy tylko cztery wloty, a u was jest ich dwadzieścia. Czy to prawda, że za kilka lat będzie jeszcze więcej?

— Nie, to nieprawda — odparł Wolf — nigdy nie będzie ich więcej.

I już idąc obok Greena ku drzwiom zaczął mu wyjaśniać, w czym rzecz. Łącznik Mattina umożliwiał bezpośrednie i natychmiastowe przebycie odległości między dowolnymi dwoma sąsiednimi punktami wlotowymi, ale ich liczba i rozmieszczenie były ściśle określone. Ze względu na wymagane idealnie symetryczne położenie każdego wlotu względem w s z y s t k i c h pozostałych, system musiał mieć kształt jednego z pięciu wielościanów foremnych. Platon ogromnie by się cieszył.

Konfiguracja oparta na dwunastościanie, z dwudziestoma wierzchołkami rozmieszczonymi na powierzchni Ziemi, stanowiła największy możliwy układ. System księżycowy był najprostszy: zaledwie cztery wloty na wierzchołkach czworościanu foremnego. Nigdy nie stworzono konfiguracji pośrednich, o symetrii sześciennej, ośmiościennej czy dwudziestościennej, choć można je było sporządzić bez trudu.

Gerald Mattin, zgorzkniały geniusz, który marzył o systemie umożliwiającym błyskawiczny i obywatelom się bez energii transport między dwoma absolutnie dowolnymi punktami, zmarł w trakcie pierwszych udanych eksperymentów testujących jego pomysły. System, jaki stworzono na podstawie jego prac, wymagał jednak sporych ilości energii, gdyż Ziemia nie jest jednorodną kulą, a czasoprzestrzeń w pobliżu jej powierzchni jest lekko zakrzywiona. Rozwiązanie Mattina odnosiło się do idealnej geometrii w płaskiej czasoprzestrzeni i nikomu nie udało się uogólnić jego wyników na bardziej realistyczne przypadki.

Po dwudziestu latach od śmierci Mattina podjęto decyzję o budowie pierwszego Łącznika na powierzchni planety, po dwudziestu pięciu nadano pierwszemu uniwersytetowi jego imię, po trzydziestu postawiono mu pierwszy pomnik.

## ROZDZIAŁ 12

— Mamy zgodę ambasadora, ale żeby ją uzyskać, musiałem zastawić własną duszę. Nie chciałbym, aby cały mój wysiłek poszedł na marne. Co robimy dalej?

Park Green siedział znowu w biurze Wolfa, wyciągnąwszy wygodnie nogi, z których

zdążył już ściągnąć buty. Bałagan panujący obecnie w pokoju był większy niż kiedykolwiek. Wydruki komputerowe, mapy i puste tacki po jedzeniu, leżały porozrzucane dosłownie wszędzie. Wolf i Larsen stali przed ekranem ściennym. Widniały na nim dwa wloty Łącznika Mattina: mariański i znajdujący się w australijskim porcie kosmicznym. Wolf nie od razu odpowiedział na pytanie Greena, najpierw odczytał wnioski.

— Z północnej Australii prosto na Mariany — mogli więc dostać się tam bezpośrednio z portu kosmicznego, wiemy jednak, że tego nie zrobili. Wlot mariański ma bezpośrednie połączenie z północnymi Chinami, Hawajami, no i oczywiście z północną Australią. Żaden z tych wlotów nie wydaje się zbyt obiecujący, bo nigdzie w pobliżu nie ma dużego laboratorium przeformowującego. Co o tym myślisz, John?

Larsen podrapał się w głowę w zamyśleniu.

— Są dwie możliwości. Albo twój domysł, że skorzystano z Łącznika jest błędny, albo też ludzie, którzy przetrzucili Potwory Mariańskie na Guam, dokonali tego etapami. Jakie ewentualności dają dwie fazy?

Wolf odczytał połączenie i potrząsnął głową.

— Startując na Marianach można w dwóch skokach znaleźć się prawie wszędzie. Na Biegunie Północnym, w Cap City na Biegunie Południowym, w Indiach, w Ameryce Północnej... Nic z tego nie wynika.

Odłożył pilota i podszedł do siedzącego Parka Greena.

— Coraz mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że potrzebujemy pomocy Roberta Capmana — powiedział — Nadal nie wiemy, w jaki sposób Potwory umarły. Zaczęły jakiś program przeformowujący, który w pewnym momencie zawiódł. Bardzo bym chciał spytać Capmana, jak się to stało.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — zauważył Green. — Co dalej robimy? Jaki jest nasz następny ruch? Ogłoszenie, że się go poszukuje, nie rozwiąże problemu — gdyby pojawił się na Ziemi, potraktowano by go jako ludobójcę.

— Myślę, że potrafię ułożyć tekst wiadomości, która do niego dotrze i wystarczająco zaintryguje, a której nic zrozumie nikt inny — odparł Wolf. — Jeśli zaś chodzi o jego bezpieczeństwo, w ogóle się tym nie martwię. Jestem pewien, że przez ostatnie cztery lata wypracował wiele skutecznych sposobów na to, by go nikt nie mógł rozpoznać. Obawiam się natomiast czegoś innego. Nie jestem w stanie przewidzieć, jak szybko musimy działać. Mógł to być odosobniony, pojedynczy wypadek, który się nigdy nie powtórzy, ale kto wie, czy to nie początek jakiejś powszechnej epidemii. Wydaje się, że nie wchodzi tu w grę nic zaraźliwego, ale nie ma na to dowodu. Trzeba zakładać najgorsze, dopóki nie będzie wiadomo, z czym naprawdę mamy do czynienia. Dajcie mi chwilę skupić się nad tym tekstem.

Końcowa wersja ogłoszenia była krótka i prosta. Została wyemitowana w ogólnowiatowym programie nadawanym do czternastu miliardów ludzi na Ziemi i retransmitowano ją do rozproszonych w Kosmosie obywateli Federacji Przestrzeni Zjednoczonych. Sygnał mógł być odebrany w obszarze rozciągającym się poza orbitę Neptuna, a dzięki stacji przekaźnikowej — nawet w części zewnętrznego Halo.

Do R.S.C. Muszę koniecznie skorzystać z Pańskich zdolności, z powodu których ściagałem Pana cztery lata temu w zaułkach Starego Miasta. Obiecuję problem godny Pańskiej Inteligencji. Behrooz Wolf.

Kłopotów przybywało. Bey musiał poświęcić sporo czasu przedstawicielowi KUB, który uparcie przedstawiał mu coraz to nowe poufne materiały, dowodzące, że korporacja nie miała nic wspólnego z formami potworów. Biuro Koordynatorów Centralnych nadesłało zwięzłą depezę z pytaniem, czy spodziewane są następne zgony o podobnym charakterze, a jeśli tak, to ile, kiedy i gdzie. FPZ wywierała na Parka Greena podobną presję. W odróżnieniu

od Wolfa nie miał on doświadczenia z tego typu naciskami, toteż większość czasu spędzał w biurze Beya obgryzając z ponurą miną paznokcie i układając pozytywnie brzmiące odpowiedzi zawierające zero informacji.

Po dwóch dniach niepewności Tycho City zareagowało w sposób bardziej zdecydowany. Kiedy wczesnym rankiem Bey pojawił się w swoim biurze, zastał tam drobnego, ubranego elegancko zgodnie z modą FPZ mężczyznę, który stał przy komunikatorze i przeglądał dane personalne trzech członków załogi „Jasona”. Odwrócił się szybko w stronę wchodzącego Wolfa, ale to, że został przyłapany na używaniu cudzego sprzętu bez pozwolenia, nie wywołało nawet śladu zakłopotania na jego twarzy. Zanim przemówił, obrzucił Beya uważnym, badawczym spojrzeniem.

— Pan Green?... — Głos pasował do jego wyglądu, brzmiał niezbyt donośnie i precyzyjnie. Raczej stwierdzał fakt, niż zadawał pytanie.

— Nie, on przyjdzie później. Ja nazywam się Behrooz Wolf i jestem dyrektorem Biura Kontroli Form. Czyni mogę panu służyć? — Bey przypomniał sobie nagle, że jego ubranie z pewnością nie należało do eleganckich, że ma nie uczesane włosy i poczuł się trochę nieswojo.

— Jestem Karl Ling, asystent rządu FPZ do zadań specjalnych. — W tonie jego głosu było coś zjadliwego i drażniącego. — Wysłano mnie tutaj, abym uzyskał konkretną odpowiedź dotyczącą śmierci trzech naszych obywateli na Ziemi. Muszę powiedzieć od razu, że wyjaśnienia przekazywane nam do tej pory przez pańskie biuro i przez pana Greena uważamy za absolutnie niewystarczające.

Arogancki sukinsyn — pomyślał Bey. Szukając w myślach jakiejś odpowiedzi przyglądał się uważnie swemu gościowi i nagle wydało mu się, że go rozpoznaje.

— Panie Ling, staraliśmy się najlepiej, jak byliśmy w stanie, przekazywać informacje o zebranych faktach — powiedział po chwili. — Sądziłyśmy, że nie byłoby rzeczą właściwą przedstawiać hipotezy, zanim nie znajdziemy sposobu ich weryfikacji. Jestem pewien, iż zdaje pan sobie sprawę ze złożoności tego przypadku i obecności szeregu czynników, z którymi dotąd się jeszcze nigdy nie zetknęliśmy.

— Oczywiście. — Ling zasiadł przy komunikatorze i z irytacją klepał się wypielegnowaną lewą dłonią po udzie. — Widzę na przykład, że jako przyczynę śmierci podaje się uduszenie. Jednakże sekcja zwłok wykazała, iż zmarli mieli w swoich płucach wyłącznie normalne powietrze, bez żadnych trujących domieszek. Może mimo wszystko zechciałby pan przedstawić mi swoją hipotezę odnośnie tej sprawy. Nie musimy czekać na naukowe potwierdzenie.

Ton wypowiedzi Linga był sceptyczny i zdecydowanie obraźliwy. Beyowi przemknęła przez głowę myśl, że wrażenie, jakie odczuł przed chwilą, spojrzawszy na gościa, było błędne. W swoich dotychczasowych kontaktach z oficjalnymi przedstawicielami rządu stosował metodę, dzięki której udawało mu się skutecznie paraliżować ich ataki. Nazwał ją techniką nasycania. Trik polegał na zasypaniu Interlokutora taką mnogością faktów, rysunków, sprawozdań, wykresów i tabel, że nie był on w stanie tego strawić i nigdy więcej się już nie pojawiał. Typowy urzędnik nie przyznaje się do tego, że nie jest w stanie zrozumieć przedłożonych mu materiałów. Bey podszedł do biurka i wyciągnął czarny notesik.

— To są moje prywatne kody, które umożliwiają korzystanie z terminalu w tym biurze. Dzięki podanym tutaj hasłom będzie pan mógł przejrzeć wszystkie dane związane ze sprawą. Jest ich dużo, więc analiza zajmie sporo czasu. Proponuję, aby pozostał pan w moim biurze i używał komunikatora jako urządzenia wyjściowego Centralnego Banku Danych. — Daje on nieograniczony dostęp do wszystkich zbiorów, tak więc nic się przed panem nie ukryje.

Bey sam czuł się trochę zażenowany własnym napuszonym stylem, ale tak właśnie należało mówić, bez względu na to, czy jego pierwsze wrażenie dotyczące Linga miało się okazać trafne, czy nie.

Gość podniósł się z miejsca. Jego oczy błyszczały. Te oczy miały niespotykany kolor — były brązowo-żółte, nakrapiane drobnymi, złotymi plamkami. Z zadowoleniem zatarł ręce.

— Wspaniale! Proszę dopilnować, by mi nie przeszkadzano. Ale z panem Greenem chciałbym się zobaczyć natychmiast, gdy tylko przyjdzie.

Karl Ling wcale nie wyglądał na pokonanego, perspektywa uzyskania mnóstwa nowych informacji najwyraźniej bardzo go ucieszyła. Bey pozostawił go samego i wyszedł, by podzielić się nowinami z Parkiem Greenem.

— Karl Ling?... — Na Greenie to nazwisko zrobiło spore wrażenie. — Pewnie, że go znam. A raczej słyszałem o nim. Osobiście nigdy się z nim nie zetknąłem, ale wiem, kto to jest. Mówi się o nim, że należy do kręgu podejmującego najważniejsze decyzje w FPZ. Jest czymś w rodzaju eksperta od Łoży i Pasa. Kilka lat temu przygotował serię programów holowizyjnych. Część jednego z nich poświęcił dziejom odkrycia Łoży. To był program popularnonaukowy, bardzo dobrze zrobiony. Zaczynał się od bardzo starej historii, sprzed wieków...

*(Odjazd kamery z oświetlonego modelu i najazd na stojącego Linga).*

— Podręczniki podają, że historia Łoży zaczęła się w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. W rzeczywistości niektóre jej wątki można odnaleźć znacznie wcześniej. Za prawdziwy początek należałoby uznać chyba rok 1766. Na krótko przed Rewolucją Francuską i powstaniem Stanów Zjednoczonych pewien niemiecki astronom odkrył wzór, który podawał względne odległości planet od Słońca. Astronom ten nazywał się Johann Titius. Jego formuła pozostawała przez kilka lat nieznaną, rozpropagował ją dopiero inny Niemiec, Johann Bode. Formuła jest nazywana obecnie Prawem Titiusa-Bodego lub tylko Prawem Bodego.

*(Ujęcie litografii Bodego w staroświeckich ramach, a następnie tabeli z odległościami planet. Najazd na miejsce w tabeli, gdzie zamiast nazwy znajduje się znak zapytania.)*

— Bode zauważył tajemniczy fakt związany ze wzrostem. Odległości Merkurego, Wenus, Ziemi, Marsa, Jowisza i Saturna — wszystkich ówczesnie znanych planet — świetnie do niego pasowały. Wydawało się jednak, że czegoś brakuje. Aby formuła rzeczywiście opisywała Układ Słoneczny, między Marsem a Jowiszem powinno znajdować się jeszcze jedno ciało niebieskie. W roku 1781 William Herschel odkrył kolejną planetę, jeszcze bardziej oddaloną od Słońca niż Saturn.

*(Kolorowy obraz Urana o wysokiej rozdzielczości. Powiększenie pierścieni. W lewym górnym rogu obrazu podobizna Herschela. Ponownie sylwetka Linga.)*

— Spełniała ona Prawo Bodego, ale nie znajdowała się w miejscu, gdzie być powinna, by wypełnić lukę między Marsem a Jowiszem. Rozpoczęto więc poszukiwania zagubionej planety. Wreszcie w roku 1800 została odkryta asteroida Ceres. Jej odległość od Słońca wynosiła dokładnie tyle, ile wynika ze wzoru. Niedługo potem zaobserwowano inne asteroidy położone w tej samej mniej więcej odległości od Słońca, co Ceres. I tak oto poznano pierwsze fragmenty Łoży.

*(Obraz Ceres. Najazd na Ceres City i system cieplarni. Ponownie diagram z odległościami planet, tym razem z kilkoma nazwami umieszczonymi pomiędzy Marsem a Jowiszem. Powrót do Linga.)*

— Teraz z kolei wydawało się, że planet jest zbyt wiele. Ponieważ wciąż odkrywano nowe asteroidy, pojawiła się hipoteza, że stanowiły one odłamki tej samej planety. Przez długi czas był to tylko domysł, nie poparty żadnym dowodem. Dopiero w roku 1972 kanadyjski astronom Ovenden przedstawił pierwszy solidny argument. Przyjawszy za punkt wyjścia obliczenia dotyczące zmian orbit planetarnych wykazał, że można je wytłumaczyć zniknięciem z Układu Słonecznego obiektu o masie wskazującej, że był on planetą, przed mniej więcej szesnastu milionami lat. Oszacował także ową masę, obliczył, że była około dziewięćdziesiąt razy większa niż masa Ziemi. Łoża zaczęła przybierać coraz bardziej określone kształty.

*(Pojawia się podobizna Owendena, a potem artystyczna wizja Łoży obok zdjęcia Ziemi w tej samej skali.)*

— Kolejny rozdział naszej historii powstał zaledwie parę lat później, w roku 1975. Uczony amerykański Van Flandern całkował orbity długookresowych komet cofając się w czasie i stwierdził, że wiele z nich ma okresy wynoszące około szesnastu milionów lat. Co więcej, wystartowały one z jednego punktu w Układzie Słonecznym, leżącego między Marsem a Jowiszem. Fragmenty Łoży po długiej nieobecności składały nam pierwszą wizytę.

*(Rysunek orbit kometarnych przedstawiający ich przecinanie się z płaszczyzną Układu Słonecznego. Animacja połączona z cofaniem się w czasie, umożliwiającą pokazanie, że wszystkie orbity zbiegają się w jednym punkcie pomiędzy Marsem a Jowiszem.)*

— Badania te doprowadziły do powstania pierwszego nowoczesnego wyobrażenia Łoży: wielkiej planety, gazowego olbrzyma o masie równej dziewięćdziesięciu masom Ziemi i prawie tych samych rozmiarach co Saturn. Rozpadła się ona szesnaście milionów lat temu w wyniku trudnego do wyobrażenia kataklizmu. Wybuch wyrzucił na zawsze większość Łoży poza Układ. Niektóre części jądra planety stały się asteroidami. Inne jej fragmenty, pochodzące z zewnętrznej skorupy Łoży — od czasu do czasu wracają do nas jako komety długookresowe.

*(Zbliżenie głowy i ramion Linga.)*

— Wyglądało na to, że poznaliśmy już całą historię. Ale kiedy uzyskaliśmy możliwość dokładnego obejrzenia fragmentów komet długookresowych, okazało się, że wiele z nich nafaszerowane jest pierwiastkami transuranowymi. Łoża stała się znowu tajemnicza, a właściwie jeszcze bardziej tajemnicza niż kiedykolwiek. Dlaczego części zewnętrzne jej skorupy, jedyne w całym Układzie Słonecznym, zawierają transuranowce? Czasy połowicznego rozpadu tych pierwiastków wynoszą mniej niż dwadzieścia milionów lat, a wiek całego Układu liczy się w miliardach lat, powinny zatem rozpaść się dawno temu. Czy powstały skutkiem wybuchu Łoży? Jeśli tak, to dlaczego pojawiły się tylko w warstwach zewnętrznych, a nie w asteroidach, które pochodzą z jądra Łoży? Jak naprawdę powstały? Nie znamy satysfakcjonującej odpowiedzi na żadne z tych pytań.

*(Ponownie obraz Łoży, w tle słychać cichą muzykę.)*

— Kwestia ostatnia, ale równie intrygująca. Szesnaście milionów lat to właściwie nic; w skali kosmicznej to zaledwie wczoraj. W momencie rozpadu Łoży Ziemię zamieszkiwały już ssaki naczelne. Czy nasi przodkowie spojrzeli pewnej nocy na niebo i ujrzeli przerażający widok eksplodującej Łoży?... Czy należy się liczyć z tym, że którąś z pozostałych planet może spotkać podobny los?...

*(Obraz Łoży zaczyna rosnać, zmienia kolor i niknie. Końcowe crescendo muzyczne.)*

— Wciąż jeszcze mnie intryguje, dlaczego do tego śledztwa wyznaczono Linga. Na pewno piecze przy tym jakąś własną pieczeń. Sprawia wrażenie, że wie absolutnie wszystko o Pasie i Belterach, więc może znał osobiście kogoś z martwych Grabieżców? — Green z niezadowoleniem potrząsnął głową. — Myślę, że powinienem pójść do niego i dowiedzieć się, czego ode mnie oczekuje. Mam nadzieję, że nie zdegraduje mnie do roli chłopca na posyłki.

Green i Wolf wrócili razem do pokoju Beya. Karl Ling nawet na nich nie spojrział. Otoczenie przestało dla niego istnieć. Interesowały go wyłącznie protokoły autopsji trzech zmarłych członków załogi „Jasona”. Technika nasycająca najwyraźniej nie odniosła zamierzonego skutku. Uświadomił sobie obecność obu mężczyzn dopiero wtedy, gdy Wolf stanął przy nim i powiedział:

— Panie Ling, możemy zaprezentować rezultaty naszego śledztwa. Przedstawiam panu Parka Greena, reprezentującego FPZ w Biurze Kontroli Form.

Ling uniósł na moment głowę i znowu pogrzyżył się w lekturze raportów medycznych.

Jego oczy spoczywały na twarzach tamtych dwóch zaledwie przez ułamek sekundy, a mimo to Wolf odniósł wrażenie, że zostali poddani dokładnemu badaniu, a wynik tego badania starannie zapamiętano.

— No dobrze — powiedział Ling, nie odrywając wzroku od ekranu. — Na początek proszę odpowiedzieć na najbardziej podstawowe pytanie. Trzej zmarli mężczyźni byli najwyraźniej poddawani procesowi przeformowywania. Gdzie znajduje się aparatura biologicznego sprzężenia zwrotnego, której użyto?

Wolf mrugnął znacząco do Parka Greena.

— W tej sprawie nie mamy jeszcze jasności, sir — odparł. — Choć oczywiście rozumiemy wagę problemu i pracujemy nad nim.

Ling ponownie podniósł wzrok. Tym razem jego spojrzenie zatrzymało się na Wolfie. Sprawiał wrażenie zadowolonego, jakby spodziewał się, a nawet miał nadzieję, że taką właśnie odpowiedź usłyszy.

— Brak jasności, panie Wolf?... Tak też przypuszczałem. Może ja mógłbym panów oświecić?

Wolf powściągnął nagle pragnienie, aby udusić Linga, opanował się i powiedział chłodno:

— Oczywiście, jeśli pan potrafi. Muszę przyznać, że trochę trudno mi zrozumieć, w jaki sposób, otrzymawszy tak niedawno nasze materiały do wglądu, mógł pan dojść do racjonalnych wniosków.

— Odpowiedź była mi znana, zanim jeszcze opuściłem Księżyc. — Ling po raz pierwszy uśmiechnął się i powstał z krzesła. — Nie mam najmniejszej wątpliwości, że pan i pańscy współpracownicy z Kontroli Form jesteście biegli w swojej dziedzinie. Przed odlotem z Księżyca pozwoliłem sobie sprawdzić, czy wspaniała opinia, jaką się cieszyacie, jest rzeczywiście uzasadniona, i choć kosztowało mnie to sporo wysiłku, uzyskałem potwierdzenie, że tak jest w istocie. Problem leży gdzie indziej. Ta szczególna sytuacja, z jaką mamy do czynienia, wymaga czegoś, co jest obce zarówno panu, jak panu Larsenowi: umiejętności myślenia jak mieszkaniec FPZ. Przykładowo: gdyby nagle został pan milionerem po dokonaniu odkrycia w Pasie, jakie miejsce na Ziemi wybrałby pan, by się zabawić? Proszę pamiętać, że koszty nie grają tu żadnej roli.

— Zapewne przyjąłbym formę skrzelistą i pojechał na Wielką Rafę Koralową.

— Bardzo dobrze! — Karl Ling odwrócił się do Parka Greena. — A teraz zadam to samo pytanie panu. Jest pan Belterem i nagle zdobywa pan miliony. W jakie miejsce na Ziemi chciałby pan się udać? O jakich najbardziej egzotycznych doznaniach marzą Belterzy?

Green w zamyśleniu gładził swój podbródek.

— Myślę, że byłaby to Kopała Rozkoszy. Nigdy tam nie byłem i nie wiem, co naprawdę tam oferują, ale wszyscy u nas mówią o niej.

— No właśnie! Oczywiście, że pan tam nie był — nikt, z wyjątkiem najbogatszych, nie ma szans jej zobaczyć. Dla mieszkańców FPZ, szczególnie tych żyjących w Pasie, kojarzy się ona z prawdziwym Rajem. Jednym z powodów, dla których ludzie udają się do Kopały, jest pragnienie zademonstrowania, jak bardzo są bogaci.

Ling nacisnął przycisk i na wielkim ściennym ekranie pojawiła się mapa okolic Bieguna Południowego.

— Idźmy dalej tym tropem. Teraz trochę geografii. Załoga „Jasona” wylądowała w północnoaustralijskim porcie kosmicznym. Znajduje się on niedaleko australijskiego wlotu Łącznika Mattina. W pierwszym etapie mogli się dostać na Nową Zelandię, w drugim — do Cap City w Antarktyce. Pan Wolf musi wiedzieć to, z czego pan Green może nie zdawać sobie sprawy — mianowicie, że Kopała Rozkoszy znajduje się bezpośrednio pod Cap City w antarktycznej powłoce lodowej. Całkowity czas podróży z portu kosmicznego: godzina lub mniej.

Park Green skinął potakująco głową.

— Ma pan chyba rację. Nie oswoiłem się jeszcze z liczbą wlotów ziemskiego Łącznika. Ale nadal nie wiem, do czego pan zmierza. Szukamy miejsca wyposażonego w nowoczesną aparaturę przeformowującą. Dostałem pełną listę laboratoriów od pana Wolfa i jestem pewien, że ani Cap City, ani Kopuła Rozkoszy na niej nie figurują.

Karl Ling uśmiechnął się ironicznie.

— Ja także jestem tego pewien. Oglądał pan oficjalną listę. — Odwrócił się do Beya, który, domyślając się już dalszego ciągu, poczuł, jak narasta w nim podniecenie.

— Kopuła Rozkoszy oferuje wszelkie możliwe przyjemności, nieprawdaż, panie Wolf?... Nawet te najdziwniejsze. Byłoby chyba logiczne przyjąć, że niektóre rozrywki wymagają zastosowania aparatury przeformowującej?

— Z całą pewnością. Dla mnie jest to raczej drażliwy temat. Zdajemy sobie sprawę, że aby zaspokoić najbardziej wyuzdane pragnienia, przeprowadza się tam nielegalne operacje przeformowywania. Ale mamy polecenie, żeby nie interweniować. Muszę przyznać, że zazwyczaj nie sprawiają nam tam specjalnych kłopotów. Są bardzo dyskretni i od czasu ostatniej afery, jaka miała miejsce przed kilku laty, przestrzegamy zasad nieformalnego rozejmu. Zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że za pomocą ich wyposażenia można dokonać zmian, jakim poddano Potwory Mariańskie, ale nie mogę tego wykluczyć. Dysponują tam ogromnymi sumami pieniędzy, toteż zdobycie odpowiedniej aparatury nie stanowiłoby problemu. Prawdopodobnie domyśla się pan, jak wielki wpływ wywierają właściciele Kopuły Rozkoszy na ośrodki władzy. Krążą plotki o niektórych Koordynatorach Centralnych, którzy całkiem często odwiedzają to miejsce.

Ling dotknął guzików i na ekranie pojawił się nowy obraz.

— W takim razie naszym następnym przystankiem musi być Cap City i Kopuła Rozkoszy. Nadal nie znamy odpowiedzi na pytanie podstawowe: w jaki sposób ci trzej ludzie stali się trzema martwymi potworami?

Panie Green, pozostanie pan tutaj, aby móc odpowiadać na pytania nadsyłane przez władze Ziemi i Księżyca.

Green westchnął ciężko. Z jego twarzy łatwo można było wyczytać, co myśli o poleceniu Linga.

— Proszę zorganizować podróż dla pana Wolfa i dla mnie — kontynuował spokojnie Ling. — Niech pan zarezerwuje najszybsze połączenia przeznaczone dla osób zajmujących się sprawami o najwyższym priorytecie. Panie Wolf, niech się pan nie martwi kosztami — dodał, dostrzegłszy pytające spojrzenie Beya. — To żaden problem. Mam prawo korzystać z funduszy FPZ bez żadnych ograniczeń, jeśli tylko śledztwo tego wymaga.

— Nie to mnie martwi. Zastanawiam się, dlaczego zdecydowano się pozbyć ciał w Rowie Mariańskim. Czemu wybrano właśnie takie miejsce? Czy i to potrafi pan wytłumaczyć?

— Mam pewną koncepcję — odparł Ling — i śmiem twierdzić, że pokrywa się ona z pańską koncepcją. Myślę nawet, że wiem, co chce pan uzyskać zadając takie pytanie, ale to już inna sprawa. — Gdzieś głęboko w jego brązowych oczach zabłyśły wesołe iskierki. — Popuśćmy na chwilę wodze wyobraźni. Załoga „Jasona” poniosła śmierć w Kopule Rozkoszy. Właściciele tego „obiekta” popatrzyli na identyfikatory gości i natychmiast zrozumieli, że grożą im poważne kłopoty. Dobrze wiedzieli, że FPZ potrafi dbać o własne sprawy. Doszli do wniosku, że muszą usunąć ciała z Ziemi i dlatego przetransportowali je Łącznikiem Mattina do Australii. Tu jednak okazało się, że nie zdawali sobie sprawy z tego, jak ścisła kontrola obowiązuje od czasu, gdy pojawiły się zarodniki Purcella. Przekonali się, że nie mają szans na przemycenie ciał w Kosmos, odstąpili więc od pierwotnego planu i zdecydowali się na inne rozwiązanie. Głębiny morskie wydawały się odpowiednim miejscem. Jeszcze jeden skok Łącznikiem i byli na Marianach. Zbyt pośpiesznie tworzyli jednak ów nowy plan, a do tego jeszcze nie znali dobrze geografii tamtego regionu i w rezultacie spartaczyli robotę.



Dalszy ciąg tej historii już znamy.

Ling spojrzał pytająco na Beya.

— Brzmi to wiarygodnie? Przyznaję, że są to jedynie przypuszczenia, oparte na rozumowaniu dedukcyjnym, ale, moim zdaniem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że są zgodne z rzeczywistością. A teraz zbierajmy się szybko i w drogę!

Green pośpiesznie opuścił pokój, ale Wolf trochę się jakby ociągał. Ostatniej wypowiedzi Linga słuchał bardzo uważnie, jego szczególne zainteresowanie wzbudził sposób mówienia gościa. Widząc, że Bey nie rusza się z miejsca, Ling uniósł brwi.

— Ma pan jeszcze coś do załatwienia? Pozostało mnóstwo roboty z rekordami i bardzo mało czasu!

— Chciałbym tylko powiedzieć panu parę słów — odparł Bey. — Przez całe prawie życie zajmowałem się przeformowywaniem i myślę, że nieźle się na tym znam. Jest ktoś, kogo uważam za swojego mistrza, w zakresie teorii, ale jeśli chodzi o umiejętności wykrywania dokonanych zmian, to, moim zdaniem, nie ma lepszych ode mnie. Panie Ling, jestem pewien, że się już kiedyś spotkaliśmy, w zupełnie innych okolicznościach. Sprawa, którą się zajmujemy, powinna być wyjaśniona jak najprędzej, toteż nie zamierzam obecnie podejmować żadnych działań w związku z moimi podejrzeniami. Chcę jednak, by pan wiedział, że zawsze rozpoznaję wilka, nawet gdy przebierze się w owczą skórę!

Kwaśne spojrzenie Linga nieco złagodniało, a na ustach ponownie zaigrał niemal niedostrzegalny uśmiech.

— Panie Wolf, zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi. Muszę uporać się z tymi raportami biologicznymi. Czy nie zechciałby pan pozostać tutaj i mi pomóc? Wysoko sobie cenię pańską wnikliwość. Bierzmy się szybko do pracy. Za cztery godziny chciałbym być w Cap City.

Po odlocie Wolfa i Linga Park Green i John Larsen poszli razem poprawić swój nastrój przy kieliszku. Po trzeciej kolejce Larsen stał się posępny i wojowniczy.

— Taki to nasz los!... — mrucał. — Ci dwaj jadą zakosztować różnych uciech w Kopule Rozkoszy, a nam każe się obłaskawiać bezmózgich biurokratów. Zawsze tak jest: dla nas czarna robota, a ci dwaj mają same przyjemności...

Prawdę mówiąc, aż do dziś dnia nigdy nie spotkał Karla Linga ani nawet nie słyszał o nim, ale w obecnym stanie ducha nie przejmował się zbyt zasadami logiki.

— Pokażemy im!... — oznajmił, racząc się kolejną porcją trunku. — Pokażemy im, co potrafimy zrobić bez nich. W czasie gdy ich tu nie będzie, rozwiążemy wszystkie problemy i sami uporamy się z tą sprawą. — Osunął się nieco niżej na krześle. — Wtedy dopiero zobaczą.

Obaj wchłaniali, kolejka za kolejką, tę samą ilość alkoholu, ale obdarzony dwukrotnie większą masą Green był znacznie trzeźwiejszy. Ze spokojem obserwował, jak Larsen osuwa się coraz niżej, a jego podbródek zaczyna prawie dotykać stolika.

— Wstawaj! — powiedział. — Jeśli rzeczywiście mamy to zrobić, musisz być w odpowiedniej formie. — Bez trudu nadał zwiotczałemu ciału Larsena pozycję stojącą i podtrzymując je jedną ręką, drugą uregulował ich rachunek. — Dostaniesz kilka zastrzyków odtruwacza i poczujesz się jak nowo narodzony. Trzeba jeszcze raz przejrzeć wszystkie dokumenty. Może znajdziemy coś nowego. Powinny nam pomóc notatki Linga. Nic mieliśmy ich, gdy poprzednio głowiliśmy się nad tą sprawą. — Zaczął wyprowadzać chwiejącego się na nogach Larsena z sali. — Sprawi mi wielką satysfakcję, kiedy znajdę odpowiedź wcześniej niż ten niby przymilny, wyniosły, przemądrzały kurdupel!

Piętnaście minut później obaj już absolutnie trzeźwi studiowali z heroicznym samozaparciem znane im raporty i wyniki badań. Po jakimś czasie Larsen odsunął się z krzesłem do tyłu i strzelił palcami.

— Pytanie: czym różniła się załoga „Jasona” od wszystkich innych osób poddających się na Ziemi przeformowywaniu?

Park Green popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

— Że byli Grabieżcami? Belterami? Miliarderami?...

Larsen pokręcił głową.

— Nie. Odpowiedź brzmi: przewozili w ostatnim czasie ogromne ilości pierwiastków transuranowych i zapewne każdy z nich otrzymał silną dawkę promieniowania. Dlatego zadaję następne pytanie: czy podczas autopsji szukano w ich ciałach asfanium i polkium? Czy w ogóle badano poziom radioaktywności? Wydaje mi się, że nie.

— John, to nie ma znaczenia. Wiadomo przecież, że nie umarli na skutek otrucia, ani też z powodu napromieniowania.

— Oczywiście, że nie. Dla przebiegu procesu przeformowywania istotne znaczenie ma jednak stan centralnego systemu nerwowego. Tak więc pytanie ostatnie: jaki jest wpływ transuranowców na ten system? Wątpię, żeby ktokolwiek wiedział coś na ten temat. Mogą one uniemożliwić procesy dostrajania, co wywołałoby dziwne efekty w trakcie procesu przeformowującego. Co o tym myślisz?

Green wzruszył ramionami.

— To na pewno niełatwy problem, ale powinniśmy sprawdzić poziom transuranowców w zwłokach. Wiesz może, gdzie je umieszczono po sekcji?

— Tak. Są w kostnicy oddziału Kontroli Form w Manili.

Green podniósł się z krzesła.

— W takim razie chodźmy. Trzeba uzyskać zezwolenie na nową sekcję zwłok. Musimy też znaleźć patologa, który pojedzie z nami.

## ROZDZIAŁ 13

Wylot Łącznika Mattina znajdował się na jednym z górnych poziomów Cap City, niemalże na samej lodowej po wierzchni. Bey Wolf i Karl Ling wyszli z komory i zaczęli rozglądać się wokoło, chcąc odnaleźć wejście do winił, które przewoziły gości do Kopuły Rozkoszy, cztery tysiące stóp pod ziemię. Gdzieś ponad nimi szalał zimowy antarktyczny wiatr, jego przeraźliwe wycie docierało aż do wlotu Łącznika. Nie było to na pewno przyjemne miejsce i obaj mężczyźni zapragnęli jak najprędzej znaleźć się na dole. Nagle w ich uszach zabrzmiał cichy, ale wyraźny głos.

— Przybądźcie do Kopuły Rozkoszy, aby zaspokoić swoje najskrytsze pragnienia!

Ling spojrział na Wolfa i uśmiechnął się raczej ponuro.

— Omniprojektor. Cóż za marnotrawstwo technologii! W Tycho City albo w Halo taki system byłby wart miliony.

Cichy głos zachęcał nadal:

— W Kopule Rozkoszy można zapomnieć o problemach tego świata i poczuć się znowu wolnym. Wolnym na tyle, by spełnić swe najdziksze tęsknoty! Zwiedź lśniąca Lodową Jaskinię lub popływaj w jeziorze Lety. Wygraj majątek w Kasynie Xanadu albo spędź niezapomnianą noc jako srebrne ogniwo w naszym Kolorowym Łańcuchu Erotycznym! Razem z nami pocuj się wolny w Kopule Rozkoszy!

— Wolny, ale za odpowiednią cenę — mruknął Bey.

Ling roześmiał się.

— Właściwie to wcale nie jest reklama. Wszystkie informacje przekazywane tutaj mogą być słyszane jedynie przez tych, którzy już się udają do Kopuły. Przypomina to nawracanie wiernych. Ludzie potrzebują potwierdzenia, że wydadzą swe pieniądze na coś naprawdę

ekscytującego.

Omnireklama trwała jeszcze parę chwil i zakończyła się cenną wskazówką: „Niebieskie światła wskażą drogę do Świątyni Ziemskich Przyjemności”.

Poszli zgodnie z tą informacją wzdłuż linii tworzonej przez niebieskie światła i wkrótce znaleźli się w windzie, którą gładko i szybko zjechali w głąb czapy polarnej. Wejście do Kopuły Rozkoszy stanowiła ogromna iskrząca się blaskiem sala, cała wyłożona wspaniałymi lustrami. Przypominała wnętrze wielkiego diamentu i sprawiała niezwykle wrażenie. Ściany, podłoga i sufit idealnie odbijały padające światło. Bey ujrzał własny wizerunek, tuż obok wizerunku Linga, maszerujący we wszystkich kierunkach w nieskończoność. Bezskutecznie usiłował odzyskać orientację w przestrzeni, znaleźć obraz czegoś, co nie ciągnęłoby się bez końca.

— Za parę minut przywyknie pan do tego — zauważył chłodno Ling. Zdumiewające otoczenie nie wywarło na nim żadnego wrażenia. — Cała Kopuła Rozkoszy jest właśnie taka.

— Nie wiedziałem, że był pan tu już wcześniej.

— Nawet kilka razy, ale dawno temu. Lustrzane ściany nie są luksusem, ale koniecznością, choć właściciele tego przybytku starają się oczywiście wykorzystać je i przedstawiać jako specjalną atrakcję. — Z zainteresowaniem rozejrzał się dookoła. — Sporo się tutaj zmieniło. Kiedy trzydzieści lat temu wykuwano to miasto pod pokrywą lodową, ogromny problem stanowiło ciepło. Jest ono wytwarzane przez samych ludzi, a także przez obsługiwane przez nich urządzenia. Nic na to nie można poradzić. Bez specjalnego systemu zabezpieczającego ściany lodowe roztopiłyby się błyskawicznie. To jest właśnie rozwiązanie. Wszystkie ściany zostały pokryte pasywinem — materiałem doskonale odbijającym ciepło i mającym bardzo niewielki współczynnik przewodnictwa termicznego.

Wyciągnął dłoń i zbliżył ją do ściany.

— Odbite ciepło czuć na skórze. Tylko drobna jego ilość dociera do lodowych ścian, ale skromny system chłodzenia połączony z powierzchnią całkowicie załatwia sprawę.

Bey zmierzył Linga ironicznym spojrzeniem.

— Muszę przyznać, że jak na człowieka nie pochodzącego z Ziemi wie pan zdumiewająco dużo o naszych sprawach...

— Księżycowe noce są długie, mamy więc mnóstwo czasu na czytanie — odpowiedział Ling rzeczowym i obojętnym tonem, ale Bey wyczuł w jego głosie wyraźnie żartobliwą nutę. Zanim jednak zdążył powiedzieć bardziej dobitnie, co miał na myśli — pojawił się ktoś trzeci; jakaś kobieca postać w długiej białej tunice podeszła do nich bezgłośnie po gładkiej posadzce.

— Witajcie w Kopule Rozkoszy, panowie!

Dziewczyna była wysoka i szczupła. Jej skóra była idealnie gładka i biała, a włosy tworzyły delikatny jasny obłok. Nawet wargi sprawiały wrażenie wyblakłych i pozbawionych krwi. Patrzyła na nich spokojnie swymi chłodnymi oczami przypominającymi oszroniony kryształ. Prawdziwa Królowa Śniegu. Bey zadał sobie pytanie, co w jej urodzie było darem natury, a co efektem działania aparatury przeformowującej.

— Jestem waszą hostessą. Będę wam pomagać w organizowaniu przyjemności. Możecie bez żadnego skrępowania prosić mnie absolutnie o wszystko, na co macie ochotę. Niewiele jest takich życzeń, których nie potrafilibyśmy spełnić. Ale zanim zaczniemy, trzeba załatwić kilka formalności.

— Chce pani zobaczyć nasze identyfikatory? — spytał Bey.

— Tylko w wypadku, jeśli sami pragniecie je pokazać, nie jest to bowiem konieczne. Potrzebujemy natomiast dowodu, że panowie dysponują odpowiednimi środkami finansowymi. Można regulować rachunki gotówką, akceptujemy także wszystkie inne formy zapłaty.

— Jesteśmy razem — powiedział Ling. — Obaj będziemy korzystać z mojego kredytu. Czy macie tutaj połączenie z bankami?

— Proszę, Sir. — Królowa Śniegu wydobyła z wnętrza tuniki małą srebrną płytkę. Ling dotknął jej prawym palcem wskazującym. Po chwili identyfikacja została potwierdzona, a bank centralny określił wysokość kredytu. Gdy dziewczyna odczytała kwotę, wyraz jej twarzy uległ gwałtownej zmianie. Dotychczas wykazywała doskonale opanowanie i brak zaangażowania, wydawała się jakby istotą pozbawioną płci i wszelkich emocji; teraz ów sztuczny spokój przysł raptownie — stała się normalną młodą kobietą. Bey domyślił się, że bank centralny potwierdził wysokość kredytu, jakim dysponowała w ogóle FPZ.

— Czego panowie sobie życzą?... — Różowy język nerwowo zwilżył blade wargi. Nawet głos dziewczyny uległ zmianie: stał się niepewny, drżący, prawie dziecinny. Bey pomyślał, że przy takich zasobach finansowych nie było niczego — dosłownie *n i c z e g o* — czego nie można by kupić w Kopule Rozkoszy. Ich opiekunka musiała zdawać sobie sprawę, że wśród towarów przeznaczonych na sprzedaż znajdowały się również jej ciało i dusza. Kontakt z takim potentatem finansowym stanowił dla niej osobiste zagrożenie. Jeden z kolejnych kaprysów Linga mógł dotyczyć właśnie jej samej.

Ling zauważył niepokój dziewczyny i domyślił się jego przyczyny.

— Nie mamy zamiaru korzystać z żadnej z konwencjonalnych przyjemności — powiedział. — Chcemy rozmawiać z osobami kontrolującymi komory przeformowujące. Konkretnie z tymi, którzy ostatnio zajmowali się trojgiem przybyszów spoza Ziemi. Jeśli nie rozumie pani, o czym mówię, proszę się nie martwić. Osoby, których szukamy, będą dobrze wiedziały, o co chodzi.

Dziewczyna zawahała się. Idealnie gładkie czoło pokryło się zmarszczkami, a zamglone szare oczy wyraźnie się ożywiły. Żądanie Linga wykraczało poza zwykłą listę zachcianek i podjęcie decyzji, jak ma postąpić w tej niecodziennej sytuacji, sprawiało jej poważne trudności.

— W tej sprawie muszę się skonsultować z innymi osobami. Zajmie mi to kilka minut. Zechcecie może panowie poczekać tutaj — powiedziała wprowadzając ich do ośmiokątnej sali — a ja postaram się wrócić jak najprędzej. Jak się o tym za chwilę przekonacie, jest to sala widokowa. Sceny zmieniają się co dwie minuty, chyba że zechcecie przerwać którąś z nich i przejść do następnej. Przyciski kontrolne są umieszczone na poręczach foteli.

— A co to jest? — zapytał Ling, wskazując na metalowe cylindry stojące nad każdym fotelem.

— Proszę nie zwracać na to uwagi. Są to czujniki monitorujące reakcje oglądających. Umożliwiają one wybór scen zgodnie ze specyficznymi upodobaniami poszczególnych osób.

Dziewczyna wyszła. Pokój pogrążył się w mroku, a następnie powoli zaczął się rozjaśniać. Znajdowali się w centrum urządzenia holowizyjnego, otaczało ich szmaragdowe światło podmorskiej rafy. Przed nimi, przebierając mackami w zielonym mroku, unosiła się ogromna ośmiornica. Wielkie nieruchome oczy o łagodnym blasku wpatrywały się w nich ze spokojem.

— To chyba jakaś nielegalna forma? — zapytał cicho Ling.

— Z całą pewnością — odpowiedział Bey. Zafascynowany tym widokiem nie spuszczał wzroku z poruszających się wolno ramion. — Wszystkie głowonogi są formami niezgodnymi z prawem. Istnieje co najmniej pięcioprocentowa szansa, że powrót do stanu pierwotnego okaże się niemożliwy. Dziwię się, że komukolwiek chce się płacić olbrzymie sumy pieniędzy za narażanie się na głupie ryzyko.

— *De gustibus...* — mruknął Ling wzruszając ramionami. Pokój znowu pogrążył się w ciemności. Gdy rozjaśnił się ponownie, Bey myślał początkowo, że znaleźli się z powrotem w podobnej scenerii. I tym razem światło miało barwę ciemnozieloną. W oddali widniał gąszcz paproci. Cała scena rozgrywała się pod baldachimem wybujałych gęstych krzewów. Tuż przed nimi, zlewając się niemal idealnie z postrzępionym wzorem utworzonym przez światło i cień, bezgłośnie przykucnęła forma tygrysa. Widzieli, jak pod gładkim futrem skurczyły się

wspaniałe mięśnie. Bestia skoczyła. Obnażone zęby rozpruły gardziel dzika, a pazury wpiły się w odsłonięty grzbiet. Dzik błyskawicznie poruszył łbem i wbił ostre jak brzytwa kły w przednią nogę tygrysa.

— Jeśli nic ma pan nic przeciw temu... — powiedział cicho Ling i nacisnął guzik, by zmienić scenę. — Nie sądzę, by odzwierciedlało to gusty kogoś z nas — dodał, gdy światło znowu zgasło.

— Nie jestem pewien, którą z form chciano nam zaoferować: dzika czy tygrysa — odparł Bey. — Być może obie...

Światło stało się bardzo jasne. Mężczyzna, który pojawił się przed nimi, miał postawę władczą i pełną dostojeństwa. Stojąc ze złożonymi ramionami w jaskrawym blasku egipskiego południa obserwował z uwagą, jak wielkie bloki kamienne przesuwają się wolno po drewnianych wałkach. Mocne liny utrzymywały budulec bezpiecznie na płaskiej podporze. Pot i kurz pokrywał ciała ciągnących je, ustawionych w długie szeregi niewolników. W oddali widać było długą wznoszącą się rampę, prowadzącą do wciąż jeszcze nie ukończonej piramidy.

— Prawdziwa potęga — zauważył Ling.

Bey przytaknął.

— Na przestrzeni ostatnich tysiącleci żaden człowiek nie skupił w swoich rękach tak ogromnej władzy jak ów faraon. W gruncie rzeczy niewiele wiemy o Cheopsie, ale artyści z Kopuły Rozkoszy z pewnością przygotowali w miarę wiarygodny scenariusz.

Jakiś czas patrzyli w milczeniu na oślepiające, puste niebo i wysoką, odzianą w białą szatę postać, stojącą nieruchomo w obezwładniającym skwarze.

— Nie mam zbyt wygórowanej opinii o monitorze próbującym odgadnąć nasze gusty — powiedział Bey. — Chyba, że ten człowiek to Imhotep, a nie Cheops.

Nastąpiła kolejna zmiana scenerii. Jasne, białe światło egipskiego poranka ustąpiło miejsca migotliwej czerwonej poświacie. Minęło trochę czasu, zanim ich oczy oswoiły się z jaskrawym blaskiem płomieni. Zamiast chrzęstu ciągniętego budulca i jęku niewolników słyszeli teraz skrzypienie obracających się bloków i sapanie miechów tłoczących powietrze do pieca. Mężczyźni krążący wokół długiego stołu byli nadzy, jeśli nie liczyć czarnych kapturów i skórzanych fartuchów, pot ściekał strugami po ich muskularnych torsach. Człowiek na stole milczał, chociaż usta miał szeroko rozwarte. Jego kończyny, skrępowane w przegubach i kostkach szmatami i sznurami, były rozciągnięte i naprężone.

Zakapturzona postać podeszła do stołu, trzymając w dłoni rozpalone do czerwoności na jednym końcu żelazo. Bey błyskawicznie nacisnął guzik.

— Kto mógłby chcieć doznawać czegoś takiego?! — spytał Ling. Wyglądało na to, że nawet on utracił ironiczny dystans, jaki zachowywał dotąd wobec demonstrowanych scen. — Powinienem wiedzieć, że dla ludzi podobnych do nas nic odpowiedniego tutaj się nie znajduje.

— Czy maszyna widzi nas jako torturujących, czy torturowanych? — zastanawiał się Bey.

Tym razem scena była cicha, wręcz sielankowa. Pod wielkim dębem siedział samotnie młody człowiek pogrążony w głębokiej zadumie. Słońce przygrzewało, ale barwy otoczenia kojarzyły się z miękką zielenią europejskiego lata, a nie z szorstkimi brązami i ochrami Egiptu. Nad ogrodem przelatywały ptaki, a z oddali dobiegał stłumiony szum płynącej wody. Mężczyzna nie poruszał się. Miał na sobie koszulę i wełniane bryczesy, takie, jakie noszono w siedemnastym wieku. Wolf i Ling spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Czy pan to rozumie? — zapytał Ling.

Bey przyjrzał się uważniej dłoniom mężczyzny i trójkątnemu kawałkowi szkła, który tamten trzymał, i nagle rozpoznał go w ułamku sekundy.

— To Newton — powiedział cicho do Linga. — Niech pan spojrzy na jego dłonie.

— Co?! — Ling wpił się wzrokiem w postać siedzącą pod dębem. Po chwili wydał z siebie dziwny dźwięk, coś pośredniego między chrząknięciem a jękiem. — Tak, ma pan rację, to Newton w Woolsthrope! W ręku trzyma pryzmat... — Ton cynicznego rozbawienia pobrzmiwający w jego głosie zniknął zupełnie. — O, Boże, czy może pan sobie wyobrazić taką sytuację? Widzieć świat z czasów Newtona, jego oczami... Jego *annus mirabilis*, lata zarazy... Odkrył podstawy nowoczesnej nauki: prawa ruchu, optykę, analizę matematyczną, grawitację. I to wszystko w ciągu dwóch lat, kiedy przebywał w Woolsthrope chroniąc się przed zarazą!

Ling pochylił się jeszcze bardziej do przodu. Oczy błyszczały mu z podniecenia. Wolf, zafascynowany niemal w tym samym stopniu, zastanawiał się, jak długo będą mogli oglądać tę scenę.

— Panowie, bardzo przepraszam, że musieliście czekać tak długo! — rozległ się cichy głos za ich plecami.

Czar prysł. Obraz gasnął powoli. Ling spojrział z respektem na stojący nad nim metalowy cylinder.

— Jeszcze przed chwilą gotów byłbym przysiąc, że Kopuła Rozkoszy nie jest w stanie zaoferować niczego, co by mnie mogło naprawdę zainteresować. Teraz widzę, że się myliłem — powiedział ze smutkiem.

Odwrócił się do stojącej za nim kobiety, która powróciła w towarzystwie wysokiego blondyna, ubranego tak jak ona na biało.

— Kto dokonał selekcji tych scen? — zapytał Ling.

Mężczyzna odpowiedział uśmiechem.

— Staramy się nie ujawniać sekretów Kopuły Rozkoszy — to nasza zasada. Proszę mi wierzyć, że wszystko, co pokazujemy, jest zgodne ze współczesną wiedzą historyczną. Jeśli wykorzystujemy formy rzeczywistych postaci, ich psychologia odpowiada psychologii „oryginałów” w takim stopniu, na jaki pozwala obecna nauka. Czy interesuje pana któryś ze światów, jakie mamy do zaoferowania?

Ling westchnął.

— Aż za bardzo. Mamy jednak coś ważnego do załatwienia. Sprawdziliście zasoby finansowe, jakimi dysponujemy. Potrzebujemy waszej pomocy. Jeśli odmówicie współpracy, możemy doprowadzić do likwidacji waszych usług przeformowujących. Mam nadzieję, że nie okaże się to konieczne.

Mężczyzna skinął głową.

— Proszę panów, wasze środki finansowe pozwalają na zakup dowolnej przyjemności. Musicie jednak przyjąć do wiadomości, że niektórych rzeczy nie kupi się w Kopule Rozkoszy za żadną cenę. Do takich należą między innymi tajemnice naszych efektów. Prosiłbym o ponowne przedstawienie waszych życzeń, abyśmy mogli się zorientować, czy jesteśmy w stanie je spełnić.

— Nie zamierzamy bynajmniej sprawiać wam kłopotów — powiedział Ling. — Choć z całą pewnością moglibyśmy, gdybyśmy chcieli. Mój towarzysz to Behrooz Wolf, szef ziemskiego Biura Kontroli Form. Ja nazywam się Karl Ling i jestem asystentem do zadań specjalnych rządu FPZ. Mówię to dlatego, abyście wiedzieli, iż nie mamy zamiaru was nabierać. Jeśli chcecie, możecie sprawdzić, kim jesteśmy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Zrobiliśmy to zaraz po waszym przyjeździe. Stosujemy tutaj pewne środki ostrożności, choć głośno o nich nie mówimy. Jeśli ktoś domaga się czegoś niezwykłego, sprawdzamy jego identyfikację, jeśli nie obowiązuje pełna anonimowość.

Ling skinął głową.

— W porządku. Zaoszczędzimy więc trochę czasu. Chodzi nam wyłącznie o pewne informacje. Niedawno zmarło trzech mężczyzn w trakcie procesu przeformowywania. Sądzi-

my, że stało się to tutaj. Chcielibyśmy porozmawiać z ludźmi zajmującymi się tą operacją, a także obejrzeć pełne zapisy z nadzorujących ją monitorów.

Mężczyzna nawet nie próbował zaprzeczyć oskarżeniu. Przez kilka chwil milczał, po czym zapytał:

— Czy, jeśli zgodzimy się na współpracę, sprawa na tym się zakończy?

— Ma pan nasze słowo.

— W takim razie chodźmy. — Blondyn uśmiechnął się. — Możecie się panowie czuć wyróżnieni w sposób zupełnie wyjątkowy — otrzymacie tę usługę absolutnie za darmo. O ile wiem, coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy, odkąd istnieje Kopuła Rozkoszy.

Trzej mężczyźni przeszli przez labirynt lodowych jaskiń i bajecznych grot oświetlonych różnokolorowymi lampami i wkrótce dotarli do drzwi, za którymi znajdowało się zwyczajne biuro z wyłożonymi boazerią ścianami. Mężczyzna wskazał gościom twarde krzesła.

— Za chwilę wrócę. Przy okazji mogą panowie zobaczyć, jak my tutaj wyobrażamy sobie luksus. Zwyczajne ściany, meble, i odrobina prywatności. Wszyscy do tego dążymy, ale rzadko udaje się nam to osiągnąć.

Wyszedł, by po kilku minutach powrócić ze swoim bliźniakiem — Bey otrzymał już odpowiedź na pytanie, czy personel Kopuły poddawano procesom przeformowywania. Miał przed sobą przykład skrajnego zniewolenia; ludziom narzucano kształty ciała idealnie zgodne z wybranym przez zwierzchników modelem.

Nowo przybyły wyraźnie czuł się nieswojo. To, że będzie musiał rozmawiać z osobami z zewnątrz o swojej pracy, bardzo go denerwowało. Bey mógł podziwiać nie znane dotąd umiejętności Karla Linga, obserwując, jak cierpliwie uspokajał mężczyznę i starał się nakłonić go do mówienia. Dopiero po paru minutach wstępnej pogawędki zaczęła się właściwa rozmowa.

— Ci trzej chcieli tylko szybkiego programu odnowy — powiedział kontroler z Kopuły Rozkoszy. Kiedy się już przełamał, słowa popłynęły z jego ust niewstrzymanym potokiem. — Jedyne, co było może nie całkiem zgodne z prawem, to tempo. Aparatura przeformowująca pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, regularnie podawaliśmy dożylnie odżywki. Wyglądało to na proste zadanie, nie przeprowadzaliśmy więc żadnego specjalnego monitorowania, jak to robimy zawsze, gdy pojawia się klient, który żąda jakichś zmian specjalnych, nietypowych. Jesteśmy w stanie dokonywać tu skomplikowanych zabiegów, zaspokajających nawet dość wybredne gusty, chociaż oczywiście nie możemy się równać z wielkimi laboratoriami KUB. Program, o który prosili ci trzej, wymaga około stu pięćdziesięciu godzin, czyli prawie tygodnia, jeśli przeprowadza się go w sposób tradycyjny. Znam takie wersje, które trwają trzykrotnie krócej, ale proszę mi wierzyć, my stosujemy tutaj wszelkie możliwe środki ostrożności. Ja wolę używać wersji wolniejszej; jest mniej wyczerpująca dla ludzi, którzy z niej korzystają.

— Przeprowadzał pan ten program już wiele razy, prawda? — spytał Ling. Należało dać kontrolerowi szansę na moment wytchnienia i przerwać ów potok informacji, choćby na krótko.

— O, tak, przede wszystkim z kosmitami. Oczywiście nigdy nie pytam klientów o pochodzenie, to nie moja sprawa, ale łatwo ich rozpoznać po ubraniu i sposobie mówienia. Gdyby ktoś zagadnął mnie o tych trzech, od razu bym mu powiedział, że nie są Ziemianami.

Spojrzenie, jakie rzucił drugiemu blondynowi pozwalało się domyślać, że całkiem niedawno toczyła się między nimi dyskusja na ten właśnie temat.

— Od czasu gdy zaczęto wykorzystywać rezultaty prac Capmana dotyczących przeformowywania — mówił dalej — proste programy tego typu są w pełni zautomatyzowane. W komorach znajdują się czujniki kontrolujące dopływ powietrza i odżywek, a tempo przemian jest regulowane przez komputer. Oczywiście obiekt musi być w jakimś stopniu świadomy tego, co się z nim dzieje, mamy bowiem do czynienia z przeformowywaniem zgodnym z

wolą osoby-obiektu. Czy pan rozumie o czym mówię, czy też powinienem zapoznać pana najpierw z pewnymi podstawowymi pojęciami?

Spojrzał pytająco na Linga. Przyjął, jak widać, za oczywiste, że Wolf nie potrzebuje żadnych wyjaśnień.

— Nie trzeba — mruknął Ling i zerknął na Beya, który miał bardzo zadowoloną minę. — Proszę kontynuować.

— Komory są absolutnie hermetyczne i nie mają żadnych wizjerów, tak więc wszelkie informacje o tym, co się dzieje wewnątrz, sprowadzają się do odczytów liczników i monitorów.

— Jak często przeprowadza się takie odczyty?

— W równie prostych przypadkach — raz dziennie. Nawet i to można właściwie uznać za nadmierną ostrożność. Nie zdarza się nigdy, żebyśmy musieli coś podregulować, ale sprawdzamy dla świętego spokoju. Trzej kosmici przybyli razem i zaczęli program równocześnie, tak więc raz dziennie dokonywaliśmy kontroli całej trójki i to było wszystko. Mieli ten sam program odnowy. Rzeczywiście, bardzo go potrzebowali, to fakt. Kiedy tu przybyli, byli kompletnie wykończeni. Nie wiem, przez co takiego przeszli...

Przerwał na moment. Bey zastanawiał się, co robili członkowie personelu Kopuły Rozkoszy, kiedy sami chcieli się rozerwać. Co mogłoby sprawiać autentyczną przyjemność kobietom i mężczyznom, którzy widzieli już wszystko i zaspokajali wszelkie możliwe gusta?... Prawdopodobnie coś zupełnie zwyczajnego. Szefowie kuchni w najdroższych restauracjach jadają najprostsze pożywienie.

— Wieczorem trzeciego dnia — podjął mężczyzna po chwili — zerknąłem zwyczajowo na monitory. Wszyscy trzej nie żyli. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Początkowo myślałem, że musi być coś nie w porządku z czujnikami, albo że to jakiś błąd w oprogramowaniu ekranów. Zdecydowaliśmy się otworzyć komory.

Znowu przerwał i milczał przez chwilę, starając się ożywić pamięć.

— Ujrzeliśmy okropny widok. Mój Boże, to był zupełny koszmar! Zmienili się do tego stopnia, że przestali być ludźmi. Stali się potworami o wielkich błyszczących ślepiach i pofałdowanej skórze. Zupełnie, jak w jakimś horrorze... Upewniliśmy się, że rzeczywiście nie żyją, po czym sprawdziliśmy ich identyfikacje. I bez tego byłem pewien, że mamy do czynienia z kosmitami. Wszyscy tutaj wpadli w panikę. Najpierw postanowiliśmy wysłać ciała w Kosmos, ale obecnie nie jest to już takie proste jak kiedyś. Kiedy okazało się, że nie da się tego przeprowadzić, uznaliśmy, że najbezpieczniej będzie ukryć zwłoki w głębinach morskich. Ale i ten pomysł, jak widać, się nie sprawdził.

Zapadła cisza, której przez długi czas nikt nie przerywał. Ling był tak pochłonięty własnymi myślami, że choć przed chwilą potwierdziła się w pełni jego hipoteza o przebiegu wydarzeń, nie posłał nawet Wolfowi tryumfującego spojrzenia — przypominał ślepcę wpatrującego się nieruchomymi oczami w przestrzeń.

— Czy przeprowadzono chemiczną analizę zwłok? — zapytał wreszcie.

— Dobry Boże, nie! Chcieliśmy się ich pozbyć jak najszybciej, nie mieliśmy czasu na żadne testy. Gdzieś powinny być wyniki badań chemicznych przeprowadzanych w trakcie trwania biologicznego sprzężenia zwrotnego. Znajdują się w pamięci komputera obok wyników innych pomiarów. Chemia krwi i chemia komórkowa były monitorowane w sposób ciągły.

— To dobrze. Chcę teraz obejrzeć te wyniki. Proszę je przynieść albo zaprowadzić nas do komputera.

— Mogę je dostarczyć, ale nie są opracowane. Będą zrozumiałe tylko dla specjalisty w dziedzinie przeformowywania.

Ling pochwycił spojrzenie Beya.

— Niech je pan przyniesie — powiedział. — Jakoś sobie poradzimy. Są takie umieję-



tności, których — jeśli się raz już je nabędzie — nie można nigdy utracić.

John Larsen obejrzał wydruk ze spektrografu, po czym przeniósł wzrok na Parka Greena.

— O wiele mniej niż się spodziewałem — powiedział. — W zwłokach całej trójki odnaleziono ślady asfanium, lecz jego ilość jest bardzo mała. Mamy zatem i ślady niewielkiej radioaktywności, ale zbyt słabej, by mogła wywołać istotny efekt, nawet gdyby przyjąć, że przeformowywanie może zwiększyć znacząco ów efekt. Może w grę wchodzi jakiś subtelny proces  $c h e m i c z n y$ ? Pierwiastki śladowe, nawet w mikroskopijnych ilościach, mogą zaburzyć równowagę biochemiczną. Nadal niewiele wiemy o właściwościach transuranowców z wyspy stabilności wokół liczby atomowej 114.

— No tak — w głosie Greena można było wyczuć nutę niepewności — w ogóle niewiele wiemy. Ale w naszych badaniach na Księżycu nie stwierdziliśmy żadnych dziwnych cech asfanium czy polkium. Myślę, że chodzi o coś innego. Członkowie załogi „Jasona” nigdy wcześniej nie poddawali się przeformowywaniu. Brakowało im doświadczenia. Może proces wymknął im się spod kontroli? Nie wzięli pod uwagę jakiegoś niespodziewanego czynnika — na przykład śladowych ilości asfanium — i nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić.

Larsen trzepnął się wydrukiem po nodze.

— Park, jesteś chyba na właściwym tropie. Doświadczenie ma istotne znaczenie w przeformowywaniu. Jego brak może spowodować poważne konsekwencje.

— Ale czy da się to sprawdzić?

— Myślę, że tak. Wiadomo, że asfanium odkłada się w gruczole grasicy. Trzeba będzie pobrać wyciąg z jednego z ciał i przeprowadzić eksperyment kontrolny. Wtedy się przekonamy, czy program przeformowujący przebiega bez zakłóceń.

Green zmarszczył brwi.

— To niezły pomysł, ale gdzie znajdziesz królika doświadczalnego? Przecież przeformowywaniu mogą poddawać się wyłącznie ludzie. Jest to w końcu podstawa dla testów człowieczeństwa.

Larsen roześmiał się zadowolony.

— Masz absolutną rację. Chcesz zobaczyć królika doświadczalnego? Oto on — stuknął się w pierś. — Chwileczkę, widzę, że nie bardzo rozumiesz — dodał spostrzegłszy, że Park Green z przerażoną miną usiłuje protestować. — W Biurze Kontroli Form, przez wiele lat poznajemy praktycznie różne metody przeformowywania. Jeśli zaczniesz się dziać cokolwiek niedobrego, będę umiał bez trudu przerwać i cofnąć cały proces. Na tym właśnie polega różnica między mną a Grabieżcami — ja mam doświadczenie.

Uniósł się z krzesła.

— Nie zapominaj, że cały proces musi być zgodny z wolą „obiektu” poddawanego przeformowywaniu. Może cię zmienić tylko wtedy, gdy rzeczywiście pragniesz zmiany. Chodźmy załatwić wyciąg z grasicy. Potem wrócimy do komór przeformowujących w Kontroli Form. Będziemy mieli co pokazać Beyowi Wolfowi i twojemu szefowi, gdy wrócą ze swej wycieczki do Kopuły Rozkoszy!

## ROZDZIAŁ 14

Przez wiele godzin Wolf i Ling pracowali jak szaleni Personel Kopuły Rozkoszy ze zdumieniem obserwował, jak w huraganowym tempie przebijali się przez komputerowe rekordy, przeglądali nie obrobione dane, wymieniali uwagi i przeprowadzali wspólnie analizy.

Musieli się za poznać z najróżnorodniejszymi informacjami dotyczącymi fizycznych parametrów ludzkiego organizmu, takich jak temperatura, tętno i przewodnictwo skórne, oraz zmienionych systemowych, tempa odżywiania, temperatury otoczenia i natężenia stymulantów elektrycznych. Kolejność używanych programów komputerowych, odczyty chemiczne i wskaźniki aktywności mózgowej — wszystko to zostało zapisane jednocześnie w tych samych plikach. Zrozumienie wydruków wymagało wielu lat doświadczenia, a także doskonałej znajomości mentalnych i fizycznych procesów ludzkiego ciała. Na Lingu nie było widać śladów zmęczenia. Bey postanowił, że zrobi wszystko, by mu sprostać.

— Kto to jest? — szeptał do Beya kierownik sekcji przeformowywania w Kopule Rozkoszy. — Wiem, kim pan jest: szefem Kontroli Form; ale gdzie on nauczył się tego wszystkiego?...

Bey przyglądał się przez chwilę Lingowi, który, pogrążony we własnych myślach, zdawał się w ogóle nie słyszeć tego, co mówią inni.

— Może go pan sam zapytać. Ja kiedyś już próbowałem.

W tym momencie przyniesiono kolejną porcję danych i rozmowa się urwała.

Po trzydziestu sześciu godzinach intensywnej pracy uporali się z zasadniczą analizą. Dysponowali teraz olbrzymią liczbą faktów, ale jeden przyćmiewał wszystkie pozostałe: członkowie załogi „Jasona” zmarli znacznie wcześniej, niż się proces przeformowywania zakończył. Zginęli dlatego, że formy, które przyjęli, nie były w stanie żyć i oddychać normalnym powietrzem. To, jakie ostatecznie formy zamierzali przyjąć, pozostało niewyjaśnione. Nie udało się też rozwikłać innej zagadki. Dlaczego trzej kosmonauci przybrali tak niezwykle formy, skoro poddano ich zupełnie prostemu programowi odnowy biologicznej, stosowanemu wcześniej już tysiące razy bez żadnych, choćby najdrobniejszych negatywnych skutków?

Karl Ling od dwóch godzin siedział prawie nieruchomo, co pewien czas zadawał tylko Beyowi jakieś pytanie lub zaglądał do któregoś z zestawów danych. Nie chcąc mu przeszkadzać własnymi, wciąż nowymi pytaniami, Bey postanowił przejść do innego pomieszczenia i skontaktować się z centralą Kontroli Form. Ciekaw był, co tam się dzieje, i chciał porozmawiać o tym z Larsenem.

Larsena nie było przy komunikatorze, zgłosił się natomiast Park Green. Sprawiał wrażenie bardzo czymś zaniepokojonego.

— Gdzie jest John?

— Siedzi w komorze przeformowującej. Zamknął się w niej wczoraj rano.

— No cóż, nie jest to najgorsza metoda uwolnienia się od biurokratów...

Ku ogromnej uldze Parka Greena Bey Wolf w ogóle się nie przejął tą wiadomością, a gdy usłyszał wszystkie szczegóły, roześmiał się tylko wesoło.

— John wie o przeformowywaniu prawie tyle co ja. Mało kto na Ziemi może się z nim równać w tej dziedzinie. Ale prawdę mówiąc, Park, nie bardzo wierzę w waszą teorię. Ci Belterzy mieli zapewne już wcześniej do czynienia z urządzeniami przeformowującymi. Kiedy używa się ich do leczenia obrażeń ciała, noszą nazwę aparatury regeneracyjnej, ale zasada jest taka sama. FPZ pozostaje za nami w tyle jedynie w zakresie przeformowywania kosmetycznego i jakichś tam nieistotnych szczegółów technicznych

Park Green miał taką minę, jakby zdjęto mu nagle z barków ogromny ciężar.

— Bogu dzięki! Od chwili gdy John zrobił sobie ten zastrzyk z wyciągu z grasicy, cały czas się niepokoiłem. Nie byłem pewien, czy przypadkiem nie nabrał mnie, mówiąc, że nie ma żadnego ryzyka. Za mało się znam na tych rzeczach, bym mógł z nim dyskutować.

Bey był rozbawiony obawami olbrzyma. W jego głosie wyczuł autentyczną troskę.

— Jeżeli się niepokoisz, idź do komory i miej oko na Johna — powiedział. Przerwał połączenie i powrócił do Karla Linga, który zakończył już kontemplację i popijał synkaw — „prezent od Kopuły Rozkoszy”. Łamiąc obowiązującą tu podstawową zasadę i nie żądając od nich żadnych opłat, personel Kopuły traktował ich jak honorowych gości. Ling przed chwilą

uprzejmie odrzucił propozycję Królowej Śniegu, by skorzystał z odwiecznej metody zrelaksowania się po ciężkiej pracy. Wyglądało na to, że ta oferta wprawiła go w dobry nastrój i zirytował się szczerze, gdy taką samą propozycję złożyła Beyowi.

— Panie Wolf, znam już chyba odpowiedź. Coś fascynującego! Nawet nie marzyłem o czymś podobnym. Jeśli rzeczywiście się nie pomyliłem, dzień dzisiejszy zapisze się w historii! — Ling rozsiadł się wygodnie, rozkoszując się chwilą.

— Park Green i John Larsen też uważają, że mają już odpowiedź — powiedział Bey. — Przed chwilą miałem z nimi kontakt video.

— Czyżby? I znaleźli tę odpowiedź bez dostępu do materiałów, które tutaj uzyskaliśmy? — brwi Linga uniosły się w górę. — Nie wierzę. No więc co oni o tym myślą?

Bey streścił teorię Larsena i Greena. Wydała mu się jeszcze mniej przekonująca, niż kiedy usłyszał ją po raz pierwszy. Opisując sytuację w siedzibie Kontroli Form wspomniał wreszcie, że Larsen postanowił sprawdzić swoją koncepcję za pomocą praktycznego testu.

— Wstrzyknął sobie wyciąg ze zwłok i zamknął się w komorze do przeformowywania?! — Ling gwałtownie zmienił się na twarzy, zrobił się tak blady jak Królowa Śniegu. — A zatem jest już trupem. Mój Boże, dlaczego przed rozpoczęciem eksperymentu nie skonsultował się z nami?!...

Poderwał się z fotela, nagłym ruchem odrzucił stos wydruków i chwycił swą elegancką marynarkę.

— Lecimy! Musimy wracać jak najszybciej. Jeżeli istnieje jakakolwiek szansa na uratowanie życia Johna Larsena, tylko my potrafimy ją wykorzystać!

Wybiegł z pokoju. Bey, zaskoczony i przejęty, popędził za nim. Skoro Karl Ling do tego stopnia utracił swoją niewzruszoną dotąd niczym wyniosłość, sytuacja musiała być bardzo poważna.

W drodze powrotnej Ling pospiesznie tłumaczył istotę swego odkrycia Beyowi. Kiedy dotarli do Biura Kontroli Form, niełatwo byłoby ocenić, który z nich dwóch wyglądał na bardziej przerażonego. Natychmiast pobiegli do komór przeformowujących.

Czekał tam uprzedzony o ich przybyciu Park Green. Spojrzał na Linga takim wzrokiem, jakby obawiał się, że ten wyrzuci z siebie natychmiast cały potok oskarżeń i inwektyw. Ale Ling bez słowa podszedł do komory, w której przebywał John Larsen, i zaczął sprawdzać odczyty.

Po paru minutach jego napięcie nieco zelżało. Wydal z siebie pomruk mający wyrażać satysfakcję.

— Na razie sytuacja jest stabilna. To dobrze. Jeśli Larsen będzie naśladował postępowanie tamtej trójki, to mamy jeszcze dwadzieścia cztery godziny na znalezienie jakiegoś sposobu, aby mu pomóc. Nie odważę się na jedno — na przerwanie procesu w połowie. Musimy pozwolić mu kontynuować program, starać się utrzymać go przy życiu, a dopiero potem będziemy się martwić, jak to odwrócić. Poproszę o schemat komory. Chciałbym wiedzieć, jak pracują obwody kontrolujące dostarczanie odżywek i powietrza.

Po niecałej minucie Bey wrócił ze schematami. Zupełnie oszołomiony Park Green nadal stał obok komory i gdy Ling zagłębił się w wykresy, odciągnął Beya na bok.

— Czy on się na tym rzeczywiście zna? Jest ekspertem od Pasa, to wiem, ale przecież nie od przeformowywania. Czy nie ryzykujemy życia Johna, pozwalając mu mieszać się do tego?

Wolf oparł dłoń na masywnym ramieniu Grena.

— Wierz mi, Park, on wie, co robi. Jeśli ktokolwiek jest w stanie uratować Johna, to właśnie on. Musimy uczynić wszystko, co możemy, by mu pomóc. Później przyjdzie czas na pytania. Powiem ci, co o tym myślę, kiedy sprawa się zakończy.

Ling przerwał im rozmowę. W jego głosie pobrzmiwała nuta uspokajającej pewności

siebie. Nieco władczym tonem powiedział:

— Niech jeden z was tu przyjdzie i zapisze, jakich zmian trzeba dokonać w aparaturze. Będę odczytywał układy na schemacie i podawał nowe konfiguracje. Drugi niech skontaktuje się z KUB. Potrzebuję ich najlepszego specjalisty od interaktywnych programów przeformowujących. Mam na myśli Marię Sun. Jeśli jest zajęta, niech przyślą najlepszego, jakim w tej chwili dysponują. Proszę podać hasło „obwody”, może to przyspieszy ich działania.

Wolf skinął głową.

— Sprowadzę Marię — powiedział i wybiegł w pośpiechu.

Rozpoczęła się modyfikacja aparatury. Ling co chwila sprawdzał odczyty. Przybyła Maria Sun, rzuciła okiem na monitory i zajęła miejsce obok niego. Z jej ust co chwila wylatywały straszliwe przekleństwa, ale nie wpływało to bynajmniej ujemnie na jej pracę. Stan zdrowia Larsena pozostawał nadal zgodny z normą, ale pojawiły się już ogromne zmiany w organizmie. Wzrosło bardzo jego zapotrzebowanie na wapń, azot i sód, tętno było znacznie wolniejsze, gwałtownie zmieniała się struktura skóry.

— Mogliby to wszystko zauważyć ci z Kopuły Rozkoszy, gdyby tylko zechciało im się patrzeć — mruknął Ling. — Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość, nie mieli żadnego powodu, aby spodziewać się czegoś dziwnego. Ale zwróćcie uwagę na wskaźnik masy.

Maria Sun wyrzuciła z siebie kolejną serię przekleństw.

— Prawie sto dwadzieścia kilo. Jaka jest jego normalna waga?

— Osiemdziesiąt — odpowiedział Bey obserwując z napięciem wskaźniki. Miał wielką ochotę zajrzeć do wnętrza zbiornika, ale w tym systemie nie było to możliwe.

Pracowali bez chwili przerwy. Jeszcze przez wiele godzin Ling przekonstruowywał aparaturę i wraz z Marią Sun modyfikował program. Wreszcie oznajmił, że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Za kilka godzin nastąpi prawdziwe rozstrzygnięcie. W analogicznym momencie zapisy dotyczące członków załogi „Jasona” stały się zupełnie niezrozumiałe. Już wkrótce się okaże, czy dokonane zmiany techniczne pozwolą utrzymać organizm Larsena w stabilnej kondycji również w dalszych etapach przeformowywania. Teraz można było tylko czekać i obserwować.

W chwili gdy Ling odczytywał ostatnie parametry ze wskaźników, Bey spojrzał na twarz Parka Greena i uświadomił sobie, że olbrzym przeżywa teraz prawdziwe katusze.

— Panie Ling, czy zrobiliśmy wszystko, co możliwe? — zapytał.

— Na razie tak. Musimy tylko czekać.

— Wobec tego, czy mógłby pan nam wszystko wytłumaczyć? Od samego początku? Jadąc tutaj wysłuchałem krótkiego wykładu, ale Park Green nadal nic nie rozumie. Jestem pewien, że Marię również by to zainteresowało.

Ling spojrzał na tych troje takim wzrokiem, jakby widział ich po raz pierwszy. Po chwili kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Należy się to wam, nawet jeśli nie mam racji. Od samego początku, tak...? To długa historia. Będzie ona zgodna z moją wizją, moją wersją wydarzeń. A czy jest prawdziwa, to już inna sprawa.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i złożył dłonie na karku.

— Zaczyna się ona szesnaście milionów lat temu, i to nie na Ziemi. Na planecie Loża. Loża była olbrzymem o masie równej dziewięćdziesięciu masom Ziemi i miała wkrótce eksplodować. Powiem teraz coś, co nie zostało dotąd udowodnione i w co może trudno wam będzie uwierzyć. Na Loży istniało życie, planetę zamieszkiwała rasa inteligentnych osobników. Może nawet zbyt inteligentnych. Wiemy, że Loża się rozpadła, ale nie wiemy dlaczego. Być może trzeba winić za to jej mieszkańców. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Owa rasa poznała i umiała wykorzystywać energię jądrową, ale nie nauczyła się konstruować pojazdów umożliwiających podróże kosmiczne.

— Zaraz, zaraz — przerwała mu Maria Sun. — Tego to już z całą pewnością nie może

pan wiedzieć. Ostatecznie mogę uwierzyć w istnienie rozumnych mieszkańców Łoży, ale sam pan przecież powiedział, że nigdy się o nich wiele nie dowiemy.

— A jednak wiem. A skąd?... — Ling wydawał się wręcz zadowolony, że zadano mu takie pytanie. — Otóż musieli władać energią jądrową, produkowali bowiem pierwiastki transuranowe. Każde naturalne źródło transuranowców przestałoby istnieć w wyniku naturalnego procesu wkrótce po powstaniu planety. Istnieje tylko jedno logiczne uzasadnienie faktu, że na Łoży — i to wyłącznie na Łoży — mogły się znaleźć transuranowce: musiały tam być wytwarzane przez syntezę nuklearną. My nie potrafimy na razie ich wytwarzać, dlatego myślę, iż można przyjąć, że w zakresie techniki nuklearnej Łożanie osiągnęli wyższy niż my stopień wiedzy.

— No dobrze — Maria skinęła swą ciemną głową. Wyglądała teraz inaczej niż wtedy, gdy Bey widział ją po raz ostatni. Obecnie nosiła formę ślicznej mieszkanki Bliskiego Wschodu. Potoki straszliwych przekleństw, jakie w chwili szczególnego wysiłku tryskały z jej różanych ust, dawały dziwny efekt, z którego zapewne nie zdawała sobie sprawy. — A więc znali energię jądrową. Ale skąd może pan wiedzieć, że nie opanowali techniki lotów kosmicznych?

— To proste, moja droga Mario. — Nie potrafili opuścić Łoży, choć wiedzieli, że zbliża się katastrofa. Wiedzieli o niej już na kilka lat wcześniej, nim nastąpiła, mieli czas, by obmyślić sposób ratunku, a jednak nikt nie uciekł. Dosłownie nikt.

Ling podniósł się z fotela.

— Zaczekajcie chwilę, muszę sprawdzić odczyty. — Podeszedł do zbiornika, spojrzął na wskaźniki, pokiwał głową i wrócił na miejsce. — Sytuacja jest nadal stabilna, choć zmiany następują coraz szybciej. Następna godzina lub dwie będą decydujące.

— Zostaniemy tutaj — powiedział Bey. — A więc nie umieli uciec z Łoży — przypomniał.

— Tak jest. — Ling ponownie przyjął swobodną pozę i zapatrzył się w przestrzeń. — Mieli czas, by wymyślić jakieś wyjście, dlatego sędzę, że nie była to wojna nuklearna. Może odkryli sposób wielkoskalowego przekształcenia wnętrza planety, a później stracili nad tym kontrolę. Taki proces byłby stosunkowo powolny.

Co mogli zrobić? Rozglądali się dookoła po całym Układzie Słonecznym. Zdawali sobie sprawę, że zginą, ale może istniał jakiś sposób na to, by przeżyć ich gatunek?... Dla Łożanina naturalnym miejscem, w którym można by podjąć próbę przetrwania, byłby Jowisz, albo jeszcze lepiej — Saturn. Zapewne w ogóle nie brali pod uwagę Ziemi, która była dla nich małą planetką, zbyt gorącą, z tlenową atmosferą, jakąś tam metalową kulą, co przycupnęła blisko Słońca. Nie, to musiał być Jowisz lub Saturn. One stanowiły ich nadzieję. W ich stronę skierowali swe wielkie, świetliste oczy, przystosowane do widzenia w mrocznej, bogatej w metan atmosferze.

Beyowi przypomniały się nagle ogromne, błyszczące ślepia Potworów Mariańskich, które stały na dnie morza w pobliżu wyspy Guam niby strażnicy Mariańskiej Głębi. Gdy Grabieżcy tryumfalnie lądowali na szarej powierzchni Tycho, nie przyszło im nawet do głowy, że może się im przydarzyć coś podobnego.

— Załoga „Jasona” — szepnął.

— Wybiega pan naprzód — uśmiechnął się Ling. — Proszę pozwolić mi kontynuować opowieść, prawdziwą albo fałszywą. Mówiłem już, że będą to czyste spekulacje. Tak więc ich uczeni obliczyli siłę eksplozji Łoży i przedstawili ponury raport. Żadna forma życia, łącznie z jednokomórkowcami, nie ocaleje po kataklizmie. Fragmenty Łoży zostaną rozrzucone we wszystkich kierunkach. Niektóre z nich opuszczą Układ Słoneczny na zawsze, inne wylądują na Słońcu, a jeszcze inne niewątpliwie trafią na Jowisza, Saturna oraz pozostałe planety, w tym także na Ziemię. Czy jest możliwe, żeby cokolwiek przeżyło tę katastrofę i długą podróż w Kosmosie...?

W tym momencie Park Green przemówił po raz pierwszy.

— Jeżeli jednokomórkowce nie mogły przetrwać, musiałyby to być coś bardzo prymitywnego. A co z wirusami? To przecież tylko grudki DNA bez żadnego opakowania.

Ling spojrział na Greena wyraźnie zaskoczony.

— No właśnie! Wirus nie posiada własnego „systemu życiowego”. Aby mógł rosnąć i rozmnażać się, musi trafić na komórkę-nosiciela. Lożianie podjęli ryzyko i umieścili swój materiał genetyczny w formie wirusowej.

— Czy ten pomysł się sprawdził? — spytała Maria Sun.

— Chyba nie tak, jak tego oczekiwali — odparł Ling. — Zresztą trudno powiedzieć. Nigdy nie umieściliśmy statku kosmicznego na powierzchni Jowisza lub Saturna, więc nie wiemy, co się tam znajduje. Może mieszkają tam Lożianie ukształtowani przez wirusowy rozrost ich materiału genetycznego w organizmach-nosicielach?

Część materiału wirusowego trafiła na te fragmenty Łoży, które zostały wyrzucone z Układu Słonecznego i stały się budulcem dla komet długookresowych. Aspekt czasu nie ma tu znaczenia. Wirus może przetrwać nieskończenie długo. Po szesnastu milionach lat pod wpływem przyciągania naszej gwiazdy niektóre z fragmentów powróciły do Układu Słonecznego, po czym zostały schwytane i skruszone przez ludzi, którym nie chodziło oczywiście o lożańskie DNA, lecz o pierwiastki transuranowe.

— I lożańskie DNA zaczęło się w nich rozwijać? — spytał Green, zaintrygowany. — Chwileczkę, to przecież niemożliwe. Gdyby tak było, to każdy Grabieżca...

Ling z aprobatą skinął głową.

— Bardzo dobrze, panie Green. Ma pan absolutną rację. Ale ludzki organizm stanowi nieodpowiednie środowisko dla formowania się Lożian. Wirus może bez przeszkód wnikać do niego, a nawet przedostać się do centralnego układu nerwowego człowieka, ale nie jest w stanie się dobrze rozwijać w tak niekorzystnym dlań otoczeniu. Nie ta atmosfera, nie ten skład chemiczny, nie ten kształt...

Ling przerwał i spojrział na pozostałą trójkę. Jego sposób bycia uległ zmianie. Mieli teraz przed sobą wielkiego uczonego, który w trakcie wykładu prezentuje zafascynowanemu audytorium własne, niezwykle oryginalne, rewelacyjne koncepcje.

— Widzicie, ja wiedziałem o cywilizacji lożańskiej, jeszcze zanim przyleciałem na Ziemię, by prowadzić to śledztwo. O jej istnieniu świadczyły ponad wszelką wątpliwość transuranowce. Gdybym tego nie wiedział, nie potrafiłbym tak szybko powiązać pewnych faktów i sformułować wniosków.

Sądzę, że teraz już sami możecie dopowiedzieć sobie resztę historii. Członkowie załogi „Jasona” mieli niestety pecha. Kiedy rozkruszyli odłamek Łoży w poszukiwaniu asfanium i polkium, wirus zawierający lożańskie DNA przedostał się do ich organizmów. Początkowo nic się nie działo. Przylecieli do Tycho City na wielkie oblewanie i nadal wszystko było w porządku. Ale potem przybyli na Ziemię i tu trafili do komór przeformowujących. Wirusy mogły wreszcie zacząć działać. Pobudziły centralne systemy nerwowe w taki sposób, że zaczęły się tworzyć kształty optymalne dla Lożian, a nie Ziemian. Gdy zmiany zaszły tak daleko, że formy te nie mogły przetrwać w ziemskiej atmosferze, stwory zginęły. Zatrwały się zwykłym powietrzem.

Park wlepił wzrok w komorę, w której znajdował się John Larsen. Teraz dopiero uświadomił sobie w pełni, jakie konsekwencje wynikały z tego, o czym mówił Ling.

— Czy to znaczy, że John także...?

— Mogło się tak stać — odparł Ling. — Wstrzyknął sobie lożańskie DNA razem z asfanium, które pobrał ze zwłok. Przez cały dzień modyfikowaliśmy w zbiorniku system podtrzymujący procesy życiowe w taki sposób, żeby dostosowywał się do potrzeb znajdującego się w nim organizmu. Jeśli zerkniecie teraz na wskaźniki, zobaczycie, że atmosfera i odżywki byłyby śmiertelne dla człowieka.

Park Green podbiegł szybko do zbiornika, spojrzął na monitory i zaraz wrócił.

— Masa ciała dwieście kilogramów. Ilość tlenu w organizmie poniżej ośmiu procent, znacznie mniejsza niż amoniaku. Panie Ling, czy John przeżyje?

Ling wstał i podszedł do komory. Uważnie obejrzał wszystkie odczyty.

— Wierzę, że tak — powiedział po chwili. — Tempo zmian spada i wszystko zaczyna się stabilizować. Nie wiemy, czy potrafimy przywrócić mu pierwotny kształt. Nawet jeśli się to uda, wymagać będzie sporo czasu.

W spojrzeniu Beya Wolfa dostrzegł odbicie własnego podekscytowania.

— Pomyślcie o drugiej stronie medalu — powiedział. — Przez całe wieki marzyliśmy o pierwszym spotkaniu z jakąś obcą cywilizacją. — Skinął dłonią w kierunku zbiornika. — Jej przedstawiciel znajduje się tuż obok nas i za dzień lub dwa będziemy mogli go powitać!

## CZEŚĆ TRZECIA

### ROZDZIAŁ 15

Była już późna noc i światła na zewnątrz przybladły. Wolf siedział obok wielkiej komory i półdrzemiąc rozmyślał o ostatnich wskaźnikach społecznych. Opuszczona głowa, sztywne barki i bezwład całej postaci świadczyły o stopniu jego zmęczenia. Przed nim na ekranie widniała mapa całego świata z zaznaczonymi koncentrycznymi kołami otaczającymi każdy wylot Łącznika. Oznaczały one zachodzące zmiany. Bey mógł sobie wyobrazić gorączkową aktywność w biurach Koordynatorów Generalnych, próbujących ustabilizować system ekonomiczny Ziemi. Należało przyjąć za pewnik, że jeśli nowe środki kontroli nie przyniosą lepszych rezultatów, zachwianiu ulegną nawet wskaźniki długofalowe dotyczące liczby narodzin i zgonów oraz szybkości zmian.

— Przykro mi, że musiałeś czekać tak długo, Bey. — Syczący głos z głośników ściennych gwałtownie wyrwał go z zadumy. — Ludzie z KUB chcieli sprawdzić dokładnie moje reakcje wzrokowe. Okazuje się, że widzę wszystko w zakresie fal od bliskiego ultrafioletu do podczerwieni termicznej. Z grubsza od trzech dziesiątych mikrona do piętnastu mikronów. Nic dziwnego, że ostatnio świat wydaje mi się raczej dziwny.

Wolf potrząsnął głową, odetchnął głęboko i wyprostował się na krześle, po czym zajrzał przez przezroczystą ścianę do wnętrza zbiornika. John Larsen uniósł masywną trójczłonową rękę w geście pozdrowienia. Jego potężny tors był pofałdowany i cały pokryty guzami, z wyjątkiem gładkiego owalnego obszaru tuż pod centralną wypukłością, pod którą mieścił się pomocniczy ośrodek nerwów motorycznych. W twarzy uwagę zwracały przede wszystkim wielkie błyszczące oczy i szerokie usta z dziwnymi obwódkami. Larsen wysunął głowę do przodu, co, jak już Bey wiedział, należało odbierać jako łożniański uśmiech.

— Mieliśmy długą sesję — powiedział — ale przynajmniej lekarze uznali wreszcie, jak sądzę, że po przejściu przez to wszystko nie stałem się jednak wariatem. Wczoraj nie byli jeszcze tego pewni.

Dobierał słowa powoli i starannie, a gładki owalny obszar na jego piersi zmieniał kolor od jednolitego jasnego różu poprzez brąz do miękkiej zieleni, w ślad za jego słowami, niczym ekran reagujący na dźwięki.

Wolf uśmiechnął się ze znużeniem.

— Zawsze to jakiś postęp. Przed zmianą nie wykazywałeś zbyt wielu oznak zdrowia psychicznego. Od ultrafioletu do termicznej podczerwieni, tak?... Ponad pięć oktaw w widmie elektromagnetycznym, podczas gdy my odbieramy niecałą jedną. Czy możesz przedstawić cały ten zakres na ekranie na piersiach?

— Jasne. Popatrz tylko. Najpierw podczerwień, potem będę stopniowo zmniejszał długość fali. Jedziemy!

Larsen przysłonił błoną migawkową swe ogromne oczy i wskazał na gładką powierzchnię na piersiach. Wolf przyglądał się jej w milczeniu. Jeszcze przez chwilę ował pozostał szary, po czym nagle rozjarzył się głęboką czerwiecią. Prawie niezauważalnie zmienił barwę na żółtą, potem na zieloną, bladofioletową, aż wreszcie powrócił do szarości.

Wolf potrząsnął głową.



— Muszę uwierzyć ci na słowo, John. Widziałem tylko zwyczajne widmo optyczne. Wiesz, jesteś chyba ostatnim kameleonem. Kiedy już przejdziesz przez te wszystkie badania, musimy wybrać się na tournée. Czegoś takiego nie było jeszcze w całej historii przeformowania, a przecież obu nam zdarzało się oglądać naprawdę dziwne rzeczy.

— Zgoda, Bey, pod warunkiem, że znajdziesz dla mnie jakiś sposób transportu. Będziesz musiał powielić to urządzenie. — Masywne przedramię wskazało wnętrze wielkiego zbiornika. — Ile wydano na zbudowanie pomieszczenia, w którym mogę żyć? Jest całkiem wygodne, ale bardzo się cieszę, że nie będę musiał pokryć jego kosztów z własnej pensji.

— Nic nie wiem o kosztach — powiedział Wolf. — Ling, zanim znowu gdzieś przepadł, zapłacił za wszystko. Zadał także o stronę techniczną. Prawdopodobnie pokrył to budżet FPZ. Ling ma do dyspozycji fundusz, który wywarł spore wrażenie nawet na właścicielach Kopuły Rozkoszy, a to, jak dobrze wiesz, nie jest wcale łatwe. Wciąż jeszcze nie mam o nim żadnych wiadomości — jak się stąd wydostał, dokąd pojechał... Nie wiem absolutnie nic.

Larsen pokiwał szeroką, pofałdowaną głową, otoczoną wieńcem lepkich włosów.

— Jeśli interesuje cię moje zdanie, to usłyszysz o nim dopiero wtedy, kiedy sam tego sobie zażyczy. Przez te kilka tygodni, kiedy nade mną pracował i starał się zapewnić mi możliwość przetrwania w obecnej postaci, poznałem go całkiem nieźle. Masz całkowitą rację — to jest Capman, co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Zna sposoby na to, żeby pojawiać się na Ziemi i znikać, a także podróżować po całym Układzie Słonecznym, o których my nie mamy zielonego pojęcia.

— No tak. — Wolf podrapał się po piersiach, jak to zwykł robić wtedy, gdy był niezadowolony. — Jakoś pogodziłem się z myślą, że raz pozwoliłem mu uciec. Ale teraz pozwoliłem mu uciec po raz drugi, a to jest już niewybaczalne — tym bardziej, iż wiedziałem, że to Capman! Czuję to przez skórę, na długo zanim zniknął. Powiedział kiedyś, że on i ja rozpoznamy siebie zawsze, nawet pod najdziwniejszymi postaciami. Wierzę mu. Gdy tylko przyjmiesz swój normalny kształt, obaj znowu zaczniemy go szukać. Jestem przekonany — bardziej niż kiedykolwiek — że nikt nie rozumie do końca znaczenia doświadczeń w Szpitalu Centralnym.

— Nie wiem, Bey, co on tam robił, ale wiem na pewno jedno. To on uratował mi życie.

— Kiedy będziesz mógł wrócić do pierwotnej formy, John? KUB powinna już przygotować plan postępowania. Czekam z niecierpliwością na szczegóły, ale wiem, że przed zastosowaniem procedury odwracającej oni chcą dobrze poznać istotę przemian w obu kierunkach.

Śmiech Larsena, który popłynął z głośników, zabrzmiał jak ostry, nieprzyjemny zgrzyt.

— Nie poganiaj mnie, Bey! Teraz, kiedy jestem pewien, że mogę wrócić do pierwotnego kształtu, wcale się z tym nie spieszę. KUB twierdzi, iż wymagałoby to czterech tygodni w komorze przeformowującej. Wiesz dobrze, jaka to nuda! A poza tym nie jestem całkiem przekonany, czy ja naprawdę tego chcę...

Wolf popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Bey, ja nie żartuję — ciągnął dalej Larsen. — Kiedy staram się ocenić całą rzecz obiektywnie, dochodzę do wniosku, że w ludzkiej formie John Larsen nie był zbyt inteligentny. Pamiętam, z jakim trudem nieraz usiłowałem nadażyć za twoim tokiem rozumowania, często zresztą bezskutecznie. Obecnie nie stanowi to żadnego problemu. Kiedyś zdarzało mi się zapominać o różnych sprawach, a teraz wszystko, co zobaczę lub usłyszę, czeka tylko na przywołanie.

Rozparł się wygodnie na krześle, na tyle mocnym, że wytrzymało jakoś nacisk jego trzystukilogramowego ciała.

— I jeszcze jedno. Odkryliśmy to podczas dzisiejszych testów. Choć już wcześniej coś podejrzewałem, nie zdawałem sobie sprawy, że zmiana jest aż tak ogromna. Czy pamiętasz moje kłopoty z matematyką, a nawet prostą arytmetyką? Nawet jeśli korzystałem z implantu?

Bey westchnął.

— Trudno byłoby zapomnieć. Zdobyłeś sobie pewną sławę z tego powodu. Na kursach teorii Smith nazywał cię „ciastogłowym Larsenem”...

— Nic masz pojęcia, jak często marzyłem o tym, by powrócił do swej naturalnej formy i przybrał postać ropuchy. Mniejsza zresztą o niego, zadaj mi jakieś pytanie, z którym powinienem mieć trudności — takie, które przekraczało możliwości umysłowe Johna Larsena.

Wolf zmarszczył brwi i w zamyśleniu zaczął drapać się po głowie.

— John, właściwie wszystko przekraczało twoje możliwości. Może funkcje specjalne?... Przypominam sobie, że nie cierpiełeś, kiedy pojawiały się w teorii przeformowywania. Czy pamiętasz cokolwiek o funkcji gamma?

— Ile liczb chciałbyś usłyszeć? Przyjmijmy dokładność sześciu cyfr znaczących, a argumenty będą podawał co jedną setną, dobrze? Gamma od 1,01 wynosi 0,994326, gamma od 1,02 wynosi 0,988844, gamma od 1,03 wynosi 0,983550, gamma...

— Przestań, John! — Bey uniósł dłoń w geście protestu. — Nie chcę wysłuchiwać całej tablicy, nawet jeśli ją znasz. Co się stało? Czy Capman obdarował cię kalkulatorem w formie implantu?

— Żaden implant. — Larsen znowu wybuchnął śmiechem. Wolf skrzywił się na dźwięk przypominający pękające szkło. — Dostajesz to za darmo wraz z całą formą, jeśli stajesz się Lożianinem. Nie wiem nawet, czy to specyficzne zdolności do obliczeń, czy też znakomita pamięć. Gdy czegoś potrzebuję, liczby i wzory po prostu są na miejscu. Rozumiesz teraz, czemu nie spieszę się z powrotem do starej formy?

Dzieliąca ich ściana ze szkła była cienka, mimo że musiała wytrzymać różnicę ciśnień wynoszącą prawie trzy atmosfery. Wolf obawiał się o nią oprzeć, chociaż wiedział, że niewielki dodatkowy nacisk nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Podeszedł blisko do szyby i wpatrzył się w obcy kształt.

— Spodku, zostałeś zrozumiany. Jeszcze trochę i zacznę czuć się jak kretyn. Boję się, że jeśli nie zdecydujesz się na powrót do pierwotnej postaci, moja miłość własna nie będzie w stanie tego znieść.

— W takim razie pozwól mi zabłysnąć jeszcze raz. — Larsen pochylił się do przodu, drapiąc swój wielki szary tors w miejscu, gdzie znajdował się owalny ekran. — Przez cztery lata bez powodzenia próbowałeś odnaleźć Roberta Capmana. Teraz przypadł znowu, a ty nie masz pojęcia, gdzie go szukać. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że masz obecnie znacznie więcej informacji niż kiedykolwiek?

— Zaczął drapać inne miejsce na piersi. — Chyba złożę zażalenie w sprawie skóry. Nie czuję się w niej dobrze.

— Więcej informacji? — Senność opuściła całkowicie Wolfa. — Wcale tak tego nie widzę. Wiemy, że Ling jest Capmanem, i próbowałem iść tym tropem. Przedstawiciele FPZ nie palą się do współpracy. Albo nie chcą, by dokonana została ekstradycja Capmana na Ziemię, albo cała sprawa ich zupełnie nie obchodzi. Dziś rano połączyłem się z Parkiem Greenem w Tycho City. Kazano mu wrócić do jego poprzednich zajęć i nie marnować czasu na poszukiwania Capmana. No więc skąd mogłyby nadejść te nowe informacje?

Larsen przestał się drapać i sięgnął po trójkątny kawałek włóknistej, zielonej gąbki.

— Muszę jeść takie rzeczy, żeby nie umrzeć, ale jestem pewien, że Lożianie mieli inną dietę. To świństwo smakuje jak odpady z fabryki chemikaliów. — Przytknął gąbkę do delikatnej obwódki warg, która spełniała rolę organu powonienia i smaku. Wyraz jego twarzy wyraźnie się zmienił. Na chwilę zamknął oczy, po czym odłożył włóknistą masę na półkę obok. — Teraz wiem, jak czują się ludzie na obszarach dotkniętych głodem, karmieni porcjami pięciokrotnie przetworzonej papki. Może jednak zdecyduję się na powrót do starego kształtu. Od wieków nie jadłem porządnych potraw i już zaczynam zapominać jak smakuje.

— Nowe informacje, John — przypomniał Wolf niecierpliwie. — Wiem, że chcesz mnie zdenerwować, a sam siedzisz sobie rozkoszując się myślą, iż jesteś teraz trzy razy mą-

drzejszy niż ja. Powinieneś zdawać sobie sprawę, że wszystko, co jest związane z Capmanem, wprawia mnie w stan napięcia.

Larsen poruszył głową, prezentując łożański uśmiech samozadowolenia, i nic nie odpowiedział.

— S k ą d mamy te nowe informacje? — naciskał dalej Wolf. — FPZ nie przekazała nam niczego użytecznego. Jeżeli dowiedziałeś się czegoś wtedy, gdy wspólnie pracowaliście po dwadzieścia godzin na dobę nad twoją łożańską formą, to nic mi o tym nie wspominałeś. No więc, o co tu chodzi?

— No dobrze, Bey, nie będę cię już dłużej męczyć. Spróbujmy odwołać się do zwykłej logiki i zobaczymy, dokąd to nas doprowadzi. Na początek przypomnij sobie swoją pierwszą myśl, że to Capman był w jakiś sposób o d p o w i e d z i a l n y za łożańskie formy odnalezione w Rowie Mariańskim. Okazało się, że nie masz racji. Można by zatem przyjąć, że Capman nie interesował się Łożą, zanim nie pojawiły się te nieznane formy. Z drugiej jednak strony Capman — jako Karl Ling — był od dawna czołowym ekspertem od Łoży i wszelkich związanych z nią spraw, był nim już wiele lat przed owym dniem, gdy potwory wkroczyły na scenę. Jaki z tego można by wyciągnąć wniosek?

Wolf wpatrywał się w cienką szybę, myśląc teraz z niechęcią o trującej atmosferze, jaka panowała wewnątrz zbiornika.

— *Tokhmir*, John. Nienawidzę rozmawiać z osobą znajdującą się w innym pomieszczeniu. To gorsze niż połączenie video.

— No i kto kogo dręczy? Jeśli chcesz, możesz tu wejść. Powietrze jest niezłe, trzeba się tylko do niego przyzwycząić. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

Wolf pokiwał głową.

— To dobre pytanie. I bardzo oczywiste. Muszę być bardziej zmęczony, niż to mi się ostatnio wydawało. Odkąd zacząłeś się przekształcać, wszystkich ogarnęło szaleństwo. No dobra, niech pomyślę.

Usiadł i oparł głowę na dłoniach.

— Capman został Lingiem. A zatem albo dysponował wiedzą o łożańskich formach, jeszcze zanim wezwaliśmy go na pomoc, albo interesował się Łożą z zupełnie innych przyczyn. Nie wierzę, żeby coś wiedział o formach przed podróżą do Kopuły Rozkoszy — sam widziałem, jak dopiero tam wszystko rozpracowywał. Zostaje więc tylko druga możliwość: zainteresowanie Łożą, ale z powodów zupełnie nie związanych z łożańskimi formami. Dla mnie brzmi to nieprawdopodobnie.

— Jakkolwiek by nie brzmiało, jest to jedyny sensowny wniosek. A teraz — głos Larse-  
na stał się jeszcze bardziej piskliwy, a owalna płyta na piersiach wyraźnie pojaśniała —  
doprowadź rozumowanie do końca. Jaki następny krok powinieneś uczynić?

Bey kiwał pochyloną głową.

— W porządku. Rzeczywiście coś znalazłeś. Dodatkowa informacja to ów prosty fakt, że Capman interesował się już wcześniej Łożą. Muszę dociec, jaki był tego powód. Chyba wiem, jaka metoda będzie najlepsza. Park Green ma dostęp do wszystkich danych FPZ, niech więc spróbuje prześledzić dotychczasowe ruchy Linga. — Uniósł wzrok. — Może sam powinienem zamknąć się w którymś zbiorniku i przyjąć formę łożańską. Przydałoby się zwiększyć obroty mojego mózgu.

Larsen przytaknął jednoczesnym ruchem głowy i tułowia.

— Pewnie myślisz, że to żart, ale naprawdę powinieneś potraktować ten pomysł poważnie. Nie jestem w stanie opisać, co się czuje, wiedząc, że się jest inteligentniejszym, niż było się kiedyś. To prawdziwa bomba. Kiedy schemat przekształcania w obie strony zostanie opracowany szczegółowo do końca, wiele osób z pewnością zechce spróbować tej formy.

Larsen otworzył szeroko usta, odsłaniając kościstą strukturę wewnętrzną oraz skręcony, pokryty cętkami język.

— Przepraszam, Bey. Łožiańskie ziewnięcie jest raczej wstrętne, na ile mogę wierzyć lustru. Jeśli zamierzasz teraz skontaktować się z Parkiem Greenem, to ja udam się na krótki wypoczynek do pomieszczenia sypialnego. Jeszcze tego do końca nie sprawdziliśmy, ale wygląda na to, że żyję obecnie w cyklu siedemnastogodzinnym. Wszystkie te testy kompletnie mnie wykańczają. Dziesięć godzin poświęconych wyłącznie moim oczom! — Wstał z miejsca. — Pozdrów ode mnie Parka — nie mogę przecież zrobić tego osobiście.

Kiedy Wolf odszedł w stronę centrum komunikacyjnego, Larsen odwrócił się i ciężkim krokiem poczłapał do wewnętrznej komory, gdzie znajdowało się pomieszczenie sypialne. Jego ciche, choć niezgrabne ruchy przypominały ślizganie się na zaokrąglonych stopach, stanowiących zakończenie krępych kończyn dolnych. Znalazłszy się wewnątrz sypialni podszedł od razu do pulpitu telekomunikacyjnego, wbudowanego w jedną ze ścian. Grube paluchy nie najlepiej radziły sobie z małymi klawiszami pulpitu, ale udało mu się jakoś wystukać zaszyfrowany kod, umożliwiający dostęp do sieci pozaziemskej. Gdy uzyskał połączenie, przystąpił natychmiast do nadawania komunikatu.

Żadnemu człowiekowi nie byłoby łatwo zrozumieć, co wyraża łožiańska twarz, ale może niektórzy specjaliści z KUB, którzy pracowali przez ostatnie tygodnie z Larsenem, zauważyliby malującą się na jego obliczu satysfakcję. Napisana przez niego wiadomość została zakodowana i wysłana jako ostro zogniskowana wiązka w kierunku stacji przekaźnikowej na Księżycu, a potem jeszcze dalej, do bardzo odległego miejsca przeznaczenia.

## ROZDZIAŁ 16

Na ekranach rozmieszczonych we wszystkich biurach Koordynatorów Generalnych prezentowano tabele parametrów socjalnych. W głównym biurze osiemnaście najważniejszych wskaźników pokazywała stylizowana mapa. Obok każdego wykresu umieszczono krótkie résumé, w którym podano zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni, a także prognozę na najbliższe dziewięćdziesiąt dni oraz informacje o tempie zmian.

Na środku pokoju, wokół okrągłego stołu, z ponurymi minami zasiadło sześciu naczelnych planistów. Obraz sytuacji przedstawiał się aż nazbyt jasno. W normalnym, w miarę stabilnym zachowaniu ludności pojawiły się wyraźne zaburzenia, które narastały pomimo różnych prób ich zlikwidowania. Pewien stopień zakłóceń można było tolerować — co więcej, przyjmować za nieuniknione — ale zaburzenia przekraczające określony poziom, zgodnie z doktryną Dolmetscha musiały wywołać istotne zmiany. Nowy stan równowagi trudno było wyliczyć i istniały w tej sprawie istotne kontrowersje. Jedna szkoła teoretyków przepowiadała częściowe załamanie się modelu społecznego, po którym w zredukowanej do czterech miliardów ziemskiej populacji wytworzyłaby się nowa homeostaza. Ten punkt widzenia należało uznać za optymistyczny. Inni, łącznie z samymi Dolmetschem, uważali, że nie da się przejść do nowego stanu równowagi bezpośrednio ze starego. Cywilizacja — ich zdaniem — musiała upaść całkowicie i wtedy dopiero na jej gruzach mógł się narodzić nowy porządek.

Żaden z planistów nie był teoretykiem. Nie widzieli właściwie różnicy między rozwiązaniami, z których jedno zakładało śmierć dziesięciu, a drugie czterem miliardom ludzi. Oba były nie do przyjęcia. Ewolucja wskaźników nie napawała jednak optymizmem.

Kierujący grupą uniósł paleczkę, której używał do pokazywania szczegółów na wykresach, i potrząsnął głową z niezadowoleniem.

— Nie umiem nawet powiedzieć, czy w ogóle coś z tego rozumiem. W niektórych regionach widoczne są oznaki poprawy — wskazał na obszar w okolicach wlotu Łącznika w Ameryce północno-zachodniej — ale w Chinach wszystko diabli biorą. Proszę spojrzeć na wskaźnik przemocy. Nie oglądałem wydruków komputerowych, ale liczba zgonów z powo-

dów nienaturalnych wzrosła z pewnością trzykrotnie.

Siedząca obok kobieta popatrzyła na wspomniany region.

— W samym środku obszaru objętego zamieszkami znajduje się moje miasto rodzinne — powiedziała cicho. — Musimy próbować coś zrobić, nawet jeżeli rezultaty stoją pod znakiem zapytania.

— Zgoda, ale po naszym posiedzeniu proszę przestrzegać ustalonych reguł. Wszystkie komentarze publiczne mają brzmieć optymistycznie, a prognozy nie mogą obejmować okresu dłuższego niż sześćdziesiąt dni. Bóg jedyny wie, czy i te zasady nie okażą się fatalne.

Wszyscy powstali.

— Ile mamy czasu, Jed, do chwili, kiedy nie będzie już powrotu? — spytała kobieta.

— Nie mam pojęcia. Trzy miesiące? Sześć?... Gdy proces się już zacznie, może przebiegać bardzo szybko. Wszyscy widzieliśmy efekt śnieżnej kuli — na papierze. — Wzruszył ramionami. — Od dawna obawialiśmy się czegoś takiego. W połowie prac naukowych napisanych w ostatnim dwudziestolecu na temat stabilności społecznej prawdopodobieństwo zaistnienia poważnych problemów oceniano na ponad pięćdziesiąt procent. No, cóż, w każdym razie w ciągu najbliższych paru dni możemy zrobić kilka sensownych rzeczy.

Odwrócił się do swojej sąsiadki.

— Greta, będzie mi potrzebne podsumowanie sytuacji, chcę wysłać je do centrali FPZ. Jest tam teraz Dolmetsch i mógłby przekazać im informacje. Sammy, chciałbym, żebyś sprawdził, jak FPZ zareaguje na propozycję wypożyczenia od nich na kilka miesięcy kernela energetycznego i umieszczenia go na orbicie w synchronicznej stacji nad Quito. Skierowana w dół wiązka mocy rozwiązałaby na miesiąc lub dwa problem energii w Ameryce Południowej. Ewig, potrzebuję najnowszych danych z Europy. Za godzinę mam być na posiedzeniu Rady. Pastore z pewnością zapyta o sytuację w północnych Włoszech. Wrócę po materiał za dwadzieścia minut, bo muszę mieć czas na przestudiowanie go przed konferencją.

Opuścił pospiesznie salę. Poziom hałasu w wielkim pomieszczeniu gwałtownie wzrósł, gdyż planiści podwoili wysiłki zmierzające do ustabilizowania światowej ekonomii. Wszystkich podtrzymywała na duchu jedna nadzieja: nie był to pierwszy kryzys w ostatnim półwieczu. Dotychczas zawsze udawało się znaleźć środki zaradcze i dzięki nim wstrzymać oscylacje wskaźników społecznych. Obecnie jednak sytuacja wyglądała naprawdę kiepsko. Planiści przygotowywali się do długiej i ciężkiej batalii, podobnie jak to czynią mieszkańcy wybrzeża zbierający siły w obliczu nadciągającego huraganu.

Park Green znajdował się w położonym sześć kilometrów pod powierzchnią Ośrodka Danych Archiwalnych i właśnie kończył pracę. Spojrzał na zegarek, gwizdnął, przegrał zebrane wyniki do pamięci swego peceta i wyłączył terminal komputera. Przez kilka minut siedział w milczeniu, porządkując w myślach odkryte fakty, a potem znowu zerknął na zegarek. Bey, mimo iż funkcjonował w czasie centralnym, a nie uniwersalnym, powinien nadal być na nogach. Jeśli nie złapie się go teraz, trzeba będzie czekać kolejne dziesięć godzin. Park postanowił, że przed powrotem do sektora budynków mieszkalnych, spróbuje się skontaktować z Ziemią.

Otrzymał połączenie niemal natychmiast — o tej porze linie łączności nie były przeciążone. Kiedy na holoeckranie pojawił się obraz zaspanego i poirytowanego Wolfa, Park powziął podejrzenie, że popełnił błąd, obliczając różnicę czasów. Uznał, że w takiej sytuacji powinien sobie darować zwyczajową formułę powitania.

— To tajemnicza sprawa, Bey — zaczął. — Nawet bardzo. Rekordy wyglądają na niektnięte i zawierają pełne dane osobowe o Lingu z okresu ostatnich pięćdziesięciu lat. Zgadzę się z tobą, że Ling to Capman, ale jak to możliwe przy tak kompletnych rekordach?

Bey przecierał oczy i stopniowo odzyskiwał świadomość.

— Pełne dane, powiadasz?... Większość ludzi nie byłaby w stanie ich sfalszować. Kilka

lat temu uzyskaliśmy jednak dowody, że Capman jest mistrzem w manipulowaniu programami komputerowymi. Dane przestają być bezpieczne, kiedy on jest w pobliżu. Jest duże prawdopodobieństwo, że większa część „historii” Linga została wymyślona i wprowadzona do pamięci przez Capmana. Ktoś musiał mu jednak pomóc. Pewnie któryś z przywódców FPZ, szary obywatel Ziemi nie miałby bowiem takiej możliwości. Ktoś u was umożliwił Capmanowi dostęp do Banków danych.

— Nie wiem, jak tego dokonano. — Green popatrzył na znajdujący się przed nim terminal komputera. — Większość zbiorów wolno tylko czytać. Jak więc mógł je zmodyfikować?

— Protekcję pamięci tworzy się zwykle za pomocą oprogramowania, a nie specjalnych urządzeń elektronicznych.

— Ale skąd on mógł wiedzieć, z jakim typem ma do czynienia?... No dobrze, ten problem zostawiam tobie. Próbowałem wytropić Linga, ale udało mi się jedynie stwierdzić, że w chwili obecnej nie ma go na Księżycu. Z rekordów wynika, iż powinien być na Ziemi. Masz pewność, że tak nie jest?

Wolf pokiwał głową.

— O tyle, o ile. Z Capmanem nie można być pewnym niczego. Sądzę jednak, że nie ma go na Ziemi. Sprawdziłem wszystkie wykazy ludzi przebywających i odlatujących. Jeśli nie wymyślił jakiejś nowej sztuczki, to znowu umknął nam z układu Ziemia-Księżyc. Sprawdźcie Kolonie Libracyjne?

— Tak. To było łatwe zadanie, bo na ich terenie nie znajdzie się takiego miejsca, gdzie ktoś mógłby się ukryć. Tam go nie ma.

— Miej nadal oko na Księżyc. Nie chcę nawet zgadywać, jaką formę przyjął teraz — zapewne ani Linga, ani Capmana.

Green powstał i oparł się o konsolę. Nie był w najlepszym nastroju.

— Co chciałbyś, Bey, żebyśmy teraz zrobili? Zabrnąłem w ślepy zaułek, ale wygląda na to, że ty też daleko nie zaszedłeś. Masz jakieś nowe pomysły?

Wolf pogрузzył się na chwilę w milczenie. Przypomniały mu się wydarzenia sprzed czterech lat, kiedy to po raz pierwszy ruszył tajemniczym tropem Capmana.

— Mogę tylko zasugerować jedno, Park — powiedział. — Capman sprawia wrażenie kogoś, kto działa w sposób perfekcyjny, ale to nieprawda. Kiedy poprzednim razem prowadziłem śledztwo w jego sprawie, stwierdziłem, że nie był w stanie pozmieniać wszystkiego w bankach danych.

— Tutaj poszło mu doskonale...

— Może nie do końca. Łamiąc protekcję może pozmieniać własne rekordy, ale nie jest w stanie przetworzyć wszystkich zbiorów, w których pojawiałoby się jego nazwisko lub opis jego działań. Właśnie dzięki temu namierzaliśmy go poprzednim razem. Przekopałem się wówczas przez rekordy medyczne Szpitala Centralnego. Z jakichś powodów Capman nie chce niszczyć zbiorów dotyczących innych osób i to stanowi jego słaby punkt.

— Co konkretnie proponujesz, Bey?

— Musimy zastosować tę samą metodę. Trzeba odnaleźć informacje o Capmanie w danych nie związanych z nim bezpośrednio — w rekordach innych ludzi, które w pewien sposób go dotyczą.

Twarz Greena wyrażała teraz zwątpienie i niepewność.

— Rozumiem cię, Bey. Ale szczerze mówiąc, nie mani pojęcia, jak się do tego zabrać. Nie jestem maniakiem komputerowym. Skąd mam wiedzieć, w czym pliku należy szukać odnośników zawierających jakieś informacje o Capmanie albo Lingu? W FPZ żyje trzy miliony ludzi. Nie jestem w stanie przekopać się przez trzy miliony zbiorów osobowych, a chyba to właśnie sugerujesz...

— Są inne sposoby, jeśli ktoś umie sortować i łączyć dane. — Wolf zastanawiał się nad czymś przez chwilę. — Park, czy mógłbyś załatwić mi bezpośrednio podłączenie do interfejsu

FPZ-etowskiego Ośrodka Danych Archiwalnych? Tutaj, w moim biurze? Wystarczyłoby, gdybym otrzymał zezwolenie na odczyt danych — nie zamierzam zmieniać żadnego ze zbiorów, chcę tylko przeanalizować ich zawartość.

— Nie widzę trudności. Istnieje przecież program współpracy i wymiany między FPZ-etowskimi i ziemskimi bankami komputerowymi. Nie zawsze działa on doskonale, ale w tym wypadku nie powinno być problemów.

— Jeżeli to zorganizujesz, biorę na siebie analizę. Jeśli uda mi się coś znaleźć, nie będę mógł prawdopodobnie kontynuować badań tutaj na miejscu, ale wtedy ty możesz mi pomóc, jeśli zechcesz.

— Zrobię to z przyjemnością. Mnie samemu trudno byłoby znaleźć punkt zaczepienia. Sprawdź to, Bey, i połączę się z tobą ponownie. Jutro — dodał szybko, spojrzawszy na zmierzwione włosy Wolfa i jego twarz — twarz człowieka wyrwanego ze snu.

— Nie. Jeśli uzyskasz zgodę, skontaktuj się ze mną jeszcze dziś.

— W porządku. Potrzebuję od ciebie jeszcze czegoś: numeru konta. Podłączenie będzie kosztować. Czy twój budżet to pokryje?

Wolf skinął głową.

— Nie ma problemu. — Wystukał czternastocyfrowy kod umożliwiający dokonanie transferu pieniędzy do banku w Tycho City. — Jedną rzecz muszę przyznać Biuru Kontroli Form: może tu zabraknąć papieru toaletowego, ale nigdy nie ma żadnych ograniczeń w budżecie, gdy chodzi o wydatki na łączność. I ostatnia sprawa. Gdyby udało ci się załatwić mi dostęp do danych, ale tylko na miejscu, zgódź się na to. Gdy będzie trzeba, polecę na Księżyc i skorzystam z twojego terminalu, chociaż wolałbym zostać tutaj i pilnować Johna.

Green przytaknął ze zrozumieniem.

— Widziałem wczoraj w holowizji wywiad z nim. On chyba nieźle się bawi. Zupełnie się nie przejmuje swoim dziwnym wyglądem. Siedział sobie w zbiorniku, a wokół niego siedziało kilku hinduskich filozofów. Debatowali, czy John jest nadal człowiekiem. Rozłożył ich w dyskusji na łopatki. Na koniec, posługując się ich własnymi argumentami wykazał, że to oni nie są ludźmi, i zmusił ich do przyznania, że jego konkluzja jest słuszna.

— Nie oglądałem tego programu, ale łatwo mogę to sobie wyobrazić. Nie chciałbym wdawać się z nim teraz w dyskusje. Jest inteligentniejszy niż kiedyś. Jeżeli wszyscy Lożanie mieli mózgi tej klasy, to mamy szczęście, że już nie istnieją. Potrafiliby doprowadzić do tego, że robilibyśmy wszystko, czego by oni chcieli, i byłibyśmy przekonani, że chodzi im wyłącznie o nasze własne dobro.

Wolf ziewnął i przeciągnął się.

— Masz rację, Park. John dobrze się bawi. Był znacznie mniej szczęśliwy, kiedy nie mieliśmy jeszcze pewności, czy da się przeprowadzić przeformowanie powtórne.

— Wierzę, że tak jest — przytaknął Green i wyciągnął dłoń, by wcisnąć przycisk przerwujący połączenie. — Prawdę mówiąc, nie miałbym nic przeciwko zwiększeniu możliwości mojego mózgu. Zupełnie nie rozumiem, co się teraz dzieje na świecie. W Tycho City odbywają się na okrągło spotkania Rady z udziałem Dolmetscha. Wiadomości docierają do mnie z pewnym opóźnieniem, ale wiem, że gdzieś pojawiły się jakieś poważne problemy. Odezwę się, jak tylko uzyskam odpowiedź na twoje pytanie, myślę, że za jakąś godzinę, najpóźniej za dwie.

## ROZDZIAŁ 17

Cztery lata temu Bey Wolf przysięgał, że jeden raz to aż nadto i już nigdy więcej nie podejmie takiej próby; teraz jednak znalazł się znowu w podobnej sytuacji, tyle że zadanie,

przed jakim stanął, było jeszcze trudniejsze. Wtedy wypadło mu przekopywać się przez medyczne archiwa Szpitala Centralnego, obecnie obszar jego badań obejmował dane z całej FPZ. Tworzyły one prawdziwy labirynt; Bey znajdował się w środku tego labiryntu i z uporem szukał śladów wczesnej działalności Karla Linga. Ścieżka, którą podążał, krzyżowała się wielokrotnie ze swymi poprzednimi odcinkami. Kiedy wydawało się już, że doprowadzi go do czegoś istotnego, urywała się nagle lub wybiegała poza granice zakazanego obszaru, dostępnego jedynie dla przywódców FPZ. W tym labiryncie nie było nici Ariadny...

Bey nie opuszczał niemal swego pokoju w biurze Kontroli Form i harował jak wół po czternaście i szesnaście godzin na dobę. Dopiero po tygodniu wpadł na pewien trop. Drugi tydzień zajęło mu zebranie materiałów, które stanowiłyby wystarczającą podstawę do tego, by mógł z kimkolwiek dyskutować o całej sprawie. Kiedy wreszcie udało mu się tego dokonać, wyrzucił wszystkie wydruki, przerwał połączenie z Tycho City i postanowił porozmawiać z Johnem Larsenem.

Larsen nie był sam. Przy szklanej ścianie stała Maria Sun w towarzystwie trzech inżynierów z KUB. Z racji tego, że wydatnie pomogła w modyfikacji komory przeformowującej dla Larsena, uważała się za współautorkę sukcesu, której przysługują określone prawa, i żywo interesowała się kolejnymi zmianami. Tym razem jednak nie była zadowolona. Gdy Wolf podszedł bliżej, odwróciła się szybko w jego stronę.

— Bey, czy mógłbyś się wypowiedzieć w tej sprawie? — zapytała wyraźnie zirytowana. — Do kogo będą należały prawa do programów przeformowujących, użytych w przekształceniu Johna? Chciałabym poznać wszystkie szczegóły, ale nikt nie potrafi mi nawet powiedzieć, z kim powinnam o tym rozmawiać. W KUB słyszymy tylko różne plotki i zwariowane historie o Karlu Lingu, a z tego potwora nie da się wydusić ani słowa!

Bey zajął przez szklaną ścianę do pomieszczenia, w którym Larsen rozsiadł się wygodnie na krześle, dostosowanym specjalnie do jego podwójnych kolan, i w szczególny sposób kiwał głową, co z pewnością stanowiło lożański odpowiednik irytującego śmiechu. Wolf nie mógł się powstrzymać — mrugnął do niego. Miał nadzieję, że nikt tego nic zauważył.

— To tylko moje osobiste zdanie, Mario — powiedział — ale wydaje mi się, że wszelkie prawa należą do Johna. Tylko on i Karl Ling wiedzą wszystko o zastosowanych przez nich programach. Jeśli chcesz skontaktować się z Lingiem, życzę powodzenia. Przez ostatnie miesiące sam próbowałem to zrobić. To wcale niełatwa sprawa. Chciałbym porozmawiać na ten temat z Johnem.

Maria Sun odeszła od ekranu i potrząsnęła głową z oburzeniem.

— Wróć później, kiedy już skończycie. — Raz jeszcze spojrzała na Larsena. — Wyczytałam z wydruków, że współczynnik żywotności tej formy przekracza trzy. To ciało naprawdę mnie interesuje!

— Trzeba było mnie brać, kiedy miałaś okazję — mruknął Larsen.

Spojrzała na niego ostro.

— Nie mam pojęcia, na ile zabawne jest istnienie w formie lożańskiej, ale on — wskazała kciukiem na wewnątrz zbiornika — wcale się nie pali do tego, żeby się jej pozbyć. Jeśli jest wygodna i umożliwia naprawdę długie życie, zainteresuje wielu ludzi, mimo że aby móc wykorzystać jej możliwości, trzeba żyć w takim naczyniu... Koledzy z KUB myślą już o budowie kolejnych wielkich komór. Może to okazać się najważniejszą pozycją przyszłorocznego budżetu badawczego.

Rzuciła Larsenowi jeszcze jedno gniewne spojrzenie. W odpowiedzi John podniósł swą ogromną rękę i milcząc pomachał do niej. Maria wyszła z sali w asyście swoich trzech współpracowników.

— Jeszcze tu wróci — powiedział Larsen, gdy tylko drzwi się za nią zamknęły. — Maria nigdy się nie poddaje, jeśli ma do czynienia z nową formą.

— Fakt — odparł Bey, przysuwając krzesło do przezroczystej szyby. — Bądź miły dla



swojej dziewczyny, John. Zrobiła więcej od innych, aby ci pomóc, wtedy, gdy ważyły się twoje losy. Więcej, niż ja byłbym w stanie kiedykolwiek uczynić. Ale przejdźmy do innej sprawy. Dla nas obu jest to jakby powrót do dawnych czasów: znowu szukamy Roberta Capmana za pośrednictwem banków danych...

— Z tą różnicą, Bey, że tym razem chcę dokładnie rozumieć, co robisz. Poprzednio stanowiło to dla mnie tajemnicę. W ciągu ostatnich tygodni miałem okazję przyjrzeć się systemowi komputerowemu i mam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu chwytam, o co w tym wszystkim chodzi. — Larsen potarł lepkie włosy na swej zaokrąglonej czaszce kościstą wypustką, wyrastającą z drugiego członu lewej górnej kończyny. — Mam mimo wszystko nadzieję, że nie będziesz już mnie włóczył po Starym Mieście. Mogłyby być spore kłopoty z transportem urządzeń podtrzymujących moje funkcje życiowe!

— Jeśli mam rację, będziemy musieli się udać o wiele dalej — powiedział spokojnie Wolf. Postawił swój pecet na kolanach i zaczął wyświetlać dane. — Zacznijmy od samego początku. Oznacza to cofnięcie się o ponad dziesięć lat.

— Zaraz, zaraz! Dziesięć lat temu Ling był jeszcze Capmanem — zaprotestował Larsen.

— Był jednym i drugim. Pomyślałem sobie, że jeśli Ling został ekspertem od Układu Słonecznego, to musiał publikować jakieś prace na ten temat — ważne prace — co oznacza, że inni będą się do nich odwoływać. Zacząłem od przejrzania indeksu cytatów w rekordach Tycho City. Nie było to wcale łatwe. Podejrzewam, że sporo odnośników do prac Linga usunięto, ale do części udało mi się dotrzeć. Zdobyłem nawet kopię publikacji sprzed prawie dziesięciu lat. Tak więc interesuje się on rzeczywiście Łożą — tego tematu dotyczyła praca — i w dodatku od dawna — zaczęło się to na długo, zanim był zmuszony zniknąć. Może chciałbyś w tym miejscu wyciągnąć jakieś wnioski, John?

Larsen wykonał gest przypominający wzruszenie ramion: górna część jego ciała zafalowała.

— Jeden narzuca się sam. Już od dłuższego czasu Capman zdawał sobie sprawę, że może zostać kiedyś przyłapany. Wiedział, że odpowiednio wcześniej musi przygotować sobie odwrót. W jakiś sposób stworzył postać Linga, a jego zainteresowanie Łożą wzięło się prawdopodobnie stąd, że łączył ją jakiś istotny związek z prowadzonymi przez niego doświadczeniami.

— Moje wnioski były identyczne. — Wolf zapisał w komputerze potwierdzającą uwagę. — Postanowiłem więc przyjrzeć się bliżej publikacjom Linga. Odkryłem coś odbiegającego od opisu Parka Greena. Ling był ekspertem od spraw Łoży, ale jeśli się spojrzy na jego prace — te, które usiłował ukryć — okaże się, że tylko drobna ich część dotyczy tej planety.

Larsen przytaknął.

— To żadna niespodzianka. Wcale niełatwo odnaleźć związek między problematyką przeformowywania, a drugim przedmiotem zainteresowania Linga — Łożą.

— Zajmował się pasem asteroid. Napisał sporo prac na temat jego powstania, w tym duży cykl artykułów o pewnych konkretnych obiektach. Gdyby sporządzić katalog wszystkich jego publikacji tego typu, tylko kilka dotyczyłoby Łoży. Większość dotyczy jednej grupy asteroid. Czy słyszałeś kiedykolwiek o Gromadzie Egipskiej?

Larsen potwierdził.

— Tak. Gdybyś mnie spytał o to przed miesiącem, musiałbym odpowiedzieć „nie”, ale obecnie mogę przyswajać informacje bardzo szybko, a mam sporo czasu na siedzenie przy terminalu. Mój wolny czas — mam na myśli ten czas, gdy nie jestem poddawany waszym testom — poświęcam głównie lekturze. — Rozparł się wygodnie w krześle i przymknął lśniącej oczy. — Gromada Egipska. Chyba potrafię zacytować z pamięci dosłownie odpowiedni fragment tekstu. „Grupa około stu asteroid o orbitach różniących się od orbit innych obiektów, które tworzą Pas. Ich płaszczyzna jest nachylona pod kątem sześćdziesięciu stopni do eklipty-

ki”. Niech pomyślę, czy wiem coś jeszcze...

Larsen na chwilę otworzył oczy.

— Przepraszam, muszę przeszukać moje zbiory wewnętrzne. — Po kilku sekundach milczenia odezwał się znowu. — No dobrze, co cię interesuje? Nazwy członków Gromady, masy, orbity?...

— Raczej historia.

— Nie — wykrzywił się Larsen, na jego szarej skórze pojawiły się nowe zmarszczki. — Tego zestawu danych jeszcze nie czytałem.

— Cóż za ulga! Zaczynałem już myśleć, że wiesz absolutnie wszystko. — Wolf zerknął na ekran peceta. — Wprowadź to zatem do pamięci. Gromada została odkryta przypadkowo, w roku 2086, w czasie głębokiego przeglądu radarowego Halo — poszukiwano kerneli energetycznych. Po raz pierwszy dotarto tam podczas badań Układu Zewnętrznego. Zgodnie z jedną z prac Linga, wszystkie asteroidy należące do gromady zostały utworzone z jednej części Łoży, już po zasadniczym rozpadzie planety. Są przeważnie niewielkie — pięć lub mniej kilometrów średnicy — ale zdarzają się też raczej spore.

— Tyle to i ja wiem. Bank danych podaje nazwy najważniejszych członków Gromady. Pięciu z nich ma średnice przekraczające osiem kilometrów: Tot, Ozyrys, Bast, Set i Anubis. Na żadnym nie ma transuranowców. Musiały być utworzone z lożańskiego jądra. Jeden ośrodek górniczy znajduje się na Izis, a drugi na Horusie. Wydobywa się głównie pierwiastki ziem rzadkich. Żadna z tych asteroid nie jest zamieszkana na stałe. Wydają się okropnie nudne. Skąd to zainteresowanie nimi?

— Właśnie do tego zmierzam — powiedział Wolf. — Masz rację, dla nas te obiekty są bardzo obce. Nie chodzi nawet o odległość, rzecz w tym, że znajdują się tak daleko od ekliptyki, iż dotarcie do ich orbit wymaga znacznych ilości paliwa. Dlatego od strony komercyjnej nie wydają się zbyt atrakcyjne, choć są tam bogate złoża minerałów, zwłaszcza na Horusie. Asteroida, którą się interesuję, nie została przez ciebie wymieniona. Czy wiesz cokolwiek na temat Perły?

— Hmm... Muszę chyba zajrzeć do spisu treści i pokopać głębiej. Mam trochę informacji o niej, ale z pewnością istnieje ich więcej. Perła nosiła kiedyś imię Atmu. Pasowałoby ono do nazwy Gromada Egipska. Nie wiem, czemu zastąpiono je innym imieniem.

— Bo nie widziałeś nigdy jej fotografii. Zgadza się, po odkryciu nadano jej imię Atmu. Odpowiednia nazwa dla członka gromady: najstarszy bóg Egiptu. Jednak czterdzieści lat temu pierwsza wysłana tam ekspedycja zmieniła tę nazwę. Inne czynniki wydawały się ważniejsze od mitologii. Perła jest raczej niewielka, ma średnicę mniejszą niż dwa kilometry. Jej kształt jest zadziwiający: idealna kula z białego stopionego szkła.

— Chwileczkę, Bey! — Larsen potrząsnął ogromną głową. — Coś mi tu nie gra. Jeżeli jest zbudowana ze szkła, musiała stanowić część zewnętrznej skorupy Łoży, na tyle bliską powierzchni, że zawierała silikaty.

Wolf oderwał wzrok od komputera i pokiwał głową z uznaniem.

— Doszedłeś do tego znacznie szybciej niż ja. Ze względu na twoje własne dobro nie powinieneś być aż tak inteligentny. Moja konkluzja brzmi: mamy do czynienia z fragmentem zewnętrznej części jądra, który znajdował się na tyle głęboko, że miał wysoką temperaturę, a jednocześnie na tyle blisko powierzchni, że zawierał silikaty. To bardzo mała cząstka Łoży. Jej średnica wynosi 1,83 kilometra. Czy pamiętasz masę?

Szeroka czaszka Larsena i górna część jego torsu pochylili się w geście potwierdzenia.

— Około miliarda ton. To oznacza... — Przerwał i spojrzął na sufit swego pomieszczenia. — Ależ to niemożliwe! Chyba, że...

Wolf potakująco kiwał głową.

— Dalej, John, dokończ te obliczenia. Zmierzasz we właściwym kierunku.

Górna część ciała Larsena zafalowała, co oznaczało wzruszenie ramion.

— Przy takiej średnicy, gęstość musi być mniejsza niż trzydzieści do pięćdziesięciu kilogramów na metr sześcienny. Gęstość stopionego szkła silikatowego wynosi co najmniej dwie tony na metr sześcienny. A więc... o n a m u s i b y ć w ś r o d k u p u s t a!

— Właśnie — przytaknął Bey. — Przypomina skorupkę od jajka. Źródła podają, że jej wewnętrzna średnica wynosi około 1,7 kilometra. Perła jest wielką, delikatną bańką szklaną, którą wydmuchały uwięzione w jej wnętrzu gazy, gdy Loża eksplodowała. Obecnie znajduje się pod całkowitą ochroną, FPZ uznał ją za jeden z naturalnych cudów układu. Lądowanie na niej jest zabronione. Ten zakaz był chyba jednak łamany.

Wolf przerwał. W dotychczasowych odpowiedziach Larsena wyczuł jakiś brak konsekwencji, ale nie potrafiłby precyzyjnie określić, w czym się on przejawiał. Po kilku chwilach podjął wątek. Larsen nadal siedział nieruchomo, nie spuszczać z rozmówcy błyszczących oczu.

— Podam ci jeszcze jeden fakt, John, a ty mi powiesz, co o tym wszystkim sądzisz. Dziewięć lat temu Karl Ling napisał dwanaście różnych prac na temat struktury, powstania i stabilności Perły. Wszelkie odnośniki do tych publikacji zostały usunięte. Informacje o nich uzyskałem w sposób pośredni. Czy ci to czegoś nie przypomina? Mieliśmy do czynienia z identyczną sytuacją, kiedy usiłowaliśmy poznać zbiory danych Capmana w Szpitalu Centralnym.

Larsen ze spokojem pokiwał głową.

— Widzę, do czego zmierzasz. Podejrzewasz, że Perła zawiera jakąś tajemnicę, która pomoże ci odnaleźć Capmana. To całkiem możliwe, ale dostrzegam jeden problem. Powiadasz, że Capman stworzył Linga w tym samym czasie, kiedy pełnił funkcję dyrektora Szpitala Centralnego. W jaki sposób mógł to zrobić?

Wolf wstał i zaczął przemierzać to w jedną, to w drugą stronę przestrzeń obok wielkiej szyby. Był wyraźnie spięty i podenerwowany.

— To też sprawdziłem. We wczesnych publikacjach Linga podawany jest jego ziemski adres. Z innych materiałów wynika, że jeszcze sześć lat temu mieszkał na Ziemi, po czym przeniósł się na Księżyc. Tę wiadomość zawierają FPZ-etowskie bazy danych, w ziemskich natomiast nie ma w ogóle żadnej informacji na jego temat. Podejrzewam, że jego chromozomy kod identyfikacyjny, który znajduje się w FPZ, został sfalszowany. Już kończę, jeszcze tylko jedno. Dane ze Szpitala Centralnego dowodzą, że w okresie ostatnich dwóch lat przed swą ucieczką Capman bardzo intensywnie podróżował — myślę oczywiście o podróżach kosmicznych — zawsze rzekomo w celach służbowych, ale nie ulega wątpliwości, że będąc dyrektorem szpitala nie miał żadnych trudności z wynajdywaniem odpowiednich pretekstów.

Larsen powoli kiwał głową i tułowiem, jego oczy pozostawały nieruchome.

— A zatem jaka konkluzja, Bey? Co zamierzasz teraz zrobić?

Wolf przerwał swoją wędrówkę wzdłuż przezroczystej szklanej ściany. Jego postawa wyrażała pełne zdecydowanie.

— Najpierw polecę na Księżyc. Muszę poznać więcej faktów dotyczących Perły i odnaleźć powód, dla którego Capman się nią interesował. Wyjeżdżam jutro. Przykro mi, że zostawiam cię tutaj, ale jesteś przecież w dobrych rękach. Maria zrobi wszystko, co będzie potrzebne, jeśli zechcesz rozpocząć zmianę powrotną.

— Jasne, to żaden problem. Ale zanim odejdziesz, muszę ci coś powiedzieć. — Larsen utkwiał w Wolfie przenikliwe spojrzenie. — Powinieneś postawić sobie jeszcze jedno pytanie. Dlaczego z taką pasją ugania się za Robertem Capmanem? Nawet jeśli uważasz, że on rzeczywiście jest potworem, dlaczego ta sprawa jest dla ciebie aż tak ważna?...

Wolf, który już zmierzał w kierunku wyjścia, zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się i przez szklaną taflę spojrzał na Larsena.

— *Tokhmir!* Dobrze wiesz dlaczego, John. Capman pracował w szpitalu nad kilkoma innymi projektami. Nam udało się dotrzeć do dwóch: Proteusza i Regulatora Czasu. A co z

pozostałymi? Chciałbym poznać projekty Janus i Ryba Płucodyszna. Nadal są dla nas zupełną tajemnicą. To jest właśnie przyczyną mojej fascynacji Capmanem.

Ton jego wypowiedzi był defensywny, a jednocześnie zdradzał silne napięcie emocjonalne. Larsen przyglądał mu się łagodnym wzrokiem przez długą chwilę.

— Uspokój się, Bey! Rzeczywiście mamy do czynienia z tajemnicami. Ale czy to stanowi rzeczywiście wystarczający powód? Myślę, że nie. W Biurze Kontroli Form bywały także nie wyjaśnione sprawy. Po jakimś czasie odkładałeś je na bok, prawda? Pamiętasz, jak przerwano śledztwo dotyczące przeformowań w Antarktyce? Zabrano nam tę sprawę i byliśmy wściekli, ale po miesiącu czy dwóch jakoś się z tym pogodziłeś. Sprawa Capmana natomiast nie daje ci spokoju od ponad czterech lat i wciąż go ścigasz z uporem maniaka. Przemysł to, Bey. Czy musisz kontynuować to polowanie?

Wyraz oczu Wolfa zmienił się nagle. Przez chwilę milczał, pogrążony w zadumie, pocierając bezwiednie palcami szew swej luźnej marynarki.

— Trudno to wytłumaczyć, John. Czy pamiętasz, jak pierwszy raz spotkaliśmy Capmana w Szpitalu Centralnym? Już wtedy miałem przeczucie, że stanie się on ważną postacią w moim życiu. Nadal tak sędzę. — Przerwał i wzruszył ramionami. — Sam nie wiem. Nie wierzę w paralogikę i widzę, że to, co mówię, nie jest zbyt przekonujące. Mimo to muszę tak postępować. Powiadomię Parka Greena, że wybieram się do niego na parę dni.

Wybiegł z sali. Teraz z kolei John Larsen pogrążył się w zadumie. Niezdarny dziwny osobnik przez kilka minut siedział w milczeniu, a potem przeszedł do pomieszczenia wewnętrznego. Usiadł przy ekranie komunikatora i włączył obwody szybkiego przekazu danych. Zabłyśło czerwone światełko oznaczające gotowość sensorów. Larsen zaczął wystukiwać adres. Cursor mrugał do momentu, gdy połączenie zostało zrealizowane. Larsen popatrzył na twarz, która pojawiła się na ekranie.

— Mod przyspieszony — powiedział cicho.

Tamten skinął głową i włączył przycisk po swej lewej stronie. Larsen zamknął oczy i wyciągnął się w krzesło. Gładki szary owal na jego szerokiej piersi zmienił kolor na bladoróżowy, po czym momentalnie stał się oślepiającym kalejdoskopem coraz to nowych barw. Tworzyła go ogromna ilość pojedynczych punktów zmieniających kolor tak szybko, że ludzkie oko nie mogłoby prawie za nimi nadążyć. Larsen siedział teraz sztywno wyprostowany; po kilkunastu sekundach zaczął oddychać — bardzo powoli, jakby ta czynność sprawiała mu jakiś ból. Ekran na jego piersi nadal mienił się barwami, przypominało to tęczę iskrzącą się niczym zorza polarna. Wielkie ciało zastygło w bezruchu, dręczone niezwykłym napięciem, a na ekranie pojawiały się wciąż nowe obrazy.

W odległym o osiem tysięcy mil światowym centrum komunikacyjnym na południowym Pacyfiku wszystkie monitory rozblęły na czerwono. Oznaczało to niespodziewane przeciążenie linii planetarnych. Automatycznie włączyły się kanały zapasowe. Na tysiącach terminali należących do światowej sieci pojawiła się wiadomość o nagłym nadmiarze informacji. Przeciążenie skończyło się równie raptownie, jak się zaczęło. Larsen opadł na krzesło, zbyt zmęczony by przerwać połączenie z odległym rozmówcą.

## ROZDZIAŁ 18

Podróż do Tycho City miała być zwyczajną przejażdżką. Wolf poleciał powietrznym autem do najbliższego wlotu Łącznika, przesiadł się dwukrotnie, aby dostać się do Australii, i naziemnym samochodem dojechał do portu kosmicznego. Poddano go tam bardzo rygorystycznej kontroli (nic dziwnego, że personel Kopuły Rozkoszy zrezygnował z pomysłu usunięcia ciał załogi „Jasona” poza Ziemię — pomyślał), po czym prom zabrał go na równikową orbitę

parkingową. Odlot na Księżyc miał nastąpić za trzy godziny.

Jadąc do portu kosmicznego, a potem lecąc na orbitę, parkingową Wolf zastanawiał się nad ostatnim pytaniem Larsena, myślał też o niektórych szczegółach technicznych swojej podróży. Kiedy oczekiwał już na odlot na Księżyc, podano mu wiadomość, że chce z nim rozmawiać ktoś z Ziemi. Długim korytarzem udał się do głównego centrum komunikacyjnego.

Uzyskanie połączenia video zajęło zaledwie chwilę. Na małym ekranie pojawił się obraz Marii Sun. Była wyraźnie rozgniewana, jej oczy spoglądały podejrzliwie.

— No dobra, Bey — zaczęła. — Nikt ci nie każe być miłym dla ludzi z KUB. Wiem o tym. Ale pozwól sobie przypomnieć, że gdybym ci nie pomogła, mógłbyś mieć kłopoty z uratowaniem Johna Larsena. No więc — co ty z nim zrobiłeś? Urzędnicy FPZ w australijskim porcie kosmicznym twierdzą, że go z tobą nie ma. W żadnym z wykazów nie wymieniono też dodatkowych osób ani sprzętu.

Upłynęło kilka sekund, zanim Wolf zrozumiał, o co jej chodzi.

— Nie mam z tym nic wspólnego — powiedział. — Od ciebie dopiero się dowiaduję, że zniknął. Powinien być nadal w swym pomieszczeniu w Kontroli Form. Nigdzie indziej nie ma aparatury umożliwiającej mu życie. Czy sprawdziłaś...

Zdecydowany ruch jej głowy wystarczył za odpowiedź.

— Szukaliśmy wszędzie w Biurze Kontroli Form. Jestem całkowicie pewna, że go tam nie ma. Bey, system, który Ling i ja stworzyliśmy dla Johna, jest naprawdę bardzo skomplikowany. Jeśli znajdzie się poza odpowiednim środowiskiem, umrze w przeciągu paru godzin. Dajesz słowo, że wy dwaj tego nie zorganizowaliście?

— Mario, jestem zaskoczony tak samo jak ty. Cholera, widziałem Johna jeszcze wczoraj, rozmawialiśmy o mojej podróży do Tycho City. Nie zdradził się nawet słowem, że zamierza zmienić miejsce pobytu. Zgadzam się oczywiście z tobą: on musi przebywać w zamknięciu. Bez odpowiedniej atmosfery nie przeżyłby nawet minuty!

Maria przygryzła wargę i potrząsnęła głową z zakłopotaniem.

— Wierzę ci, skoro tak mówisz. Ale w takim razie, co się mogło stać?

Bey nie patrzył już na ekran. Poczul nagłe mrowienie w karku. Pewne elementy sytuacji, pewne wypowiedzi Larsena zaczęły się nagle łączyć, sumować w jego podświadomości. Dziwne wyposażenie pomieszczenia Johna, zainstalowany na polecenie Linga skomplikowany ośrodek łączności, przeznaczony oficjalnie do celów szkoleniowych, sposób, w jaki Larsen prowadził rozmowę — wszystko nabrało jakichś nowych znaczeń. Bey musiał to sobie przemyśleć, spokojnie i dokładnie.

— Mario — powiedział. — Jeszcze raz ci powtarzam, że o niczym nie wiedziałem. Teraz jednak nasunęły mi się pewne podejrzenia. Odezwę się do ciebie później. Wiem, że John nie może żyć bez specjalnej aparatury, ale tym chyba nie powinniśmy się martwić. Potrzebuję kilku godzin, żeby móc przeanalizować to wszystko, a potem skontaktuję się z tobą.

Nie czekając na jej odpowiedź odsunął się od konsoli i powoli poczłapał korytarzem z powrotem do strefy tranzytowej. Usadowił się w rogu, rozparł wygodnie i pozwolił swym myślom krążyć swobodnie wokół wydarzeń paru ostatnich tygodni. Okazało się to skutecznym sposobem wyszukiwania wszelkich anomalii.

Było ich sporo. To dziwne, że nie dostrzegał ich wcześniej. Z przykrością stwierdził, że dał się łatwo wyprowadzić w pole komuś, kogo darzył bezgranicznym zaufaniem. Na przyszłość powinien pamiętać, że miał teraz do czynienia z nowym Larsenem, którego umysł pracował szybciej, jaśniej i w sposób bardziej subtelny niż do tej pory. Na przykład ten układ szkoleniowy zainstalowany przez Linga. Istotnie, Larsenowi potrzebny był dostęp do informacji z banków danych z całej Ziemi. Ale otrzymał także aparaturę pozwalającą na uzyskiwanie połączeń pozaziemskich, z pełną dwukierunkową linią, otrzymał obwód o ogromnej przepustowości. Do czego miało to mu być potrzebne?

Rozważania przerwało Wolfowi niespodziewane poruszenie. Ze zdumieniem podniósł

wzrok w górę. Przez szybę patrzył do środka jeden z członków załogi. Przymocowawszy się do kadłuba statku magnetycznymi przyssawkami, które znajdowały się przy jego kostkach i przegubach, sprawdzał fragment anteny. Wolf nie potrafił opanować ciekawości. Po raz pierwszy oglądał formę C pracującą w przestrzeni kosmicznej.

Skóra tego osobnika była gruba i utwardzona, a jego oczy pokrywała przezroczysta warstwa substancji ochronnej. Nie miał żadnego skafandra ani zbiornika powietrza. Poddane transformacji płuca, dla których wzór stanowiły organy głęboko nurkujących wielorybów, mogły pomieścić ilość sprężonego tlenu umożliwiającą wielogodzinną pracę na zewnątrz. Łuskowata skóra uniemożliwiała ucieczkę płynów z organizmu do otaczającej próżni, a surogat melaniny znajdujący się w naskórku chronił skutecznie ciało przed promieniowaniem ultrafioletowym.

Wolf podziwiał łatwość, z jaką mechanik przemieszczał się wzdłuż kadłuba statku, wyglądało na to, że czuje się zupełnie jak u siebie w domu. Westchnął i powrócił myślami do spraw związanych ze zniknięciem Larsena. Był zdumiony i przerażony własną głupotą. Pozwolił Larsenowi sterować sobą i to za jego sprawą zdobył więcej informacji na temat Linga i Perły. A więc Capman chciał, by on uświadomił sobie te powiązania, by zainteresował się Gromadą Egipską... Nie ulegało wątpliwości, że Larsen i Capman byli w ciągłym kontakcie od chwili zniknięcia Linga-Capmana kilka tygodni temu. John powoli i niepostrzeżenie narzucał myślom Beya określony kierunek, aż do momentu, gdy ten zdecydował się na podróż na Księżyc. Kiedy to osiągnął, natychmiast zniknął. Musiał oczywiście skorzystać z czyjejś pomocy — było jasne czyjej. Capman, rozporządzający zasobami finansowymi, których wielkość trudno byłoby nawet w przybliżeniu określić, zabrał Larsena z pomieszczeń Kontroli Form i umieścił go... gdzie...?

Bey postawił sobie to pytanie i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Mimo, że do startu pozostało tylko dziesięć minut, popędził do centrum komunikacyjnego i zamówił błyskawiczne połączenie z Tycho City. Park Green pojawił się na ekranie w tym samym momencie, gdy zabrzmiał pierwszy dzwonek wzywający pasażerów do zajęcia miejsc.

— Park, zaraz odlatuję i nie mam czasu na długą rozmowę. — Tym razem to Wolf pozwolił sobie na pominięcie grzecznościowych formułek. — Sprawdź, czy jest wolny jakiś statek ze zbiornikiem dostatecznie dużym, by można było polecieć poza ekliptykę, do Gromady Egipskiej. Jeśli tak, wyczarteruj go. Podaj moje nazwisko, a jako gwaranta ziemskie Biuro Kontroli Form. Nie podawaj celu podróży. Zobaczymy się za dwadzieścia cztery godziny. Wtedy ci wszystko wyjaśnię.

Konduktor z twarzą pokrytą czerwonymi żyłkami machał na niego natarczywie. Wolf przerwał połączenie, wsunął się pospiesznie na swoje miejsce i zapiął pasy.

— W samą porę — burknął do niego konduktor.

Wolf skinął głową.

— Pilna rozmowa — powiedział. — Wie pan, przed chwilą widziałem formę C pracującą na zewnątrz statku. Myślałem, że w FPZ są one nadal zakazane.

Twarz konduktora przybrała bardziej przyjazny wyraz. Uśmiechnął się nawet.

— Są zakazane. Traktujemy to jako taką dość niewinną grę. Formy C nie są obywatelami FPZ. To tylko część programu wymiany studentów: na Ziemię przyjeżdża niewielka liczba specjalistów od kerneli energetycznych, a do FPZ — niewielka liczba form C.

— Co pan o nich sądzi?

— Najlepsza rzecz, jaka się pojawiła w Kosmosie od czasów tanich komór próżniowych. Tylko związki zawodowe są przeciwko nim, boją się zmian na rynku pracy. — Zerknął na ekranik na swym przegubie. — Proszę się trzymać, będziemy odrzucać cumy.

Kiedy statek zaczął oddalać się powoli po spiralnym torze od orbity parkingowej, Wolf włączył umieszczony nad kanapą wielki ekran. Przez najbliższą godzinę, w trakcie wielkiego ciągu, obowiązywał częściowy zakaz poruszania się po kabinach. Bey nastawił kanał z wia-

domościami.

W jakiś sposób media dowiedziały się, że John Larsen zaginął. Nie był to ważny temat, informację o tym wydarzeniu umieszczono na samym końcu zestawu wiadomości. Opinia publiczna interesowała się bardziej ostatnimi komunikatami dotyczącymi wskaźników społecznych. Nadal podlegały wahaniom, amplituda rosła. Mimo wiązki z wypożyczonego kernela energetycznego, przekazującej moc do Quito, braki energii w Ameryce Południowej były nadal ogromne. W północnej Europie wzrastała liczba przypadków śmierci głodowej. Bey doszedł do wniosku, że w porównaniu z postępującym kryzysem, jakiemu musieli stawić czoło Koordynatorzy Generalni, jego problemy były praktycznie pozbawione znaczenia. Nie potrafił jednak przestać myśleć o sprawie Larsena. Ani o Capmanie... ten człowiek fascynował go wciąż, i to w stopniu nie mniejszym niż cztery lata temu.

Z miejsca, w którym leżał, Wolf widział kabinę sterowniczą. Większość operacji mógł wykonywać komputer, jednak w początkowej fazie lotu pilot wolał stosować mod manualny. To również była forma C, co stanowiło kolejny dowód, że świat zmieniał się szybciej, niż życzyły tego sobie związki zawodowe. Pilot, którego dłonie i chwytne stopy wyposażone były w ogromną liczbę delikatnych palców, manipulował jednocześnie sześćdziesięcioma przyciskami. Bey patrzył na to jak urzeczony, zaś jego myśli wciąż krążyły wokół tych samych tematów.

Po pierwszym, niespodziewanym trzęsieniu Księżyca pomieszczenia mieszkalne Tycho City usytuowano głęboko pod powierzchnią Srebrnego Globu. Bey, w próżniowym kombinezonie, zjeżdżał w szybkobieżnej windzie Szczeliną Horstmanna do głównej części miasta, znajdującej się na głębokości około trzech kilometrów. Wsiadł na jednym z przystanków w połowie drogi i podszedł do brzegu przepaści. Zabezpieczone środkami chemicznymi przed rozkładem, wciąż jeszcze zamknięte w skafandrze kosmicznym, ciało Horstmanna wisiało na hakach wbitych w ścianę szczeliny. Wolf spojrzął na licznik Geigera umieszczony obok zwłok. Szybki terkot docierał wyraźnie poprzez powierzchnię skały. Czas połowicznego rozpadu nuklidów nie przekraczał dziesięciu lat, ale przez całe następne stulecie zwłoki Horstmanna będą nadal zbyt silnie napromieniowane, aby można je było stąd ruszyć. Spadek radioaktywności dałoby się przyspieszyć, gdyby wywołano stymulowane procesy jądrowe, jak to czyniono z odpadami reaktorów, ale nie zgadzały się na to władze Księżyca. Bey po raz kolejny przeczytał pamiątkową metalową tabliczkę, po czym zaczął się znowu opuszczać w dół szczeliny.

Park Green potrafił — jak się okazało — wpływać odpowiednio na celników i urzędników imigracyjnych. Formalności przebiegły szybko i gładko. Opuszczającego trzeci i ostatni punkt kontrolny Wolfa powitała uśmiechnięta twarz Greena — jego głowa wystawała o dobrą stopę ponad głowy innych obywateli FPZ wyczekujących swoich krewnych, przyjaciół lub gości.

— Bey, nie masz pojęcia, jakich mi narobiłeś kłopotów — zaczął mówić, ściskając dłoń Wolfa. — Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś aż tak szeroko znaną osobą. Od momentu gdy do ludzi zajmujących się metodami regeneracyjnymi dotarła wiadomość, że przyjeżdżasz do Tycho City, nie miałem chwili spokoju. Wszyscy chcą wiedzieć, jak długo zostaniesz, co tu będziesz robił, i tak dalej, i tak dalej. Bardzo trudno ich spławić. Pragną się z tobą spotkać i porozmawiać o badaniach nad formami przejściowymi, które rozpoczęłeś kilka lat temu.

Wolf był szczerze zaskoczony.

— Wiedzą tu o tych badaniach? Nie uważam ich za szczególnie odkrywcze. Rozwinąłem jedynie parę wskazówek zawartych w pracach Capmana. To wszystko.

— Ci ludzie myślą zupełnie inaczej. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, to te wskazówki musiały być dobrze ukryte. Czy zechciałbyś poświęcić im chwilkę? Oni wszyscy...

— Słuchaj, Park, w innych okolicznościach zrobiłbym to z największą przyjemnością

— przerwał Bey — ale teraz naprawdę nie mam czasu. Czy załatwiłeś statek?

— Chyba tak. Za kilka godzin będę wiedział na pewno. Z tym też był problem. W formularzach trzeba określić cel podróży. Inaczej nie dostanie się zezwolenia na żadną wyprawę trwającą dłużej niż kilkaset godzin. Sprawdziłem też twoją licencję. Przynajmniej to jest w porządku.

— Jaki cel podróży podałeś? Mam nadzieję, że nic konkretnego?

— Nie powinno być kłopotów. Zgłosiłem Wielką Wyprawę, prowadzącą przez Układy: Wewnętrzny, Pośredni i Zewnętrzny, aż do samego Halo. Po uzyskaniu akceptacji dostaniemy tyle paliwa, że będziemy mogli dolecieć do każdego miejsca w Układzie Słonecznym. Ale musisz wiedzieć, że koszty idą na twoje konto. Mnie na takie cele kredyt nie przysługuje.

— Ile?...

Liczba, którą wymienił Green, wywołała grymas na twarzy Wolfa.

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze — mruknął — cała kwota zostanie mi zwrócona. W przeciwnym wypadku do końca życia pozostanę niewolnikiem FPZ. Cóż, będę się tym martwił później.

Rozmawiając szli długim korytarzem, prowadzącym do wejścia na teren głównej dzielnicy miasta. Green ślizgał się szybkimi, ekonomicznymi susami; technikę tę każdy obywatel FPZ opanowywał już we wczesnym dzieciństwie. Wolf próbował go naśladować, ale raczej bez powodzenia.

Podłoga z przetopionej skały uciekała mu spod stóp. Miał dziwne wrażenie, że księżycowa grawitacja zmniejszyła się od czasu jego ostatniej wizyty w Tycho City przed wieloma laty.

— Nie — odparł Green w odpowiedzi na jego pytanie. — W zakresie badań z dziedziny fizyki wyprzedzamy cały Układ, ale nadal nie udaje się nam stworzyć odpowiednio wydajnego generatora. Z grawitacją jeszcze nie wygraliśmy. Dawno temu McAndrew wynalazł metodę, w której do modyfikacji lokalnego pola grawitacyjnego używa się ekranowanych kerneli. Nikomu nie udało się wymyślić nic lepszego. Nie stosujemy nawet tego sposobu na powierzchni planetarnej, ryzyko jest zbyt duże. To, co czujesz, to zmiana ilości tlenu w powietrzu. Przed trzema laty zwiększono ją o ułamek procenta. Za kilka dni przyzwyczaisz się do tego.

— Kilka dni! Park, ja nie zamierzam zostać tutaj tak długo! Za kilka dni będę już daleko stąd, w drodze do Gromady Egipskiej. Kiedy statek może odlecieć? Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj.

Green przystanął i popatrzył z ironią na Wolfa.

— Bey, to są sensowne marzenia. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, ile rzeczy trzeba jeszcze załatwić. Po pierwsze, nie ma mowy, żeby statek był gotów przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin. Do diabła, trzeba zgromadzić ekwipunek niezbędny dla nas obu — to jest przecież dwuletnia podróż. Tyle czasu zabiera Wielka Wyprawa. Co prawda, w rzeczywistości nie lecimy tak daleko, ale wyposażenie musi odpowiadać oficjalnej trasie. Po drugie...

— Co to znaczy — ekwipunek dla nas obu? Park, ja nie zamierzam ciągnąć cię na tę wycieczkę. To ryzykowna gra, daleko od szlaków zwykłych statków. A poza tym może okazać się kompletną stratą czasu. Lecę sam.

Green wysłuchiwał tego spokojnie, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad Wolfem, po czym potrząsnął głową.

— Bey, jesteś znakomitym ekspertem od przeformowywania, ja pierwszy ci to przyznam. Ale jeśli chodzi o operacje kosmiczne, masz doświadczenie niemowlęcia. Nie przerywaj — doskonale wiem, że uzyskałeś licencję. Ale to dopiero początek. Oznacza to tylko tyle, że przeszedłeś szkolenie w Kosmosie, a nie, że masz prawo włączyć się samotnie po całym Układzie. Mówię ci, bez względu na to, jak wielkie masz zaufanie do swoich umiejętności, właściciele statku wyrażą stanowczy sprzeciw. W żadnym wypadku nie pozwolą ci nawet



oblecieć Księżyca, a co dopiero mówić o Wielkiej Wyprawie. Nie będziesz nawet mógł się zbliżyć do statku, chyba że polecę z tobą. Albo to będę ja, albo narzucą ci innego pilota z FPZ — kogoś, kogo nawet nie znasz.

W głosie Greena Wolf wyczuł spokojną pewność siebie. Było oczywiste, że olbrzym miał całkowitą rację. Zrezygnowany Bey pogodził się z koniecznością.

— Nie o tym myślałem, Park. Kiedy prosiłem o pomoc w poszukiwaniu danych Linga, nie miałem zamiaru wciągać cię w to wszystko.

Green uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową.

— Bey, ty chyba nadal mnie nie rozumiesz. Nie lecę z tobą dlatego, że jestem męczennikiem o miękkim sercu. Lecę, bo sam tego chcę. Cholera, czy nie dotarło do ciebie, że od momentu kiedy wróciłem do Tycho City, pragnę za wszelką cenę zrozumieć, co przydarzyło się Johnowi na Ziemi? Można przecież powiedzieć, że jego przemiana w formę lożańską to w pewnej mierze moja wina. Gdybym był mądrzejszy i wiedział, co się święci, kto wie, czy nie udałoby mi się przekonać go, żeby nie wstrzykiwał sobie lożańskiego DNA. Przestań wreszcie myśleć, że lecę ze względu na ciebie!

Wolf popatrzył przez chwilę na szczerą twarz Greena.

— Przepraszam, Park — powiedział cicho. — Moje własne problemy zupełnie przesłoniły mi problemy innych. Masz prawo lecieć ze mną. Mimo wszystko chciałbym bardzo skrócić czas do odlotu. Siedemdziesiąt dwie godziny to naprawdę za wiele. Nie planowałem siedzieć tak długo w Tycho City.

Green znowu się uśmiechnął.

— Tyle czasu będziesz potrzebował na przygotowania. Poza tym jesteś mi winien kilka wyjaśnień. Wiadomość, którą przysłałeś ze statku, pobiła wszelkie rekordy enigmatyczności. Szykujemy się do lotu poza Układ, a ja wciąż jeszcze nic wiem, czemu wybieramy się tak daleko. Słyszałem o zniknięciu Johna i domyślam się, że ma to jakiś związek z naszą wyprawą.

— Park, nie lecimy poza Układ, a tylko do Gromady Egipskiej.

— Dla obywatela FPZ to jedno i to samo. Formalnie masz oczywiście rację. Układ rozciąga się aż do apheliów komet długookresowych. Ale dla każdego mieszkańca FPZ lot do płaszczyzny orbitalnej tak bardzo odległej od płaszczyzny ekliptyki to nic innego jak wyprawa poza Układ. Potrzebna jest równie duża delta  $v$  i jest tam równie mało interesujących rzeczy. Nie robimy tego zbyt często. Czy wiesz, że nigdy nawet nie spotkałem kogoś, kto byłby kiedykolwiek na jakiejś asteroidzie z Gromady Egipskiej? Po naszej ostatniej rozmowie sprawdziłem fakty dotyczące tej Gromady i nie mam pojęcia, po co chcesz tam lecieć.

Zbliżali się do wielkiej półkolistej sali stanowiącej początek centralnej dzielnicy miasta. Rozchodziły się stąd ruchome chodniki prowadzące do oddzielnych ośrodków produkcji, konserwacji, użyteczności publicznej i pomieszczeń mieszkalnych. Na produkcję rolną przeznaczono tereny na powierzchni, 3500 metrów nad ich głowami, tam też znajdowały się zakłady energetyczne.

— Zapoznam cię z całą sprawą, gdy tylko się tutaj zainstaluję — powiedział Bey. — Nie zajmie mi to więcej niż parę godzin. Nie wiem, jak ty zamierzasz spędzać czas przed odlotem, ale ja chciałbym jeszcze zajrzeć do banków danych. Mogą w nich być fakty dotyczące działalności Capmana-Linga, które poprzednio przeoczyłem.

— Zdasz się to zrobić. I wystarczy ci czasu na parę innych rzeczy. — Green wskazał na grupkę mężczyzn i kobiet stojących pod ścianą. — Oto i twój fanklub. Przykro mi, Bey, ale nie mogłem temu zapobiec. To są specjaliści od metod regeneracyjnych z Tycho City. Chcieliby później zorganizować przyjęcie na twoją cześć. Próbowałem różnych argumentów, ale nic nie było w stanie odwieść ich od tego zamiaru. Widzisz, jaka jest cena sławy. Jesteś zbyt zmęczony, czy potrafisz być dla nich miły...?

## ROZDZIAŁ 19

*Suplement objaśniający do efemeryd*, wydanie z roku 2190, podaje, że średnia inklinacja orbitalna asteroid Gromady Egipskiej w stosunku do płaszczyzny ekliptyki wynosi pięćdziesiąt osiem stopni i czterdzieści siedem minut. Dane fizyczne gromady umieszczono na samym końcu rozdziału informacyjnego, co wiernie odzwierciedla jej znaczenie w układzie planetarnym. Peryhelia wszystkich członków położone są w odległości około trzystu milionów kilometrów od Słońca, co wyraźnie wskazuje na ich wspólne pochodzenie, mimo że gromada dawno zdążyła się rozproszyć. Niemal idealnie kolista orbita Perły przecina ekliptykę w pobliżu punktu Barana. Niestety, kiedy Wolfowi i Greenowi udało się wreszcie wystartować, asteroida znajdowała się daleko na południe od niego.

— Prawie sto trzydzieści milionów kilometrów — gderał Green zgarbiony nad ekranem. — Żeby tam dotrzeć, trzeba zużyć więcej paliwa, niż wymaga tego podróż do Neptuna. Mam nadzieję, że twoje domysły są słuszne.

Wolf, korzystając z przyspieszenia równego połowie ziemskiego, krążył bez przerwy po całym statku i sprawdzał dokładnie jego wyposażenie.

— Mówiłeś, Park, że gdyby Perła przecinała właśnie ekliptykę, potrzebowalibyśmy tyle samo paliwa. Zaoszczędzilibyśmy tylko trochę czasu. Ale jeśli w ogóle nie mam racji, obaj stracimy kilka tygodni.

Zatrzymał się przy komorze osłoniętej ekranem antyradiacyjnym i zaczął się jej uważnie przyglądać.

— Szkoda, że nie ma w środku zbiornika do przeformowywania — mówił dalej. — Nasz statek jest na tyle duży, że gdyby udało się znaleźć odpowiednią komorę, można by załadować do niego całą aparaturę.

Green na chwilę oderwał wzrok od ekranów.

— Pamiętaj, Bey, że formy C są tutaj nadal niedozwolone.

— Tak, wiem. Myślałem tylko, że moglibyśmy teraz skorzystać z jednej z nich i kilkakrotnie spowolnić nasz metabolizm. Świetnie nadawałaby się forma Regulator Czasu. Jak wygląda nasze zaopatrzenie w paliwo? Czy są z tym jakieś problemy?

— Żadnych. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy polecieć dwa razy dalej. Powiedziałem zaopatrzeniowcom, że być może w trakcie podróży zechcemy wykonać pewne nietypowe manewry pozaekliptyczne. Zatankowano nam maksymalną dopuszczalną ilość.

Green zakończył sprawdzanie trajektorii lotu i wyprostował się. Popatrzył na Wolfa, który wciąż jeszcze przyglądał się zamkniętej komorze.

— Odwróć się, Bey. Wiesz na pewno, że FPZ jest superostrożny, jeśli chodzi o doświadczenia z formami C. Nic powinieneś się temu dziwić. Tutaj ludzie to cenny materiał. Nie mamy paru miliardów w nadmiarze, tak jak wy tam na Ziemi. Zwariowane eksperymenty zostawiamy wam. Upłynie kilka lat, zanim będziemy gotowi na przyjęcie formy stworzonej przez Capmana w projekcie Regulator Czasu. Na razie stosujemy swoje własne metody. Czy obejrzałeś już pomieszczenia sypialne?

— Bardzo pobieżnie. Można wytrzymać. Miałem chęć zaraz tam pójść i przyjrzeć się paru elementom wyposażenia, których przeznaczenia nie rozumiem. Ta część statku jest bardzo zagracona. Dlaczego nie zrobiono jednego tylko pomieszczenia, co pozwoliłoby zaoszczędzić sporo przestrzeni?

— No właśnie. — Green wyłączył ekran i obrócił się na krześle. Przy monitorze traje-

ktorii ilość miejsca przeznaczona na nogi była odpowiednia dla osoby o dwie stopy niższej. Park z ulgą wyciągnął swe długie kończyny prosto przed siebie.

— Widzisz — mówił dalej — na Ziemi byliście zmuszeni opracować metody, które umożliwiają ludziom życie praktycznie jeden na drugim, milionom na obszarze, gdzie w warunkach naturalnych mogłyby żyć zaledwie tysiące. W FPZ istnieje odwrotny problem. Mamy masę przestrzeni, a niewielu ludzi. Często spotykamy się jednak z sytuacją, kiedy niewielka liczba osób jest w bliskim kontakcie ze sobą przez długi czas: na statku, w kolonii górniczej albo w trakcie zasiedlania Układu Zewnętrznego. Jest wtedy gorzej nawet niż na Ziemi, bo nie ma żadnych możliwości, by zmienić sobie towarzystwo. Trzeba przeżyć miesiące lub lata nie mordując się nawzajem.

Green obrócił się na krześle tak, że jego twarz znalazła się na wprost twarzy Wolfa, i spojrział na niego wzrokiem, w którym było coś szczególnego.

— Bey, proszę, odpowiedz mi szczerze. Co ty naprawdę o mnie myślisz?

Zaskoczony nagłą zmianą tematu Bey przystanął w pół kroku. Przez chwilę przyglądał się w zadumie Greenowi, po czym odpowiedział:

— Domyślam się, Park, o co ci chodzi. No dobrze, zabawmy się. Szczerza odpowiedź, tak...? Jesteś dobronuduszy. Łagodny z natury. Trochę za bardzo się przejmujesz pewnymi rzeczami. Nie jesteś głupi, prawdę mówiąc jesteś całkiem sprytny — ale... nieco leniwy. Szybko się nudzisz, no i nienawidzisz rzeczy, które jak na twój gust są zbyt teoretyczne i abstrakcyjne. To na pewno nie jest miła pogawędka na początek długiej wspólnej podróży, ale sam tego chciałeś!

— Fakt! — mruknął Green — Prawdę mówiąc czuję się teraz trochę głupio: twoja ocena jest aż za bardzo prawdziwa. A teraz pozwól powiedzieć sobie, jaki ty jesteś. Inteligentny jak sam szatan, ale trochę zimny. Czasem to widać w twoim stosunku do ludzi. Ty chyba w gruncie rzeczy od ludzi wolisz idee. Kochasz naprawdę zagadki. Jesteś też uparty. Kiedy już coś zaczniesz, nie ma sposobu, by cię od tego odwieść. Masz obsesje, ale nie te typowo ludzkie. Zaryzykuję. Podejrzewam, że nigdy nie łączył cię trwały związek z kobietą lub mężczyzną.

Bey skrzywił się po paru szczególnie trafnych uwagach, ale gdy Green skończył już tę charakterystykę, uśmiechnął się.

— Park, nie zdawałem sobie sprawy, że znasz mnie aż tak dobrze — pod pewnymi względami może nawet lepiej niż ja sam. O co w tej zabawie chodzi? Zakładam, że nie proponujesz, abyśmy przez następne kilka tygodni wymieniali spostrzeżenia dotyczące naszych charakterów. Jeśli tak, to muszę przyznać, że stosowane przez twoją FPZ metody zabijania czasu w podróży niezbyt mi odpowiadają.

Green ostrożnie wstał z miejsca, z irytacją spoglądając na niski sufit.

— Oczywiście, że nie. Chodź, Bey, za mną. — Pochylony ruszył do przodu. — Tego statku nie budowano dla osób o moich rozmiarach. Ty nie powinieneś mieć żadnych kłopotów, ale na wszelki wypadek uważaj na głowę. Chciałbym ci pokazać parę rzeczy, które pewnie przeoczyłeś w czasie pierwszej lustracji. Właśnie skończyliśmy wymieniać uwagi na temat naszych charakterów. Nie były to uwagi grzecznościowe, ale nadal potrafimy zachowywać się wobec siebie w sposób kulturalny, choć jestem pewien, że żaden z nas nie odczuwał zbyt wielkiej satysfakcji słysząc wyliczenie swych wad i ułomności. Mimo iż sami dobrze o nich wiemy.

Powiem ci, co by się jednak stało, gdybyśmy siedzieli razem przez sześć miesięcy albo rok, nie kontaktując się bez pośrednio z nikim z zewnątrz i nie mając nikogo innego, z kim moglibyśmy porozmawiać bez czekania pół godziny na odpowiedź. Możesz mi nie wierzyć, ale FPZ ma w takich sprawach parusetletnie doświadczenie. Dokonałyby się w nas, niestety, istotne zmiany. Moje drobne wady wydawałyby ci się coraz większe. Po trzech miesiącach uważałbyś mnie za mięczaka, głupca, potwornie niezdarnego olbrzyma i nieznośnego lenia.

Ty zaś stałbyś się w moich oczach zimnym draniem i wyrachowanym szaleńcem, któremu absolutnie nie można ufać. Możesz to sobie wyobrazić?

— Chyba tak — powiedział Wolf. Doszli do oddzielnych pomieszczeń sypialnych, całkiem sporych, ale zavalonych dziwnymi urządzeniami. — Czytałem o efektach przedłużających się kontaktów w małych grupach, nasilających się zwłaszcza wtedy, gdy nie ma zbyt wiele pracy do wykonania. Czy chcesz mi powiedzieć, że w FPZ znaleziono na to jakieś lekarstwo?

— Aż trzy lekarstwa. Chociaż, moim zdaniem, żadne nie jest tak dobre jak przekształcenie się w jedną z form C. Oto pierwsze z nich.

Green wyciągnął rękę i z szafki wbudowanej ponad jednym z łóżek wyjął ostrożnie duży, wyściełany miękkim tworzywem hełm.

— Widzisz tu i tu czujniki kontaktowe? Przytykasz je do skóry, a na oczy zakładasz te miseczki. Przypomina to trochę aparaturę używaną dawniej do przeformowywania, prawda?

— Do pewnego stopnia. — Bey podszedł bliżej i przyjrzał się mikroelektrodom umieszczonym wewnątrz hełmu. — Ale nie umożliwia biologicznego sprzężenia zwrotnego: nie ma w nim kontroli adaptatywnej.

— Nie takie jest jego przeznaczenie. On ma tylko monitorować życzenia, zupełnie jak aparatura przeformowująca. Zamiast sprzężenia prowadzącego do zmian fizycznych wywołuje jednak sprzężenie działające na zmysły. Jest podłączony do komputera, który wyprofilowuje odzew twoich zmysłów tak, abyś odczuł maksymalne odprężenie i uspokojenie.

— Co?! — Wolf spojrział na hełm z obrzydzeniem. — Park, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie opisałeś Maszynę Marzeń. Na Ziemi jest ona niedozwolona. Jej używanie łatwo staje się nałogiem, a powrót do normalnego życia wymaga później wieloletniej terapii.

— To prawda. Spokojnie, Bey! Używa się tego tylko w ostateczności, kiedy ludzie uświadamiają sobie, że znaleźli się na krawędzi obłądzenia. — Głos Greena brzmiał ponuro. — A co ty byś zrobił, czując, że jesteś bliski załamania? Założyłbyś jeden z tych hełmów, licząc na to, że kiedyś zostaniesz wyleczony, czy też obdarłbyś swego towarzysza ze skóry i użył jej do pokrycia fotela w sterowni statku, jak to uczynił Maniello w czasie pierwszej wyprawy na Iapetusa? Wierz mi, na statkach kosmicznych zdarzają się dziwne rzeczy. Rozumiesz teraz, dlaczego sama licencja pilota nie wystarcza, by podróżować po Układzie...?

— Przepraszam, Park — powiedział Wolf tonem skruchy — u nas, na Ziemi, wciąż jeszcze pokutuje opinia, że jesteście nieco zacofani... W pewnych sprawach jest dokładnie na odwrót. Co jeszcze wymyśliliście, aby się bronić przed obłądzeniem?

— Ten typ hełmu, jaki ci pokazałem, stosujemy tylko w sytuacjach ostatecznych. Woliśmy używać czegoś innego — Green wyciągnął spod łóżka dużą niebieską osłonę z plastyku mającą kształt człowieka. — Jest to uproszczona wersja formy C Regulator Czasu. Nosi nazwę hibernatora. Wstrzykujemy mieszanek narkotyków obniżającą temperaturę ciała. Zabrzmiał to trochę melodramatycznie, ale jest to w pewnym sensie uśmiercenie. Komora utrzymuje cię w stabilnej kondycji w temperaturze pięciu stopni powyżej zera. Efektywne tempo starzenia się wynosi jedną czwartą normalnego. Można mieć na sobie ten hibernator przez tydzień, po czym trzeba zostać ocuconym. Urządzenie robi to automatycznie. Widzisz w środku monitory? Po czterech, pięciu dniach przerwy, niezbędnej do regeneracji mięśni, możesz tam wejść z powrotem.

— Nie za bardzo mi się to podoba. Kiedy tam siedzisz, przepada ci jeden tydzień z czterech. Czy nie lepiej użyć kriolona i zamrozić się w naprawdę niskiej temperaturze?

Green wzruszył ramionami.

— Tak jest bezpieczniej. Liczba niepowodzeń przy przebudzeniach ze stanu zamrożenia wynosi prawie dwa procent.

— Raczej jeden, jeśli stosuje się najnowsze systemy.

— Niech ci będzie, jeden procent. Natomiast nasze urządzenie jest prawie niezawodne.

Przyznaję, jest to Regulator Czasu dla ubogich. Myślę, że za kilka lat będziemy stosować formę C. A na razie... — machnął ręką.

Bey otworzył zamki kombinezonu i popatrzył na rzędy sensorów biegnące wzdłuż plastikowej płaszczyzny.

— Czemu nie mielibyśmy obaj z tego skorzystać w czasie podróży? Subiektywnie skróciłoby się czas jeszcze bardziej, gdybyśmy weszli tam jednocześnie.

Green zakaszłał.

— Widzisz, powiedziałem, że hibernator jest prawie niezawodny. „Prawie” to co innego niż „całkowicie”. Wolałbym, żebyśmy nie wchodzili tam jednocześnie. Raz na kilka tysięcy razy pojawiają się problemy. Lepiej, żeby była w pobliżu przytomna osoba, która sprawdza, czy urządzenie działa właściwie, i interweniuje, gdy tak nie jest. Jeżeli obaj zamknijemy się jednocześnie, istnieje pewna minimalna szansa, że wylądujemy na trajektorii znacznie dłuższej od planowanej. Jeśli nie skorygujemy siły ciągu przy podchodzeniu do Perły, opuścimy Układ Słoneczny na siedemset tysięcy lat. Mam spore wątpliwości, czy ci, którzy będą wtedy zamieszkiwać te okolice, przylecą natychmiast uwolnić nas od tych wdzianek.

Wolf przyjrzał się uważnie Greenowi i doszedł do wniosku, że nie są to tylko żarty. Jeszcze raz popatrzył na kombinezon i zaczął go składać.

— Mamy coś jeszcze? Jak dotąd nic nie wzbudziło we mnie szczególnego entuzjazmu.

Green wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci przecież, że żadna z tych rzeczy nie jest tak dobra jak forma C. — Sięgnął znowu do schowka pod łóżkiem i wyciągnął inny hełm, mniejszy i lżejszy od pierwszego. — To coś przypomina twoją „Maszynę Marzeń”, ale działa na innej zasadzie. — Odwrócił go i pokazał wewnętrzną stronę. — Widzisz te przewody? Łączą go z komputerem, ale także z hełmem w drugim pomieszczeniu sypialni. Znowu mamy do czynienia ze sprzężeniem zmysłowym, tym razem jednak jest ono modulowane przez myśli i sny drugiej osoby. Komputer zaprogramowano w taki sposób, że zanim sprzężenie nastąpi, modyfikuje wrażenia każdej z obu osób dotyczące partnera na korzystniejsze. Przez cały czas kiedy obaj mamy na głowach hełmy, dzielimy myśli i emocje partnera. Utrudnia to zdecydowanie — tak głosi teoria — wytworzenie się wzajemnej wrogości między nami. Byłoby to prawie nienawidzeniem siebie samego.

— Ja czasem coś takiego odczuwam — Wolf popatrzył na hełm z niesmakiem. — Moim zdaniem to urządzenie jest obrzydliwe. Nie mam na myśli ciebie, ale nie jestem w stanie znieść myśli, że ktoś mógłby wdzierać się w moje sny. Niektórych rzeczy po prostu nie da się dzielić z innymi. Osoba, która wynalazła ten aparat, ma chory umysł, bardziej nawet chory niż mój!

Green pokiwał głową ze zrozumieniem.

— To ciekawe, że tak mówisz. Większość ludzi nie ma nic przeciwko temu pomysłowi, ale we mnie budzi on instynktowną odrazę. Takie wzajemne włożenie w intymne obszary duchowe musi przypominać obustronne uwodzenie przy użyciu komputera. Tak czy inaczej, które z trzech urządzeń chcesz wykorzystać w tej podróży? A może wolisz w ogóle obyć się bez nich?

Bey popatrzył na trzymany w dłoniach hełm.

— Wybór jest raczej niewielki, chyba nie zaprzeczysz? Myślę, że z tego wszystkiego stosunkowo najlepszy będzie hibernator. Nie mam nic przeciwko tygodniowej drzemce, jeśli tylko po przebudzeniu nie czeka mnie kac.

— W porządku. Będziemy wchodzić do niego po kolei. Tak naprawdę w naszej wyprawie wcale nie musimy korzystać z takich urządzeń. W podróżach krótszych niż miesiąc wręcz się ich nie zaleca, a stają się obowiązkowe dopiero w lotach trwających nieprzerwanie ponad pół roku. Może jednak zrezygnujesz?

— To zależy od tego, czy zaczniemy się nudzić. Wiesz, Park, wolałbym, żeby FPZ była

bardziej liberalna w kwestii przeformowywania. Jestem pewien, że na początek udałoby mi się stworzyć system: człowiek w hibernatorze plus biologiczne sprzężenie zwrotne do podtrzymywania dobrej kondycji mięśni. To musi być proste. Wiesz co — w głosie Beya zaczęły pobrzmiwać nuty entuzjazmu — wezmę hełm Maszyny Marzeń oraz hibernator i zbuduję z tego układ, o którym ci powiedziałem. Co więcej, skończę tę robotę, zanim dotrzemy do Perły. Założmy się, czy mi się uda, dobrze? Jaka jest wielkość pamięci komputera pokładowego?

— Dziesięć do dziesiątej bezpośredniego adresowania. Około sto razy tyle pamięci zewnętrznej o wolnym dostępie.

— Powinno wystarczyć. Nawet jeśli nasze poszukiwania nie zostaną uwieńczone sukcesem, powrócimy z czymś, co może zainteresuje FPZ.

Green popatrzył przez chwilę na Beya i potrząsnął głową.

— Baw się tak długo, jak zechcesz. Mamy zapasowy komplet hełmów i zapasowy hibernator. Ale nie podoba mi się ten błysk w twoich oczach, to twoje spojrzenie szalonego naukowca. Ostrzegam cię; kiedy uznasz, iż aparat już działa, nie licz na to, że zgodzę się wystąpić w roli królika doświadczalnego. Czasami, kiedy cię słucham, wydaje mi się, że wcale nie jesteś lepszy od Capmana. Dla was obu najważniejszą rzeczą na świecie jest przeformowywanie. — Zamilkł na chwilę, po czym westchnął.

— Mam tylko nadzieję, że nie stracę pracy po powrocie. Władze FPZ nie zwykły pobłażać tym, którzy pozwalają sobie na nagłe i długie wyjazdy bez odpowiednich wyjaśnień. Ale muszę się przyznać Bey, że twoja obsesja na punkcie Roberta Capmana okazała się zaraźliwa. Nie mogę się doczekać momentu, kiedy dotrzemy wreszcie do Perły!

## ROZDZIAŁ 20

Ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent masy Układu Słonecznego znajduje się w pobliżu płaszczyzny ekliptyki. Prawie cała reszta tkwi w kernelach tworzących Halo, które jest położone na samych peryferiach Układu i nie można go zobaczyć z Ziemi lub Księżyca, nawet dysponując najsilniejszą aparaturą optyczną. Z praktycznego punktu widzenia Perła i jej siostry z Gromady Egipskiej płyną w całkowicie pustej przestrzeni. Nawet w porównaniu z prawie nie zamieszkanym Układem Zewnętrznym jest to prawdziwe bezludzie.

Statek mozolnie i uparcie wspinał się ponad płaszczyznę ekliptyki. Po pewnym czasie kąt widzenia zmienił się na tyle, że pozorne pozycje planet na niebie uległy przesunięciu. Mars, Ziemia, Wenus i Jowisz gościły w gwiazdozbiorach nie należących do Zodiaku. Merkury schronił się w pobliżu Słońca. Jedynie Saturn, który wybiegł na kraniec swej orbity, zdawał się być na swoim miejscu. Bey Wolf, patrząc przez iluminator, zastanawiał się, w jaki sposób astrologowie potraktowaliby taką sytuację. Mars znajdował się w Domu Andromedy, a Wenus w Domu Łabędzia. Tylko wybitny specjalista potrafiłby zinterpretować taką pozycję i sporządzić pomyślny horoskop dla ich wyprawy!

Bey obrócił teleskop tak, by móc obserwować niebo przed nimi, i zaczął szukać punktu świetlnego wyróżniającego się na tle nieruchomego mrowia gwiazd. Nic z tego nie wyszło. Mimo, że komputer podpowiedział mu, gdzie szukać, i zapewnił, iż do spotkania dojdzie przed upływem godziny, Wolf nie był w stanie dostrzec niczego. Kusilo go, by włączyć elektroniczne wzmocnienie, byłoby to jednak jakby oszukiwaniem w grze.

— Czy już ją widać? — spytał Green wychodząc z pomieszczenia sypialnego.

— Nie. Powinniśmy być bardzo blisko, ale na razie nie mogę nic wypatrzeć. Złapałeś wiadomości?

— Właśnie się skończyły. Obraz był fatalny ze względu na bardzo wysoki poziom szu-

mów. Nie rozumiem, jak ludzie mogą łapać te audycje nawet w okolicach Urana, używając anteny odbiorczej nie większej niż nasza. My znajdujemy się dziesięć razy bliżej, a sygnały są prawie nieodbieralne.

— Chwytny tylko jeden z bocznych listków nadajnika. Prawie cała moc jest wysyłana w kierunku ekliptyki. Dziwi mnie, że w ogóle udaje się nam coś złapać. A właśnie, było coś ciekawego w wiadomościach?

— To, co usłyszałem, wygląda dość niewesoło — powiedział Green głosem pełnym niepokoju, starając się nie patrzeć Beyowi w oczy. — Znowu ta Ziemia. Wszystkie wskaźniki społeczne ciągle lecą w dół. Wiem, że Dolmetsch to skrajny pesymista, ale nigdy jeszcze to, co mówił, nie brzmiało tak ponuro. Przeprowadzono z nim wywiad w Lizbonie. Przepowiada, że wszystko się zawali, zanim Koordynatorzy Generalni zdołają wytłumaczyć oscylacje wskaźników. Miał chyba zamiar dodać coś jeszcze, być może chciał powiedzieć, że w ogóle nie da się wytłumaczyć oscylacji, ale rozmowę przerwano.

Wolf przeniósł wzrok na błyszczący biało-niebieski punkcik świetlny, który był Ziemią.

— Trudno uwierzyć, że na tym małym pyłku żyje czternaście miliardów ludzi. Czy podali jakieś konkretne fakty?

— Kilka, ale jestem pewien, że informacje są mocno ocenzone. Wielkie rozruchy w Ameryce Południowej — najwięcej wypadków śmiertelnych odnotowano w Argentynie. Wszędzie wyłączenia energii. Wzmianki o jakichś przerażających wydarzeniach w Chinach. Wygląda to na masowy kanibalizm. Koordynatorzy Generalni mówią nawet o umieszczeniu kernela na powierzchni Ziemi, co świadczy chyba najlepiej o tym, jak wielki jest niedobór energii.

— Fakt. — Bey popatrzył na Ziemię, jakby oczekując, że zgaśnie ona nagle jak wypalona świeca. — Gdyby osłony kernela zostały uszkodzone, skutek byłby gorszy od wybuchu największej z bomb. Wszystkie znajdujące się w kernelach dziury Kerra-Newmana promieniują z mocą przekraczającą pięćdziesiąt gigawatów. Trzeba być szaleńcem, żeby umieszczać coś takiego na powierzchni Ziemi.

— Szaleńcem albo desperatem. Może Dolmetsch ma powody do pesymizmu — w końcu to on przewidział to wszystko. Również w południowej Afryce głód ciągle narasta. Mówi się teraz o wstrzymaniu wszystkich dostaw do tego regionu i skierowaniu żywności tam, gdzie ludzi da się jeszcze uratować.

Green stanął obok Wolfa przy iluminatorze i przez dłuższy czas obaj wpatrywali się w gwiazdne konfiguracje — każdemu z nich kojarzyły się z dręczącymi go upiorami. Nagle Park zmarszczył brwi i rozejrzał się dookoła.

— Bey, zmieniamy kurs. Jeszcze za wcześnie, żeby to odczuć, ale spójrz, niektóre gwiazdy jakby się przesuwają. Komputer musi już nas kierować do celu. Czy pamiętasz ustaloną pozycję?

Wolf przytaknął.

— Jeden kilometr ponad powierzchnią, dokładne dopasowanie prędkości. Pomyślałem, że zanim zaczniemy myśleć o wylądowaniu na Perle, powinniśmy przyjrzeć się jej z bliska. — Ustawił wizjer we właściwej pozycji i włączył ekran. — Oto i ona, Park. Przebyliśmy długą drogę, żeby ją zobaczyć.

Na ekranie asteroida wyglądała jak mały idealny krąg. Jarzyła się miękkim blaskiem, który nie przypominał światła odbitego od wypolerowanej szklanej tafli; był to jednorodnie rozproszony, perlisty blask z domieszką zieleni połączonej z bielą. Park zmarszczył brwi i wzmocnił powiększenie. Obraz na ekranie zaczął puchnąć.

— Bey, nie tak ją sobie wyobrażałem. Ona rozprasza i pochłania o wiele więcej światła, niż powinna. Przypomina rzeczywiście perłę, a nie pustą bańkę szklaną. Dlaczego nie odbija zwyczajnie słonecznych promieni?

— Nie wiem, Park. Spójrz tam, na lewo. Widzisz? Tam coś jest, jakaś ciemna plama.

W miarę jak statek zbliżał się do celu, obraz na ekranie stawał się coraz większy i wyraźniejszy. Obserwując coraz lepiej widoczną mleczną powierzchnię asteroidy Wolf i Green z trudem opanowywali niecierpliwość. Szybko udało im się stwierdzić, że ciemna plama nie była po prostu plamą o odmiennych własnościach odbijających. Prócz niej na gładkiej powierzchni znajdowały się inne słabe kropki i punkciki o brudnozielonej barwie.

— Bey, to jest jakieś wgłębienie. — Green pochylił się bardziej nad ekranem. — Może tunel. Nie przypominam sobie, by wspomniano o nim w którymkolwiek z opisów Perły.

Bey pokiwał głową z satysfakcją.

— To nie jest formacja naturalna. Ktoś tu wykonał ciężką robotę. Widzisz, jak ostre są te brzegi? Założę się, że wycięto je wielkim laserem materiałowym. Park, to absolutnie niemożliwe, żeby Capman — czy ktokolwiek inny — zrobił to wszystko bez pomocy i specjalnego wyposażenia. Rozumiesz, co to znaczy? Ktoś z FPZ musiał z nim współpracować. I to ktoś, kto miał do dyspozycji ogromne środki!

Cichy gwizd komputera przerwał jego wypowiedź. Dopasowywanie orbit zostało zakończone. Obaj mężczyźni wpatrywali się intensywnie w mleczno-zielonkawą asteroidę. Odległa od nich o kilometr zasłaniała jedną czwartą nieba. Cała jej powierzchnia lśniła bladym matowym blaskiem. Była gładka, bez żadnych skaz, z wyjątkiem idealnie okrągłego otworu o średnicy trzydziestu metrów, czerniejącego po lewej stronie ekranu.

Przez kilka minut przyglądali się asteroidzie w milczeniu. Wreszcie Bey podszedł do konsoli komputera.

— To na nic, Park — powiedział. — Stąd wiele nie zobaczymy. Na powierzchni niczego nie widać. Musimy dostać się do wnętrza. Założę się, że tunel prowadzi do samego środka. Będą nam potrzebne skafandry.

— Nam?

— Chyba, że wolisz zostać tutaj. Ja nie odbyłem całej tej podróży po to, żeby się teraz tylko biernie przyglądać. Komputer kontroluje wszystkie czynności statku. Podsunie się jak najbliżej i w skafandrach przeskoczmy przez przerwę. Nie sądzę, by to było niebezpieczne. Stajemy w odległości pięćdziesięciu metrów jeden od drugiego i skaczymy!

Założywszy skafandry obaj mężczyźni przepłynęli od statku do powierzchni asteroidy. Pole grawitacyjne Perły było zbyt słabe, by dało się wyczuć. Zawisli kilka stóp nad planetoidą i zaczęli ją dokładnie badać. Bardzo prędko zrozumieli, czemu Perła świeciła tak łagodnie. Przez wiele tysiącleci od wybuchu Łoży w jej powierzchnię wbijały się mikrometeority, tworzące matowy nalot, który pochłaniał i rozpraszał promieniowanie odległego Słońca. Wolf i Green powoli przesuwali się w kierunku tunelu. Gdy dotarli do jego brzegu, Bey włączył ręczną latarkę. Ciężki sprzęt pozostawił wyraźne rysy na ścianach z gładkiego szkła. Tunel zwężał się stopniowo. Miał około piętnastu metrów, a na jego końcu znajdowała się płaska płyta z czarnego metalu.

Wolf aż gwizdnął z wrażenia. W odbiornikach radiowych skafandrów ten dźwięk zabrzmiał piskliwie i niesamowicie.

— Widać, jak przestrzegane jest zarządzenie o zakazie lądowania na Perle. Jaki byłby cel zakładania służby powietrznej, gdyby to była tylko pusta skorupa? — Spojrzał w głąb otworu o stromych ścianach. — Jesteś gotów do podróży w dół, Park? Przydałoby się nam towarzystwo Białego Królika!

Razem opuścili się ku wielkim drzwiom, odciągnęli zewnętrzną klapę i weszli do środka. Green chwycił za klamrę w klapie i zawahał się na moment.

— Zamknąć ją, Bey? Nie mamy pojęcia, w co się pakujemy. Tam dalej, w głębi, mogą nas czekać bardzo dziwne niespodzianki.

— Chyba nie mamy wielkiego wyboru. Wchodzimy albo wracamy. Spodziewam się spotkać za tymi drzwiami Capmana i Johna Larsena. Jeśli chcesz trzymać straż na zewnątrz, proszę bardzo, ale ja wchodzę do środka!



Green bez słowa zatrzasnął zewnętrzne drzwi i umocnił je sztabami. Natychmiast usłyszeli syk wlatującego powietrza.

— Nie wiadomo, czy nadaje się do oddychania — ostrzegł Wolf, gdy zaczęły się otwierać drzwi wewnętrzne. — Gdzieś tutaj powinien przebywać John i ta atmosfera może odpowiadać jego wyobrażeniom o miłym, świeżym powietrzu.

Green westchnął ciężko.

— Bey, zaufaj czasem człowiekowi z FPZ. Nikt, kto wychował się poza Ziemią, nie będzie wdychał nie sprawdzonego powietrza, tak jak nie będzie chciał żyć na twojej planecie i oddychać waszą zupą. Popatrz na drugi wskaźnik wewnątrz hełmu. Podaje wartość 6-S, co oznacza, że można oddychać zupełnie bezpiecznie, a ciśnienie wynosi nieco mniej niż połowę ziemskiego. Mimo to nie zamierzam otwierać skafandra i tobie także radzę tego nie robić.

Wewnętrzne drzwi otwierały się powoli. Do służy z wnętrza planetoidy wpadały promienie bładozielonego światła. Kiedy kłapa o średnicy trzydziestu metrów została odsunięta do końca, widoczne się stało całe wnętrze Perły. Obaj mężczyźni w kompletnym milczeniu wpłynęli do środka rozglądając się czujnie dookoła. Wewnętrzna ściana Perły w odróżnieniu od zewnętrznej była gładka i błyszcząca — doskonałości jej nie zepsuły żadne meteoryty. Wewnętrzna powierzchnia tworzyła idealną kulę o średnicy nieco większej niż mila. W samym środku ogromnego, sklepionego pomieszczenia wisiały dwie wielkie metalowe konstrukcje, przywiązane do ścian długimi linami i oparte na lśniących podporach. Bliższa sama była jasną kulą ze stali i aluminium. Bey uważnie ją oglądając, zastanawiał się, skąd pochodziły materiały, których użyto do jej budowy. Perła oczywiście nie wchodziła w grę. Wziąwszy pod uwagę ilość energii potrzebną do przetransportowania składników z Układu, można było uznać za niemal pewne, że konstrukcja ta została wykonana z metali wydobytych na jednej z siostrzanych asteroid Gromady Egipskiej. Bey ocenił średnicę kuli na sto metrów. Długi cylindryczny kabel łączył umieszczony na jej gładkiej powierzchni uchwyt z kłapą, przez którą właśnie weszli.

Druga konstrukcja mogła być jedynie statkiem. Wydawało się to absolutnie pozbawione sensu. Bey raz jeszcze rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie dostrzegł drogi, którą pojazd, mający w najszerszym miejscu średnicę czterdziestu metrów, mógłby dostać się do wnętrza Perły, a później je opuścić. Pobiegł wzrokiem wzdłuż lin ciągnących się od statku do nieco ciemniejszego fragmentu wewnętrznej ściany, położonego naprzeciwko wejścia, którym dostali się do środka. Tam musiał znajdować się ukryty wylot. Różne przewody, zawieszane tu i ówdzie w pustej przestrzeni, pozwalały się domyślać, że co pewien czas przybywały tu inne statki, które mocowano w ten sam sposób.

Powierzchnia Perły, zbudowana z półprzezroczystego szkła, zapewniała wydajne wykorzystanie promieniowania słonecznego. Termometry umieszczone w skafandrach wskazywały, że temperatura otoczenia jest odpowiednia dla ludzi. Słabe światło słoneczne docierające przez zewnętrzną ścianę rozjaśniało kuliste wnętrze. Nigdzie nie było widać żadnych cieni, oprócz tych, które tworzyły przedmioty oświetlone przez latarki Wolfa i Greena.

Początkowo wydawało się im, że dookoła panuje absolutna cisza, jak w jakimś martwym świecie, ale po pewnym czasie dotarło do nich wypełniające całe wnętrze, głębokie, przytłumione pulsowanie, które łatwiej było wyczuć, niż usłyszeć. Dobiegało z metalowej kuli umieszczonej w środku asteroidy — powolne i regularne jak praca cyrkulatorów powietrza i odzywek lub bicie kolosalnego serca. W całej ogromnej przestrzeni szklanej bańki nie słyszeli poza tym żadnego dźwięku i nie dostrzegali jakichkolwiek oznak życia.

Po dłuższej chwili Park Green przerwał milczenie.

— Dochodzę do wniosku, że tak naprawdę nic nie wiem o FPZ. Czy rzeczywiście to miejsce istnieje? Nie mogę w to uwierzyć. Tamten statek jest z pewnością nie zarejestrowany. Jeśli przyleciał nim Capman, to nie potrafię nawet zgadnąć, skąd wystartował. Na pewno nie z Tycho.

Wolf wydał niski pomruk, który miał oznaczać, że myśli podobnie. Instynkt mówił mu, że coś tu było nie w porządku. Spodziewał się spotkać na Perle Capmana i Larsena. Jeśli istotnie tu byli, powinien znaleźć jakiś ślad ich obecności. Spojrzał znowu na metalową kulę. Obaj mężczyźni bez słowa ruszyli w stronę wielkiego koncentrycznego kabla łączącego ją z otworem wejściowym.

Teraz dopiero, gdy zaczęli płynąć wzdłuż liny, Bey zdał sobie sprawę z prawdziwych rozmiarów Perły. Wydawało się, że ściana naprzeciwko znajduje się tuż obok, ale w rzeczywistości sklepienie wnętrza asteroidy mogłoby pomieścić dziesiątki milionów ziemskich jednostek mieszkalnych. Przesunęli się obok kabla tak daleko, że śluza wejściowa, przez którą się tu dostali, zmalała do rozmiarów czarnego punkcika. Obaj poczuli się znacznie różnie, gdy dotarli wreszcie do kuli i przez drzwi w lśniącej powierzchni weszli do środka.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było z pewnością pokojem mieszkalnym. Prócz prostych mebli dostrzegli kosztowne automatyczne urządzenia do wykonywania zwykłych czynności. Na widok aparatury przygotowującej posiłki, Bey przypomniał sobie, że od dawna nie miał niczego w ustach. Odwrócił się do Greena.

— Co robimy, Park? Myślę, że ta maszyna jest na chodzie. Zaryzykujemy oddychanie tutejszym powietrzem?

Green przyjrzał się łakomym wzrokiem przyciskom automatycznego kucharza i skinął głową.

— Chyba nie ma żadnego niebezpieczeństwa, dopóki nie będziemy przechodzić przez śluzy powietrzne. To pomieszczenie jest typowym FPZ-etowskim zespołem mieszkalnym z dodatkiem pewnej dozy luksusu. Spójrz na spis potraw. Założę się, że takich rzeczy nie jadacie na biednej starej Ziemi!

Zdjąwszy skafandry poczuli, że ich napięcie znacznie opadło. Nadal nie dostrzegali żadnych oznak życia. Zanim rozpoczęli dalsze zwiedzanie, Bey nabrał przekonania, że kula nie była zamieszkała. Za pomieszczeniami mieszkalnymi znajdowały się trzy pokoje wypełnione monitorami i konsolami kontrolnymi, zupełnie jak główna sterownia w laboratorium przeformującym. Tyle, że to laboratorium przewyższało wielkością wszystkie, jakie Bey do tej pory widział, nawet to, jakie mieściło się w centrum badawczym KUB.

— Zbiorniki powinny znajdować się za ścianą — powiedział, tłumacząc Parkowi Greenowi, dokąd trafili. — Obawiam się jednak, że nie znajdziemy tam Johna. Musiałem czegoś nie zrozumieć. Najpierw byłem pewien, że mam rację, ale potem...

Wzruszył ramionami i rozejrzał się dookoła. Przed czterema laty wydawało mu się, że zrozumiał to, co było najistotniejsze w pracach Capmana, po czym stwierdził, iż został przechytrzony. To samo mogło zdarzyć się po raz drugi. Capman liczył na to, że Bey potrafi odnaleźć właściwy trop prowadzący do Perły. Gdyby zaszła potrzeba, John Larsen podpowiedziałby mu to i owo — od chwili zmiany w formę lożiańską był zapewne w stałym kontakcie z Capmanem, a zniknął natychmiast, gdy dowiedział się o wyjeździe Beya.

To wszystko wyglądało zupełnie logicznie, ale zarazem mało prawdopodobnie. Bey nie wiedział, czy będzie umiał wytłumaczyć Parkowi Greenowi, jak się to stało, że sterowano nimi niczym parą marionetek.

Gdy Wolf stał milcząc, pogrążony w zadumie, Green oglądał starannie tablicę kontrolną.

— Bey, co prawda w tej dziedzinie nie jestem ekspertem, ale znalazłem coś ciekawego. Wszystkie wskaźniki podają chyba odczyty z jednej komory. Czy to możliwe, żeby były podłączone do jednego stanowiska przeformującego?

Wolf podszedł bliżej. Przez kilka sekund przyglądał się tablicy ze zdziwioną miną.

— Na to wygląda. Ale jak na jeden obiekt jest tu o wiele za dużo monitorów. Będzie ich chyba ze trzy setki. Nigdy nie widziałem, żeby do jednego doświadczenia stosowano równie skomplikowaną aparaturę. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby...

Przerwał, nie chcąc wypowiedzieć tego, co zaświtało mu nagle w głowie.

— Panie Wolf, pan i pana towarzysz macie w zupełności rację — zabrzmiał głos z głośnika nad konsolą. — Wszystko, co tu widzicie, to rzeczywiście tylko jeden eksperyment.

## ROZDZIAŁ 21

— Capman?! — Wolf odwrócił się gwałtownie w stronę głośnika.

— Nie, nie jestem Robertem Capmanem, a tylko, kimś, kogo od dawna łączy z nim bliska przyjaźń. Mogę powiedzieć — w spokojnym, melodyjnym głosie zabrzmiały nutki rozbawienia — że nawet od bardzo dawna. Witajcie na Perle. Zarówno Robert Capman, jak i John Larsen dużo mi o was opowiadali.

Skonsternowany Green rozglądał się dookoła.

— Gdzie pan jest? Jedyne drógę stąd prowadzi chyba do zbiorników!...

— To prawda. Znajduję się w pomieszczeniu ze zbiornikami. W tej chwili możecie tam wejść bez obaw. Powietrze ma tu ten sam skład, co w innych częściach Perły.

— Czy chce pan, abyśmy do niego przyszedli? — spytał Wolf.

— Ależ oczywiście! Przygotujcie się jednak na spory szok. Pan Wolf ma to chyba już za sobą, ale nie wiem, czy to samo można powiedzieć o panu Greenie.

— Ale gdzie są Capman i Larsen?...

— Daleko stąd. Panie Wolf, przemiana Johna Larsena w obcy kształt była dla nas czymś absolutnie nieoczekiwanym. Dodała ona nowy wymiar naszym dotychczasowym działaniom, które i bez tego były nadzwyczaj skomplikowane. Dzięki owej przemianie odnieśliśmy ogromne korzyści. Nie do mnie należy wyjaśnienie wam całokształtu naszej działalności. O niektórych sprawach dowiedziecie się od samego Capmana. O innych jednak mogę wam trochę powiedzieć. Zapraszam do zbiornika.

Wolf i Green spojrzeli po sobie. Bey wzruszył ramionami.

— Pójdę pierwszy. Nie sądzę, żeby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiem, co tam zastaniemy, ale po tylu latach pracy w Kontroli Form niewiele może mnie zaskoczyć!

Pomieszczenie, do którego weszli, było ogromne. Zajmowało co najmniej połowę metalowej kuli. Bey daremnie rozglądał się za znajomymi urządzeniami, instalowanymi zazwyczaj w komorach przeformowywania. Początkowo nie udawało mu się rozpoznać niczego. Nagle doznał olśnienia i z wrażenia zaparło mu oddech. To była komora, chociaż moduły systemowe miały niewiarygodne proporcje. Cyrkulatory i podajniki odżywek były masywnymi rurami o średnicy dwóch metrów, zaś konektory nerwowe skonstruowano z wielkich zespołów falowodów i grubych wiązek z włókna szklanego. Bey rozglądał się, szukając miejsca, skąd dochodził głos, ale widział tylko długie szeregi połączonych ze sobą zbiorników, z których każdy mógł pomieścić wielu ludzi.

— Gdzie pan jest? — zapytał wreszcie. — Czy w jednym ze zbiorników?

— I tak, i nie. — Wydawało się, że głos dochodził ze wszystkich stron. Znowu wyczuwało się w nim nutę rozbawienia i pewnej nonszalancji. — Jestem we wszystkich zbiornikach. To doświadczenie trwa już dłuższy czas. Całkowita masa mojego ciała wynosi teraz dobrze ponad sto ton, ale oczywiście jest rozmieszczona w dużej objętości.

Green stał z otwartymi szeroko ustami i oczami wytrzeszczonymi jak u przerażonej żaby. Bey uprzytomnił sobie, że musi wyglądać tak samo.

— Czy jest pan człowiekiem, czy jakimś typem biologicznego komputera? — spytał po chwili.

— To bardzo dobre pytanie. Przez ostatnie kilka lat ciągle je sobie zadaję. Kusi mnie, aby odpowiedzieć: i tym, i tym.

— I tym, i tym jednocześnie...?! Ale gdzie w takim razie znajduje się pański mózg? —

spytał Green.

— Część organiczna — w dużej komorze, stojącej przed wami, w tyle pomieszczenia. Poznacie ją łatwo po ilości czujników podłączonych do niej. Część nieorganiczna — komputer — tworzy sieć biegnącą po całej niemalże kuli. Jak się o tym przekonacie, Robert Capman wykazał, że tworzenie układów oddziaływania człowiek-maszyna może pójść znacznie dalej niż wszczepianie implantów obliczeniowych.

— Ale jak pan... — Wolf przerwał. Jego umysł zaczął dostrzegać setki nowych możliwości i tyleż samo związanych z nimi problemów.

— Jeżeli nikogo więcej tu nie ma — kontynuował — w jaki sposób otrzymuje pan niezbędne odżywki! I czy może pan powrócić do pierwotnego kształtu? Rozumiem, że zaczynał pan jako forma ludzka. — W następnej chwili inna przerażająca możliwość przyszła mu do głowy. — Jak się to stało, że poddał się pan takiemu doświadczeniu? Czy to była dobrowolna decyzja, czy też został pan do tego zmuszony?

— Pytania, pytania... — dało się słyszeć westchnienie. — Uprzedzałem, że na niektóre z nich nie udzielę odpowiedzi. Jeśli chcecie je uzyskać, musicie się zwrócić do Roberta Capmana. Mam świadomość jednego: przeformowanie powrotne będzie procesem bardzo trudnym. Z drugiej strony jestem pewien, że do czasu, kiedy zacznę o tym myśleć, technika takich zmian zostanie w pełni opanowana — może nawet już zapomniana... Ale skończmy z tym. Jeśli moglibyście się odwrócić...

Głos, mimo swego dziwnego pochodzenia, brzmiał jak głos istoty rozumnej, pogodnie, a nawet wesoło. Gdy Wolf i Green obrócili się, na najbliższej ścianie komory rozbłysnął barwami ekran.

— Pytacie, jak są dostarczane odżywki. W bardzo prosty sposób. Cały mój układ podtrzymywania czynności życiowych jest samowystarczalny. Patrzcie na ekran, a ja zabiorę was na krótką wycieczkę po Perle. Teraz wychodzimy i kierujemy się ku powierzchni wewnętrznej.

Ekran pokazywał obraz z videokamery, poruszającej się po jednej z lin prowadzących do wewnętrznej ściany asteroidy. Dzięki powiększeniu można się było przekonać, że funkcja wielu kabli nie ograniczała się do utrzymywania kuli w spoczynku. Znajdowały się w nich przewody, falowody komunikacyjne i dające się łatwo użyć gniazda do podłączenia innych kabli. Gdy kamera podjechała bliżej do ściany, okazało się, iż obraz na ekranie przedstawia coś bardziej skomplikowanego niż gładka szklana powierzchnia. Niektóre fragmenty wydawały się jaśniejsze od otaczającego je tła i przepuszczały światło o bardziej zielonej barwie.

— Zbiorniki z algami! — wykrzyknął Park Green. — Takie same jak w Koloniach Libracyjnych. Ale te muszą być wykute w powierzchni Perły. Widać, jak intensywnie zielone jest to światło.

— Zgadza się — powiedział głos. — Widzicie, jaka to wygoda mieć do dyspozycji asteroidę, jakby stworzoną przez naturę do naszych celów? Algi są źródłem zarówno tlenu, jak i pożywienia dla mnie. Stanowimy układ zamknięty, wliczając w to wyposażenie. Całą robotę wykonują gradienty termiczne. Do tego, by moje potrzeby były systematycznie zaspokajane, nie jest potrzebna obecność Capmana ani kogokolwiek innego. Konsola sterująca, którą widzieliście na zewnątrz, nie jest już używana. W rzeczywistości kontroluję siebie samodzielnie za pomocą sieci komputerowej. Cała Perła stanowi jedno zamknięte środowisko.

Długie doświadczenie sprawiło, że kontakt z żadną właściwie możliwą do wyobrażenia formą nie był w stanie wyprowadzić Beya z równowagi, ale na Parku Greenie to, co zobaczył i usłyszał, zrobiło piorunujące wrażenie. Był najwyraźniej przerażony wnioskami wypływającymi z rozmowy.

— To Capman jest sprawcą tego, on to wszystko zaprojektował, prawda?! — wybuchnął. — Na pewno dobrze wiedział, co tworzy. Nie może się pan stąd ruszyć, jest pan przykuty do Perły i nie ma mowy o przeformowaniu powrotnym. Nie ma pan nawet z kim rozma-

wiać i dyskutować. Panie... kimkolwiek pan kiedyś był..., czy pan nie widzi co on z pana zrobił?!... Przecież to jest morderstwo? Jak pan to w ogóle może wytrzymać?...

— Coraz więcej pytań. — Po raz pierwszy w głosie pojawił się ton irytacji. — Moje nazwisko brzmi Mestel, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie. Nie potrzebuję niczyjego współczucia. A co się tyczy innych uwag, to chciałbym zauważyć, że pan także jest więźniem własnego ciała w nie mniejszym stopniu niż ja swojego. Któż nie jest...? Ja zaś posiadam taką ochronę, opiekę i taką możliwość kontrolowania własnych ruchów, jakich pan z pewnością nie ma. I co pan na to?

— Kontrolowania własnych ruchów? — powtórzył Bey. — Chodzi panu o poruszanie się zastępcze, dzięki oddalonym sensorom?

— Nie, choć to też mogę robić. Mam na myśli poruszanie moim ciałem. Niedługo pan sam to zobaczy. Przyznaję, że uwiązano mnie do Perły na czas nieokreślony; czemu jednak traktować to jako nieszczęście? Jeśli wierzyć wiadomościom z ostatnich tygodni, Perła będzie może za jakiś czas jedynym miejscem, gdzie przetrwa nasza cywilizacja. A może stary Laszlo stał się jeszcze większym pesymistą, niż był zawsze?

Ale dość chyba już tego gadania — w głosie Mestela zabrzmiały ostrzejsze nuty. — Rzeczywiście brakuje mi rozmów bez konieczności długiego czekania na odpowiedź. Teraz mam do spełnienia inny obowiązek. Spodziewaliśmy się waszej wizyty, ale nie wiedzieliśmy, kiedy ona nastąpi ani kto się tu zjawi. Ja sądziłem, że pan Wolf przyleci sam. Robert Capman podejrzewał, że przybędzie także pan Green, a John Larsen był tego pewien. — Z głośnika dobiegł dziwny dźwięk, to Mestel westchnął ciężko. — Trzeba przyznać, że bez względu na to, z czego zbudowane są formy lożańskie, mają one niesamowity intelekt. Jak dotąd, dzięki wbudowanym we mnie komputerom, moje zdolności umysłowe przewyższały zdolności wszystkich ludzi z wyjątkiem Capmana. Teraz wygląda na to, że Larsen może nas obu owinąć sobie dookoła palca.

— Podzielam pańskie zdanie — powiedział Bey. — Znałem go bardzo dobrze przed jego przemianą i nie będę wobec niego niesprawiedliwy, jeśli powiem, że jego umysł z pewnością nie należał do wybitnych. Obecnie John jest kimś wyjątkowym. Oczywiście Robert Capman zawsze był kimś wyjątkowym.

— Można się było domyślić, że pan tak uważa. Zadam teraz pytanie, na które tylko pan może odpowiedzieć. Ścigał pan Capmana od waszego pierwszego spotkania, w dzień i w noc, rok po roku. Jeśli chce pan kontynuować pościg, będzie się to wiązać ze zwiększonym ryzykiem. A do tego przez wiele miesięcy nie powróci pan na Ziemię. Czy akceptuje pan takie warunki?

— Zaraz, zaraz — wtrącił Green. — A co ze mną? Zajmuję się tą sprawą od samego początku, przynajmniej w takim zakresie, w jakim dotyczy form lożańskich. Nie chcę być odsunięty na margines!

— Proszę się nie obawiać, to panu na pewno nie grozi. Pan i ja za nasze grzechy zostaliśmy wyznaczeni do innej misji. Jest ona niesłychanie ważna, ale nie wymaga widzenia się z Robertem Capmanem. Są natomiast powody, dla których Behrooz Wolf musi raz jeszcze spotkać się z Capmanem i Larsenem.

Bey wsłuchiwał się w głos dobiegający z głośnika bardzo uważnie. Był zaintrygowany jego intonacją oraz nieco staroświeckim i oficjalnym sposobem wyrażania się Mestela. Ponośnie rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu i dostrzegł coś szczególnego w jego wystroju, jakieś indywidualne, specyficzne akcenty, sprawiające, że różniło się nieco od standardowego.

— Mestel — odezwał się po chwili. — Czy sprzęt i całe wyposażenie tego pokoju są pańskim dziełem, czy Capmana?

— Capmana i brygady roboczej zaangażowanej do prac fizycznych. Wykonano to, jeszcze zanim udało mi się osiągnąć pełną kontrolę nad aparaturą. Pomoc była więc niezbę-

dna. Teraz takie rzeczy mogę robić samodzielnie. Rozplanowanie pokoju pozostawiono jednak mnie. — Robert nigdy nie zwracał uwagi na wygląd otoczenia. Jego interesują wyłącznie własne myśli.

Wolf z satysfakcją pokiwał głową.

— W takim razie chciałbym zadać jeszcze kilka pytań. Ile pan ma lat i czy w ogóle jest pan mężczyzną?

Green popatrzył na Wolfa z najwyższym zdumieniem. Ale Mestel roześmiał się serdecznie i melodyjne dźwięki płynęły przez chwilę z setki głośników umieszczonych wewnątrz komory.

— Czy jestem mężczyzną? Nie sądzi pan, że w chwili obecnej jest to problem czysto akademicki? Zapewne chodzi panu o to, czy moja pierwotna forma była męska, czy kobieca. Panie Wolf, piątka z plusem! Nazywam się Betha Mestel i przez wiele lat byłam kobietą, chociaż nigdy — co podkreślam z satysfakcją — damą. Robert Capman ostrzegał mnie, że ma pan niespotykany talent przenikania przez powłokę postaci zewnętrznej. Widzę, że wcale nie przesadzał. Czy jest pan w stanie wyciągnąć dalsze wnioski z tego, co już powiedziałam?

Bey, przysłoniwszy oczy przymkniętymi do połowy powiekami, kiwał głową w zamyśleniu.

— Betha to imię, którego dziś raczej się nie używa. Było bardzo modne sto dwadzieścia lat temu, a pani powiada, że jest starą przyjaciółką Capmana. — Przerwał. — Chyba zaczynam dostrzegać szereg faktów, które już dawno temu powinny być dla mnie oczywiste. Czy to możliwe, że pani...

— Kiedyś mawiano, że nigdy nie należy pytać kobiety o jej wiek. — Wypowiedziane kokieteryjnym tonem słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. — Tak jak pan się domyśla, odpowiedź zaprowadziłaby nas zbyt daleko. Muszę powrócić do mego pytania: czy jest pan gotów podjąć ryzyko, które niesie ze sobą spotkanie z Robertem Capmanem?

— Absolutnie — odpowiedział Wolf zdecydowanym, pewnym tonem. Słowa Bethy Mestel umocniły jego determinację. — Jak się do niego dostanę? Czy...?

Przerwał raptownie. Odległa ściana pokoju znikła nagle. Widział teraz przed sobą tylko barwne plamy o zacierających się konturach.

— Zostanie pan tam przewieziony. Ani pan Green, ani ja nie wybierzemy się tam z panem; obowiązki wzywają nas z powrotem do Układu Wewnętrznego. — Głos stawał się coraz słabszy i coraz bardziej oddalony. — Proszę przyjąć moje przeprosiny za to, co nastąpi za chwilę. Są po temu ważne przyczyny. Postarajcie się teraz odprężyć.

Ani Park Green, ani Bey Wolf nie usłyszeli ostatnich słów Bethy Mestel. Dwa robocze automaty podjechały łagodnie i przeniosły ich z powrotem do pomieszczenia kontrolnego.

Sto milionów kilometrów ponad ekliptyką roztacza się doskonała pustka — tak doskonałej nie znajdzie się w żadnym punkcie płaszczyzny, po której poruszają się planety. Nikt nie obserwował Perły kontynuującej wytrwale swój trzyletni marsz wokółsłoneczny. Najbliższym zamieszkanym obiektem był Horus, na którym przebywała pięćdziesięciosobowa grupa górników. Ludzie ci mieli zbyt wiele zajęć, aby móc poświęcić choćby chwilę na patrzenie w niebo. Poza tym Perła, odległa o trzydzieści milionów kilometrów od Horusa, i tak znajdowała się na granicy rozdzielczości ich najlepszych teleskopów.

Nikt nie zauważył, jak na powierzchni asteroidy otworzyły się wielkie drzwi. Statek, który przez nie wypłynął, przypominał małego świetlistego piskorza wyskakującego z kryjówki w skalnej dziurce. Leciał swobodnie do momentu, kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości od Perły. Wówczas włączył się napęd jądrowy. Statek skręcił nieco w dół, nurkując w kierunku ekliptyki po trajektorii, która wiodła go w przeciwną stronę niż Słońce. Jedyne pasażer nic o tym nie wiedział, przebywał zamknięty w komorze do przeformowywania, znajdującej się wewnątrz pojazdu.

Po krótkiej chwili z mniejszej śluzy wyłoniły się automaty mechaniczne i ruszyły ku statkowi, którym przybyli Bey Wolf i Park Green. Pozostawał on wciąż tuż przy powierzchni, utrzymywany tam za pomocą małych pomocniczych silników odrzutowych, dzięki którym unosił się w odległości dokładnie pięćdziesięciu metrów od asteroidy. Automaty przesunęły go delikatnie do śluzy, skasowawszy elektroniczne instrukcje wyznaczające pozycję statku. Kiedy znalazł się już w środku, został przycumowany do ściany za pomocą lin wypełniających pogrążone w półmroku wnętrze.

Przez nadprzewodzące podpory i kable popłynął prąd. Wewnętrzna konstrukcja Perły stała się sztywna pod wpływem niezwykle silnego pola elektromagnetycznego. Gdy tylko się ustabilizowało, główna śluza otwarła się znowu, odsłaniając ekranowany kernel energetyczny, unieruchomiony przez te same potężne moce.

Włączyła się jednostka napędowa. W ergosferę kernela zaczęto wstrzykiwać plazmę, która pobrawszy energię wypływała na zewnątrz jako struga wysoko relatywistycznych cząstek. Wytworzona w ten sposób ciągła siła zaczęła oddziaływać na orbitę Perły. Jej inklinacja i wielka półoś zmieniały się powoli.

Betha Mestel przystąpiła do przeprowadzki.

## ROZDZIAŁ 22

Coś domieszano do powietrza znajdującego się w pomieszczeniu. Zapewne asfanił, sądząc po braku efektów ubocznych. Bey nie odczuwał pieczenia w żołądku, nie bolała go głowa. A jednak...

Zmarszczył brwi. Coś było nie w porządku. Przesunął ostrożnie językiem po górnej wardze i wyczuł słaby smak. Nie, nie smak — doznał dziwnego uczucia, jakby sztywności. Odetchnął głębiej. Powietrze też było dziwne, wywoływało wrażenie gorąca w płucach. Wreszcie odważył się otworzyć oczy...

...I od razu całkowicie się rozbudził. Nadal przebywał w komorze przeformowującej, ale jego długoletnie doświadczenie mówiło mu, że proces już dobiegał końca. Przemiana dokonana się. Monitory były wyłączone, a elektrody podłączone do jego skóry nie przekazywały impulsów.

Ogarnięty niepokojem Bey wyciągnął przed siebie dłoń i uważnie jej się przyjrzał. Normalna, jeśli nie liczyć zmiany barwy, będącej zresztą efektem oświetlenia. Ponownie odetchnął głęboko, nieco uspokojony, ale i trochę rozczarowany, po czym spojrzał w górę na dziwne niebieskie lampy wiszące nad jego głową.

Nie przebywał już na Perle. Stało się to dlań oczywiste, gdy tylko opuścił komorę. Znajdował się na pokładzie statku. Mógł to być ów pojazd, który widział wewnątrz Perły, ale spojrzawszy przez iluminator, zobaczył otwartą przestrzeń, a nie błyszczącą wewnętrzną powierzchnię asteroidy.

Nie na Perle i przeformowany. Ale w co...?

Bey obejrzał dokładnie całe swoje ciało i nie dostrzegł żadnej zmiany. Usiadł tuż przy iluminatorze i próbował zebrać myśli. Ciało miał to samo, ale zmysły jakby nieco odmienne. Odgłos silników statku wcale nie przypominał dobrze mu znanego brzęczenia, charakterystycznego dla silników o napędzie jądrowym — był to pisk o bardzo wysokiej częstotliwości, na granicy słyszalności. Zerknął w kierunku rufy. Wyposażenie wyglądało na standardowe. Nie chciało mu się wierzyć, że Capman i Betha Mestel wynaleźli absolutnie nowy system napędowy.

Patrzył ciągle przez iluminatory, jego umysł pracował niezwykle intensywnie. Gdzie się znajdował? Gdzie była Perła, gdzie byli Betha Mestel i Park Green?...

Włączył inne ekrany obserwacyjne i próbował odgadnąć, w jakim kierunku zmierzał. Słońce stanowiło główny punkt odniesienia. Znajdowało się daleko z tyłu, było wyraźnie mniejsze i świeciło słabiej niż zwykle, barwę miało fioletową. Bey patrzył zdumiony. Czy to rzeczywiście Słońce? Wyglądało jak jakaś zupełnie obca, odległa gwiazda.

Zaczął szukać innych wskazówek. Na jednym z ekranów dostrzegł świetlistą planetę, znajdującą się w niewielkiej odległości od statku. Był to z pewnością Jowisz, ale on też miał zmienione barwy. Pojazd przesunął się obok niego, wykorzystując pole grawitacyjne odległej o zaledwie parę milionów kilometrów planety do uzyskania dodatkowego pędu. Dziwnie nieposłusznymi palcami Bey pokręcił regulator. Powiększył obraz na ekranie i ześrodkował go na księżycach krążących wokół wspaniałego ciała niebieskiego.

Był to rzeczywiście Jowisz. Otaczały go cztery Księżyce Galileusza, doskonale teraz widoczne. Nie brakowało też czerwonej plamy, tyle że zmieniła kolor na zielonkawy. Przez kilka minut Bey milcząc wpatrywał się w ekran. Za chwilę wielkie cielsko planety miało przesłonić Io. Widział wyraźnie, jak zmniejszała się jej odległość kątowna od głównego obiektu. Na moment przed jej zniknięciem Bey wyprostował się na swym krześle. Jeszcze raz przyjrzał się Słońcu i lampom umieszczonym wewnątrz statku. Nagle zrozumiał, co się dzieje, i zaklął soczyście. Powinien na to wpaść od razu. Popatrzył na wykres na jednym z ekranów kontrolnych i zaczął się domyslać, co prawdopodobnie zobaczy na końcu trajektorii.

Dyżur przy monitorach obserwacyjnych na Stronie Odległej przebiegał znowu bardzo spokojnie, zbyt spokojnie. Żadnych wycieczek, żadnych wizyt, nawet żadnych inspekcji Bardzo Ważnych Osobistości, które, choć czasem mocno irytujące, przynosiły jakąś odmianę. Tem Grad i Alfeo Masti pełnili tu służbę już po raz trzeci w przeciągu czterech miesięcy i zaczęli podejrzewać, iż ktoś fałszował na ich niekorzyść decyzje losowego wyznacznika dyżurów. Za każdym razem, gdy już przeprowadzili kalibrację anteny, przez następne kolejne czternaście dni nie mieli dosłownie nic do roboty — jeśli pominąć odbiór wiadomości nadsyłanych od czasu do czasu przez przyjaciół z Układu Zewnętrznego, co zdarzało się zresztą tylko wtedy, gdy — tak jak teraz — Strona Bliska skierowana była ku Słońcu.

Rozrywki przygotowane przez oficerów służbowych, którzy pełnili dyżur bezpośrednio przed nimi, poznali dobrze już w czasie pierwszych dyżurów na Stronie Odległej. Nie było ich zbyt wiele; trudno też byłoby uznać je za szczególnie atrakcyjne. Teraz odpoczywali po przeciwnych stronach głównego pomieszczenia kontrolnego: Tem, słuchając muzyki, Alfeo, grając w brydża z komputerem. Rozgrywka nie sprawiała Alfeo zbyt wielkiej przyjemności. Maszyna zaczynała go coraz bardziej irytować. Miała z grubsza dostosować do jego poziomu umiejętności poziom trójki graczy, których zastępowała. Zamiast tego miażdżyła go za każdym razem, a on nie mógł nawet zwymyślać swego partnera i choć w ten sposób poprawić samopoczucie. Po dwóch godzinach gry spojrzął ponurym wzrokiem na ekran i uznał, że losowe układy generowane przez komputer wyglądają równie podejrzanie jak procedura selekcji personelu do służby monitorującej na Stronie Odległej.

Łagodny głos z monitora komunikacyjnego stanowił prawdziwą niespodziankę. Jakiś statek podchodzący od Strony Odległej prosił o weryfikację trajektorii w pobliżu Księżyca. O tej porze roku musiał przybywać z Marsa lub jeszcze dalszych okolic. Alfeo naciśnięciem klawisza zlikwidował fatalny dla niego rozkład kart i wyłączył ekran graficzny. Komputer zareagował niskim buczeniem zmieniających urządzeń peryferyjnych, jakby protestując przeciwko niesportowemu zachowaniu Alfeo, który pozwolił sobie przerwać grę w niekorzystnej dla siebie sytuacji.

Kilka sekund zabrało uzyskanie obrazu statku. Komputer otrzymał informacje o położeniu i prędkości pojazdu dzięki dopplerowskiemu przesunięciu sygnałów telekomunikacyjnych, wykorzystał je do wyliczenia względnej pozycji, a następnie skierował największy teleskop na zbliżający się obiekt.



Kiedy na ekranie pojawił się wreszcie obraz błyszczącej srebrnej kuli, Alfeo przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Nie był to na pewno zwykły frachtowiec. Alfeo zerknął automatycznie na odczyt odległości, po czym zmarszczył brwi, popatrzył ponownie na ekran i na moment zapało mu oddech.

— Tem! — zawołał nagłym głosem. — Chodź tutaj. Zbliży się do nas statek. Jeśli wierzyć odczytom, to prawdziwy potwór. Z danych wynika, że dla naszej stacji jego rozmiary kątowe przekraczają sześć sekund łuku, a znajduje się nadal w odległości większej niż sześćdziesiąt tysięcy kilometrów od nas. Zobacz, czy figuruje w rejestrze.

Term Grad powoli oderwał swe długie ciało od krzesła i nie spiesząc się podszedł do ekranu.

— Masz chorobę gwiezdą, Alf. Sześć sekund w odległości sześćdziesięciu tysięcy kilometrów oznacza jakieś parę tysięcy metrów średnicy. Największy statek w Rejestrze Lloyda ma tylko trzysta metrów. Musiałeś źle odczytać dane.

Alfeo nie raczył nawet odpowiedzieć, tylko wskazał kciukiem na ekran. Grad popatrzył uważnie, po czym skierował wzrok na odczyty numeryczne. Jeszcze raz spojrzął na ekran. Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie.

— Sprawdź, Alf, czy kanał głosowy jest aktywny. To może być statek obcej cywilizacji!

W jego głosie można było wyczuć wyraźne podniecenie. Od momentu kiedy Biuro Kontroli Form złożyło pierwsze, mocno ocenzone oświadczenie dotyczące metamorfozy Johna Larsena, Ziemia, FPZ i cały Układ Słoneczny aż się trzęsły od plotek o gościach z obcej cywilizacji. Spekulacje szły bardzo daleko. Ponieważ oficjalne informacje były niezwykle enigmatyczne, dziennikarze powrócili do historii Potworów Mariańskich i usiłowali odkryć coś interesującego na Guam.

Po uzyskaniu połączeń audio i video Tem wszedł w kanał komunikatora. Na ekranie pojawiła się chłopięca, pyzata twarz.

— Zaraz, zaraz, ja go przecież znam — powiedział Alfeo. — Byliśmy razem na kursie przetrwania w próżni trzeciego stopnia. Pamiętasz szkolenie na Hipparchu? On na pewno nie jest przedstawicielem obcej cywilizacji.

Tem szybkim gestem nakazał mu milczenie. Obwód audio skorygowano na efekt Dopplera i był teraz prawidłowo dostrojony do częstotliwości, na której nadawał statek.

— Tu „Perła”, proszę o zezwolenie na skorzystanie z trajektorii podchodzenia i określenie orbity parkingowej w płaszczyźnie równikowej Ziemi — odezwał się holowizyjny obraz Greena. — Powtarzam, tu „Perła”. Baza, potwierdźcie odbiór i zweryfikujcie orbitę.

Alfeo włączył drugi obwód, dzięki czemu komputer mógł potwierdzić odbiór informacji i jednocześnie przekazywać obraz Alfeo i Tema pracujących przy konsoli.

— Zezwolenie otrzymałem — powiedział Green po króciutkiej przerwie, po czym zamrugał oczami i wysunął się nieco z krzesła, najwyraźniej wpatrując się we własny ekran. — Czy to Alf — jak ci tam — Massey? Co ty robisz na Stronie Odległej?

— Nie jestem pewien. Chyba odprowadzam pokutę — odparł Alfeo. — Tak w ogóle to Masti, nie Massey. A ty jesteś Park, prawda? Park Green. To raczej ja powinienem spytać, co robisz na tym statku? Nie figuruje w rejestrze Lloyda i wygląda raczej niesamowicie.

— Uważaj, co mówisz, synu — na linii pojawił się nowy głos. — Powinieneś wiedzieć, że od formy ważniejsza jest treść. Pogadacie sobie z Parkiem później. Potrzebujemy gorącej linii, która połączyłaby nas z Laszlo Dolmetschem. Czy przebywa on teraz na Ziemi, czy na Księżycu?

Grad powstrzymał cisnące mu się na usta pytania. Zniecierpliwiony i autorytatywny ton nowego rozmówcy wywarły na nim wrażenie.

— Słyszałem, że na Ziemi — odpowiedział. — Ale to było tydzień temu. Spróbuję go odnaleźć. Na razie skieruję was na trajektorię, która wprowadzi statek na orbitę wokółziem-

ską o zerowej inklinacji i z perigeum wynoszącym osiemset kilometrów. Nie jestem pewien, czy uzyskanie pozwolenie lądowania. Ze względu na stan wyjątkowy na Ziemi obowiązują zakaz przylotów, który uchyla się tylko w szczególnych wypadkach.

— Zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji. Dotarły do nas najświeższe wiadomości. — W miarę jak statek zbliżał się do Księżyca, opóźnienie w odpowiedziach wynoszące początkowo cztery dziesiąte sekundy zmniejszało się stopniowo. — Betha i tak nie mogłaby stanąć na Ziemi. Nie jest do tego przystosowana.

— W czym problem? — spytał Alfeo. — Potrzebuje specjalnego skafandra? Jeśli zgodzicie się poczekać jeden dzień, to mogę go wam przysłać z Kolonii Libracyjnych. A w ogóle gdzie jest Betha? — Wpatrywał się uważnie w ekran. — Widzimy tylko twój obraz, Park.

— Rzeczywiście, potrzebuję specjalnego stroju — powiedziała Mestel. — Ale jestem pewna, że nie znajdziecie takiego, który byłby dla mnie odpowiedni. Co z tym połączeniem z Dolmetschem? Czy już je uzyskaliście?

Alfeo zerknął na wydruk z komputera.

— Wiemy, gdzie się w tej chwili znajduje. Jest na Ziemi i rozmawia z kilkoma Koordynatorami Generalnymi. Nie znam niestety kodu priorytetowego umożliwiającego przerwanie tej sesji. Mogę mu tylko przekazać krótką wiadomość. Nie jestem w stanie zapewnić łączności dwustronnej, chyba że on sam ją zainicjuje.

— W porządku. Proszę mu przesłać następującą wiadomość — zabrzmiał głos niewidzialnej rozmówczyni. — Jest bardzo krótka. Przekażcie mu, że zgłasza się Projekt Ryba Płucodyszna, Faza Druga.

— Projekt Ryba Płucodyszna — mruzczał Tem wystukując słowa na klawiaturze. — Dobrze. A jaka ma być treść wiadomości?

— To wszystko. Zgłosi się do nas błyskawicznie, jeśli szok nie zwali go z nóg!

— Ale kto jest nadawcą wiadomości? — naciskał Tem. W nim samym zaczęła narastać ciekawość. Nie chce pani podać swego nazwiska? Jest pani chyba z nim zaprzyjaźniona...

— Byłam jego przyjaciółką, jeszcze zanim wam obu zaczęły wyrzynać się zęby, ale długi czas go nie widziałam i trochę się zmieniłam. Jeżeli możecie przekazać także obraz, niech to będzie hologram „Perły”. Retransmisja sygnału video, który od nas otrzymujecie, nie miałaby sensu.

— Chodzi o obraz statku? — Alfeo nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. — On nie przypomina żadnego pojazdu umieszczonego w rejestrze. Wydawało mi się, że znam wszystkie typy, ale nie słyszałem o żadnym, który miałby podobne rozmiary i kształty. Jaki stosujecie napęd? To musi być coś niezwykłego!

— Kernele — odparł Park Green — z zasilaniem plazmą typu McAndrew. Tak samo jak we frachtowcach klasy Tytan z tym, że silnik umieszczono wewnątrz, a nie na zewnątrz. „Perła” jest tworem naturalnym. Była kiedyś asteroidą z Gromady Egipskiej.

Dwaj mężczyźni ze Strony Odległej popatrzyli najpierw na obraz na ekranie, a potem spojrzeli po sobie.

— To wygląda sensownie — powiedział Tem Grad. — Dlatego znajduje się na liście obiektów naturalnych, a nie w Rejestrze Lloyda. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie widziałem podobnej asteroidy. — Odwrócił się do ekranu. — Należało wystąpić o zmianę zakwalifikowania, tak jak to zrobiono w wypadku Ikara w momencie, gdy umieszczono na nim silniki. Powinniście zostać sklasyfikowani jako pasażerski statek międzyplanetarny.

— Niezupełnie — odezwał się głos Bethy Mestel. — Po pierwsze, jest tu tylko jeden pasażer. Ja liczę się jako załoga. Po drugie, jak tylko skontaktuję się ze starym Laszlo i będę pewna, że zacznie działać zgodnie z naszymi instrukcjami, status „Perły” zostanie znowu zmieniony. Stanie się ona statkiem międzygwiazdowym, a nie międzyplanetarnym.

— O co tu do diabła chodzi? — wtrącił się niecierpliwy głos docierający z innej linii. — Jeśli to jakiś głupi żart, odpowiecie natychmiast przed Koordynatorami Generalnymi. Kto

wysłał tę wiadomość o Projekcie Ryba Płucodyszna?

Alfeo gwałtownie odwrócił się do ekranu, z którego spoglądała gniewna twarz Dolmetscha.

— Tu stacja na Stronie Odległej, sir. Mamy bezpośrednie połączenie video z „Perłą”, poprzednio jedną z asteroid Gromady Egipskiej, obecnie statkiem międzyplanetarnym, przepraszam — międzygwiazdowym. — Przy tych słowach lekko się zakrztusił. Zerknął na drugi ekran szukając w nim moralnego wsparcia. — Zażądano od nas gorącej linii łączącej z panem w Głównym Biurze Koordynatorów Generalnych, a także przesłania tamtej niezwyklej wiadomości.

Nastąpiła dość długa przerwa, ponieważ sygnały ze Strony Odległej musiały być przekazywane na Ziemię przez jedną stację przekaźnikową na niskiej orbicie księżycowej i drugą w punkcie L-5, a potem biegły tą samą drogą z powrotem. Twarz Dolmetscha w momencie, gdy ujrzał na swym ekranie świetlistą kulę, przypominała studium portretowe. Zanim znowu przemówił odmalowały się na niej kolejno zakłopotanie, trwoga i podniecenie.

— Czy to Betha? Gdzie jesteś? Obraz, który otrzymuję, nie może pochodzić z Gromady — jest zbyt wyraźny.

— Zmieniłam położenie, Laszlo. I tak zamierzaliśmy to zrobić za rok czy dwa. Doszliśmy do wniosku, że trzeba wszystko przyspieszyć. Domyślasz się pewnie, co nas do tego skłoniło — załamanie ekonomiczne na Ziemi i przemiana Johna Larsena w Lozianina. W tej chwili okrążam „Perłą” Księżyc, kierując ją na niską orbitę wokółziemską.

Dolmetsch posępnie kiwał głową. Jego ogromny nos w kształcie dzioba nadawał mu wygląd drapieżnego ptaka zamierzającego właśnie rzucić się na ofiarę.

— Masz rację, jeśli chodzi o sytuację tutaj — powiedział i westchnął. — Z każdą godziną staje się coraz gorsza. Nie trzymamy nawet już tego w tajemnicy. Wypróbowano wszystkie znane mi czynniki korygujące, ale przypomina to budowanie tamy z piasku w nadziei, że powstrzyma się falę przyływu. Czy Robert jest z tobą?

— Nie. On rozpoczął już inną misję. Wiesz, Laszlo, że ja nie mogę wylądować na Ziemi. Wszystkie zmiany przebiegają pomyślnie i jestem gotowa do Fazy Drugiej. Wybraliśmy już gwiazdę. Nie ma sposobu, abym w swej obecnej formie mogła się zbliżyć do powierzchni planety. Ale oboje z Robertem zdawaliśmy sobie sprawę, że tylko wtedy, gdy zjawię się tu osobiście, dasz się przekonać i postąpisz zgodnie z naszymi wskazówkami.

— Kto to jest Robert? — zapytał Alfeo cicho Tema. — Czy to nie ty zaledwie parę godzin temu narzekałeś, że nic ciekawego nie dzieje się na dyżurach na Stronie Odległej?...

— Przyleć na naszą orbitę — ciągnęła Betha Mestel. — Będziesz mógł wejść na Perłę. Weź ze sobą Koordynatorów Generalnych, ilu tylko zdołasz namówić. Ich trzeba przekonać nawet bardziej niż ciebie. Człowiek, który jest ze mną — Park Green — wróci z tobą na Ziemię. Ma on wszystkie materiały pozostawione przez Roberta, w tym ogólną teorię stabilizacji.

Przerwa przed następną odpowiedzią trwała znacznie dłużej niż przed innymi. Wreszcie, wyraźnie sceptycznym tonem, Dolmetsch powiedział:

— Betha, znamy się zbyt długo, by się nawzajem okłamywać. Myślę, że po prostu bardzo się mylisz. Wiesz, jak długo próbowaliśmy stworzyć ogólną teorię i ile nas to wysiłku kosztowało. Mówiłem to już wielokrotnie, ale pozwól, że jeszcze raz powtórzę. Praca, jaką wykonałem, okazała się bardzo pożyteczna, to nie ulega wątpliwości. Ale można mnie porównać co najwyżej z Keplerem lub Faradayem. Nadal czekamy na Newtona albo Maxwella, który by wyjaśnił cały mój empiryczny dorobek za pomocą tego, co fundamentalne: praw matematycznych, będących podstawą wszystkiego. A ty mi mówisz, że je znamy, i to w momencie, kiedy są najbardziej potrzebne!... Wybacz, ale trudno mi uwierzyć w tak zdumiewający zbieg okoliczności. Czy chcesz mi powiedzieć, że ten pan Green, tak po prostu opracował ogólną teorię?!...

— Nie. On nie jest ekonomistą-teoretykiem; nie zna nawet podstaw tej gałęzi wiedzy. Laszlo, w ciągu ostatniego miesiąca czy dwóch dowiedziałam się o czymś ważnym. Ty też musisz się o tym dowiedzieć. W Układzie Słonecznym działa teraz ktoś obdarzony takim umysłem, że w porównaniu z nim ty i Robert wydajecie się dziećmi. Wyszedszy od rezultatów twojej pracy w ciągu paru tygodni dotarł do podstaw teoretycznych.

— Parę tygodni! — Ton sceptycyzmu w głosie Dolmetscha zabrzmiał jeszcze wyraźniej. — Ja nad tym pracowałem przez wiele lat. Chciałbym zobaczyć tego supermena, a także poznać szczegóły tej jego teorii, zanim ją zaakceptuję lub zezwolę na jej wykorzystanie!

— Kiedyś już go widziałeś, ale teraz spotkanie z nim jest niemożliwe. Teorii będziesz się mógł przyjrzeć, gdy tylko się tu zjawisz. Jest rozwinięta na tyle, że pozwala określić czynniki korygujące potrzebne do powstrzymania oscylacji ekonomicznych.

— Betha, to niemożliwe, obojętne, czy to teoria ogólna, czy szczególna. Czy nie rozumiesz, że trzeba leczyć przyczyny, a nie symptomy?... Najpierw trzeba wiedzieć, co wywołało nowe oscylacje!

— Oczywiście, ty też zrozumiesz wszystko, kiedy zobaczysz ewidentne dowody. Potrafimy określić, co spowodowało niepokoje. Możesz sprawdzić to sam. Praprzyczyna pojawiła się w chwili, gdy świat obiegła plotka o naszym kontakcie z obcą cywilizacją. Inaczej mówiąc, w tym konkretnym dniu, kiedy John Larsen zakończył proces swej przemiany w formę łożiańską.

Dolmetsch zastanawiał się przez chwilę.

— Czas by się zgadzał — przyznał niechętnie. — Wtedy się wszystko zaczęło. Od tego dnia było już tylko coraz gorzej. Mów dalej, Betha.

— Resztę możesz dopowiedzieć sobie sam. Co jest najczęstszym powodem niestabilności?

— Perturbacje psychologiczne. — Dolmetsch uniósł brwi starając się lepiej skoncentrować. — Zawsze podejrzewaliśmy, że zmiana zwyczajowych postaw okaże się najprawdopodobniej początkiem ogólnoświatowej destabilizacji. Twierdzisz, że przyczyną stały się plotki o Larsenie? Być może. Ludzie mogą zmienić poglądy na wiele spraw, gdy rozchodzą się wieści, że wylądowali tu przybysze z Kosmosu. Ksenofobia była zawsze ogromną siłą, a pogłoski o nieśmiertelności i superinteligencji krążą już od dawna na Ziemi.

Potrząsnął głową.

— Chciałbym ci wierzyć, Betha, ale czy nie brzmi to zbyt nieprawdopodobnie: ogólna teoria przynosząca rozwiązanie dokładnie w momencie, kiedy go tak bardzo potrzebujemy?

— Brzmiałoby, gdyby oba wydarzenia były od siebie niezależne. Ale łączy je ścisły związek. W rzeczywistości destabilizację spowodowała forma łożiańska i to ona także wytworzyła umysł zdolny tę destabilizację zrozumieć i opracować środki zaradcze. To nie przypadek, to k o n s e k w e n c j a. Oba zdarzenia mają jedną przyczynę. Jest nią powstanie formy łożiańskiej.

W czasie gdy rozmawiali, „Perła” okrążyła Księżyc, kierując się w stronę orbity wokółziemskiej. Gdy geometria na to pozwoliła, przesyłanie sygnału na Ziemię zostało automatycznie przekazane stacji w punkcie L-5. Odbiór na Stronie Odległej zaczął się pogarszać. Tem i Alfeo nachylili się nad ekranem, usiłując dosłyszeć słabnące głosy.

— Będę, gdzie trzeba, w chwili gdy przybędziecie — powiedział Dolmetsch. Jego głos brzmiał pewnie, wyglądało na to, że już podjął decyzję. — Nie macie pojęcia, jak fatalna jest sytuacja. Gdybym zbyt długo zwlekał z wprowadzeniem nowych czynników korekcyjnych, mogłoby się okazać, że jest już za późno na jakąkolwiek poprawę. Czy nie udałoby się wam przesłać mi od razu pierwszych fragmentów? Mogłbym się z nimi zapoznać, jeszcze zanim dotrzecie na miejsce naszego spotkania na orbicie.

— Żaden problem. Jak tylko otworzysz nam oddzielny kanał dla danych, rozpoczniemy transmisję.

Zakłócenia sygnałów odbieranych na Stronie Odległej gwałtownie wzrastały. Alfeo ustawił głośność na maksimum, ale dźwięki ginęły co chwila, gdyż nadawano je spod horyzontu księżycowego.

— Gdzie jest teraz Robert Capman? — pytał Laszlo Dolmetsch. Jego głos ledwo przebijał się przez zakłócenia.

Tem i Alfeo kucnęli przy konsoli i czekali w napięciu na odpowiedź Mestel.

— Co ona powiedziała? — wyszeptał Tem.

Alfeo potrząsnął głową. Teraz było już tylko słyszeć wzmocniony szum zakłóceń pochodzenia międzyplanetarnego, mieszający się z trzaskami i szmerami emitowanymi przez odległe słońca. Odpowiedź Bethy Mestel przepadła na zawsze, zagubiona w kosmicznym morzu fal radiowych.

Dyzury na Stronie Odległej, jeśli nie były po prostu nudne, mogły się okazać okropnie irytujące.

## ROZDZIAŁ 23

Na zewnątrz orbity Jowisza Układ Słoneczny żyje w odmiennym tempie. Obowiązują tam zupełnie inne miary czasu i przestrzeni. Puls krążącego majestatycznie wokół Słońca Saturna, którego od gwiazdy centralnej dzieli dystans prawie półtora miliarda kilometrów, bije trzydzieści razy wolniej od ziemskiego. Nawet z tak dużego oddalenia ta olbrzymia planeta wydawała się cztery razy większa od Księżyca widzianego z Ziemi. Kąt, pod którym nadlatywał Bey, powodował, że pierścienie poszerzały średnicę Saturna niemal dwukrotnie.

Bey popatrzył na odczyt i sprawdził, ile czasu pozostało do momentu spotkania. Miał spędzić jeszcze tylko kilka dni w pojeździe, a nie znał tempa procesu przeformowania odwrotnego. Sądził, że będzie szybkie —jakość całej aparatury przeformowującej przewyższała o rząd wielkości poziom większości laboratoriów komercyjnych, wielu programów znajdujących się w bibliotece nie znał w ogóle. Uznał, że tak czy inaczej, lepiej wejść do komory trochę wcześniej niż trochę za późno.

Capman na pewno by na niego poczekał. Problem leżał gdzie indziej. Bey nie zamierzał czekać dłużej, niż to było konieczne, na wyjaśnienia Capmana i potwierdzenie własnych teorii, które dojrzywały w jego umyśle od chwili, gdy opuścił Ziemię. A nawet jeszcze wcześniej. Bey przypomniał sobie swą reakcję sprzed lat, gdy John Larsen doniósł mu o nie zidentyfikowanej wątrobie.

Ze znajdującej się na statku bazy danych, opracowanej przez Bethę Mestel, uzyskał informacje o misji „Perły”, wiozącej na Ziemię niezwykle, bezcenne formuły, których zastosowanie miało doprowadzić do ustabilizowania sytuacji. Nie znalazł tam jednak niczego na temat jego własnego zadania. Bey westchnął. Już wkrótce z pewnością się dowie.

Po raz ostatni popatrzył na otoczoną pierścieniami planetę, rosnącą w oczach przed dziobem statku, i na znajdujące się daleko z tyłu Słońce, które wyglądało jak rozżarzony łypek od szpilki. Nadal miało niewłaściwy kolor. Dość niechętnie, wiedząc, że czekają go mało interesujące chwile w komorze, Bey nastawił automatyczne sterowanie. Wsunął się do umieszczonego w centralnej części statku zbiornika, wywołał odpowiedni program i rozpoczął przekształcanie.

Dopisało mu szczęście, a może pomogły umiejętności — w każdym razie, jak się okazało, wyliczył czas właściwy. Kiedy opuścił komorę, kolosalne cielsko Saturna wypełniało nieboskłon niczym pokryty prążkami i cętkami balon. Pracował już system korekty trajektorii. Statek minął księżycy zewnętrzne, przemknął między Enceladusem i Mimasem i zdążył ku zamkniętej orbicie wewnątrz najbardziej tajemniczego pierścienia planety.

Bey popatrzył na Słońce. Jego rozmiary kątowe wynosiły tylko jedną setną rozmiarów widzianych z Ziemi, ale miało już właściwą sobie żółtą barwę. Wszelkie ślady fioletu znikły. Usta przestały być suche. Gdy wyciągał rękę w stronę pulpitu kontrolnego, poczuł, że odzyskał pełną zdolność koordynacji ruchów. Z konsoli lampka ostrzegawcza mrugała do niego natarczywie niby szmaragdowy robaczek świętojański.

Bey miał nerwy ze stali. Tak przynajmniej twierdził. Drzenie dłoni sięgającej do przycisku musiało więc być spóźnionym efektem ubocznym procedury przeformowującej. Po krótkiej chwili westchnął głęboko i nacisnął klawisz.

Na ekranie natychmiast pojawiła się ocena kierunku i odległości, z jakiej wysyłano do niego sygnał. Drugi statek znajdował się na orbicie spiralnej, po której obniżał się ku górnym warstwom atmosfery Saturna — dzieliło go od Wolfa niecałe dziesięć tysięcy kilometrów. Dzięki sygnałowi video odtwarzanemu na ekranie, Bey mógł przyjrzeć się wyposażeniu tamtego pojazdu. Wyglądało dość nietypowo: żadnej komory przeformowującej ani standardowego pomieszczenia sypialnego. Natomiast postać, która przykucnęła przy konsoli komputera, była mu dobrze znajoma. Nikt nie pomyliłby masywnego torsu i pomarszczonej skóry. Bey przez kilka sekund przyglądał się tej osobie w milczeniu i doszedł do wniosku, że tamten nie zdawał sobie sprawy, iż jest obserwowany. Monitor musiał znajdować się w innym miejscu konsoli.

— John — odezwał się wreszcie Bey. — Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, nie myślałem, że się tutaj spotkamy. Przebyliśmy długą drogę z Biura Kontroli Form, nie sądzisz?

Loziańska postać obróciła się w kierunku kamery video i spojrzała na Beya ogromnymi błyszczącymi oczami.

— No, John! — powiedział Bey po kolejnej chwili milczenia. — Mógłbyś przynajmniej przywitać się ze mną.

Szeroka twarz pozostała nieprzenikniona, ale górna część ciała razem z głową nieco drgnęła. Po chwili poruszyły się także usta.

— Popełnił pan naturalną pomyłkę, z mojej zresztą winy. Panie Wolf, nie jestem Johnem Larsenem, jestem Robertem Capmanem. Witam w naszym gronie!

Capman dał Beyowi trochę czasu na uświadomienie sobie konsekwencji tego, co powiedział, po czym odezwał się znowu.

— Z przyjemnością stwierdzam, że jest pan w nie gorszej formie niż przed przeformowaniem. Czy wolno zapytać, kiedy uświadomił pan sobie istotę zmian, którym go poddano?

— Kiedy? — Bey zastanawiał się przez moment. — Gdy odzyskałem świadomość w komorze, wiedziałem już, że zostałem przeformowany. To, że przeobrażenie wpłynęło na moje zmysły, zrozumiałem, kiedy zobaczyłem Słońce. Wyglądało tak, jakby skutkiem efektu Dopplera jego barwa zmieniła się na fioletową. Wrażenie nie mogło być prawdziwe: statek oddalał się od Słońca, a poza tym nie leciał aż tak szybko. Nadal jednak nie chwyciłem istoty przeformowania. Nie rozumiałem jej nawet wtedy, gdy zauważyłem, że silniki wydają dziwny dźwięk. Nie błysnęła szczególną inteligencją. Dopiero obserwując zaćmienie Io przez Jowisza, spostrzegłem że przebiega ono bardzo szybko, o wiele prędzej niż powinno. Prawa fizyki raczej się nie zmieniają, przyczyna musiała zatem tkwić we mnie. Była to subiektywna zmiana tempa przepływu czasu. Zostałem po prostu spowolniony.

Loziańska forma Capmana powoli kiwała głową.

— A więc konkretnie w jakim momencie zrozumiał pan co się stało?

— Wydaje mi się, że nastąpiło to jakieś dziesięć minut po opuszczeniu przeze mnie komory. Powinienem wpaść na to wcześniej — wiedziałem przecież wszystko o projekcie Regulator Czasu. Odkąd odkryliśmy pańskie podziemne laboratorium, spodziewałem się natknąć na osoby, które spowolniono właśnie tak, jak spotkało mnie to teraz. Widocznie przez jakiś czas od chwili zakończenia procesu przeformowywania mój umysł pracował mniej sprawnie niż zazwyczaj.

Łożnianin kiwał teraz głową w innym rytmie. Bey wiedział już, że odpowiada to ludzkiemu uśmiechowi.

— Panie Wolf, może zainteresuje pana, że przed opuszczeniem „Perły” założyłem się z Bethą Mestel. Ona twierdziła, że zanim uświadomi pan sobie zmiany, jakie zaszły w panu w wyniku przeformowania, minie wiele czasu. Myślała, iż zrozumie je pan dopiero wtedy, gdy przeczyta o nich w bazie danych znajdującej się na statku. Byłem innego zdania. Uważałem, że odkryje pan wszystko sam i to przed upływem dwóch godzin od momentu opuszczenia komory.

Capman potarł trójpalczystą łapą nabrzmiały guz znajdujący się poniżej klatki piersiowej.

— Widzę teraz, że nie ustaliliśmy jednego szczegółu, a mianowicie jak mógłbym odebrać wygraną. Trzy miesiące temu Betha Mestel przekazała Dolmetschowi równanie stabilizacyjne. Obecnie jest w drodze poza Układ i nie wróci tutaj przez parę stuleci. Mogła bezkarnie pozwolić sobie na taki zakład!

Wygląd i zmiany strukturalne nie miały znaczenia. To był wciąż ten sam Robert Capman. Bey był o tym absolutnie przekonany. Po raz kolejny potwierdziła się słuszność uwagi Capmana, poczynionej w czasie ich pierwszego spotkania: obaj będą się zawsze rozpoznawać bez względu na to, jakim zmianom ulegnie ich wygląd zewnętrzny.

Zanim Bey zdążył odezwać się znowu, nagle kolorowy błysk rozjaśnił ekran konsoli drugiego statku.

— Chwileczkę — powiedział Capman. Wpatrzył się w ekran i nagle znieruchomiał. Na króciutki moment owal na jego piersi stał się oszalamiającym puentylistycznym obrazem stworzonym z kolorowego światła. Obraz ten zniknął równie szybko, jak powstał, i owal z powrotem przybrał jednostajnie szarą barwę. Capman ponownie odwrócił się do Beya.

— Przepraszam za tę przerwę. Musiałem poinformować Johna Larsena o tym, co się tu dzieje. Chciał wiedzieć, czy już pan przybył. Jest teraz bardzo zajęty — przygotowuje się do wejścia w atmosferę — ale pragnąłby nawiązać z panem normalny kontakt. Mam na myśli kontakt głosowy i wizualny.

— A pan jak się z nim porozumiewa? Widziałem, jak John zmienia zabarwienie owalu na piersi, ale zawsze był to tylko jeden kolor w danym momencie. Pan posłużył się całą mozaiką barwnych elementów.

Capman skinął potwierdzająco głową i tułowiem.

— Był to szybki transfer informacji. Nie chciałem zabierać Johnowi zbyt wiele czasu na wyjaśnianie, co tutaj robimy. Nazywamy to modemem przyspieszonym. Odkryliśmy ten sposób zaraz po przeformowaniu Johna, ale chciałem go zachować wyłącznie do porozumiewania się między nami dwoma, tak więc nikomu o nim nie mówiliśmy. Stosując go, można przysyłać informacje tysiące razy szybciej niż za pomocą metod konwencjonalnych.

— Czy pan nieco nie przesadza z tą szybkością? — zapytał Bey, który nie potrafił sobie wyobrazić, by można było przekazywać wiadomości w tempie setek tysięcy słów na minutę.

— Absolutnie nie. Może nawet trochę ją zaniżyłem. Podejrzewam, że właśnie w ten sposób Łożnianie porozumiewali się między sobą, a mową posługiwali się tylko wówczas, gdy nie mogli spoglądać na ekrany na piersiach rozmówców. Jest to po prostu kwestia efektywności przekazu danych. Na ekranie Łożnianina może powstać pojedynczy wyrazisty kolorowy punkcik o średnicy około trzech milimetrów. Proszę spojrzeć.

Na piersi Capmana pojawiła się nagle świetlna pomarańczowa plamka, a obok niej druga — zielona.

— Mogę im nadać dowolny kolor, od ultrafioletu do podczerwieni. Oko Łożnianina z łatwością rozróżnia kropki z odległości kilku metrów. Był to zapewne typowy dystans przy prowadzeniu konwersacji. Każdy punkcik może zmienić barwę niezależnie od innych.

Obie kropki zmieniły swoje kolory, po czym cały ekran zawirował, mieniając się

najróżnorodniejszymi barwami. Po krótkiej chwili całość stała się znowu jednostajnie szara.

— Zmieniłem teraz kolory z szybkością bliską maksymalnej. Utrzymywanie takiego tempa dłużej niż parę sekund jest bardzo męczące, chociaż Johnowi udawało się nie zmniejszać go przez kilka minut, kiedy musiał przekazać natychmiast masę informacji. Teraz trochę arytmetyki. Ekran na mojej piersi ma wymiary czterdzieści pięć na trzydzieści pięć centymetrów. To pozwala na stosowanie około szesnastu tysięcy punktów w funkcji niezależnych transponderów danych. Gdyby John tu był, mógłby bezpośrednio je odczytywać. Jego oczy, a także centralny system nerwowy, są w stanie odebrać taką ilość informacji. Gdybyśmy się naprawdę spieszyli, podszedłby bliżej, a ja zmniejszyłbym rozmiar punktu do jednego milimetra. Jest to wielkość minimalna. Liczba kanałów wzrasta do ponad stu tysięcy, a każdy z nich może przekazać mniej więcej tyle sygnałów, co obwód głosowy. Byłaby to dla nas obu ciężka praca. Raz ją już kiedyś wykonaliśmy, aby zobaczyć, jakie są granice możliwości.

Bey ze smutkiem kiwał głową.

— Wiedziałem, że jest coś dziwnego w systemie komunikacyjnym, który zainstalował pan w komorze na Ziemi. Nie było powodu, żeby miał aż tak wielką pojemność. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy coś takiego.

— Przyszłoby panu, gdybyśmy częściej korzystali z tego sposobu. Kiedy John użył modu przyspieszonego do przesłania mi informacji na „Perłę”, obawiałem się, że ktoś może zauważyć przeładowanie linii komunikacyjnej i zacznie badać tego przyczyny. Było to raczej mało prawdopodobne, ale wie pan dobrze, że nie ma czegoś takiego jak absolutnie tajna operacja. Zawsze trzeba wysyłać i otrzymywać informacje i czasem można przez to wpaść. John starał się być ostrożny, niemniej niebezpieczeństwo istniało.

Bey usiadł na stołku obok ekranu komunikatora.

— Nie mam pojęcia, kto mógłby was odkryć. Próbowałem zrozumieć, co się naprawdę dzieje, i chyba znam część prawdy — ale tylko część. Domyślam się, że John zna ją całą.

— Doszedł do niej sam w parę dni po przyjęciu formy lożiańskiej. Jego zdolności umysłowe wzrosły tak bardzo, że na początku nie mogłem w to uwierzyć. Teraz widzę podobne zmiany i u siebie.

Ekran przed Capmanem rozbłysnął na chwilę kolorowym światłem.

— Za kilka minut John będzie komunikował się z nami za pomocą głosu — powiedział. — Jest bardzo zajęty, przeprowadza ostatnie testy statku.

— Chyba mówił pan, że zamierza wejść w atmosferę. Ale przecież on nie będzie mógł żyć na Saturnie! Forma, którą przybrał, jest dostosowana do warunków panujących na Łoży.

— Proszę się nie martwić. Jego statek posiada specjalne urządzenia. Mój też. Jeśli pan wyjrzy na zewnątrz, będzie pan mógł zobaczyć pojazd Johna. Z włączonym napędem termojądrowym wszedł już w górne warstwy atmosfery.

Bey popatrzył przez iluminator. Smuga fosforencji przesuwiała się miarowo w górnej atmosferze planety. Z każdą chwilą stawała się coraz jaśniejsza. Pojazd zanurzał się coraz głębiej w rozrzedzone gazy wysoko ponad powierzchnią Saturna. Za kilka minut jonizacja powinna uniemożliwić komunikację na falach radiowych. Bey poczuł ulgę, gdy włączył się nowy kanał i ukazał się obraz na drugim ekranie.

Obie formy lożiańskie były do siebie tak podobne, że na pierwszy rzut oka Bey nie mógł ich odróżnić. Mimo to dość łatwo dawało się je zidentyfikować. Druga postać otoczona była girlandami kroplówek i aparaturą monitorującą procesy fizjologiczne. Uniosła wysoko dłoń w geście pozdrowienia.

— Przepraszam, że nie mogłem zaczekać i powitać cię tutaj, Bey — powiedział John Larsen. — Kanał wlotowy jest bardzo wąski. Chcę opuścić się tak nisko, jak to tylko możliwe, nad pewne miejsce na planecie. Obliczyliśmy optymalną ze względu na wiatry i turbulencje lokację.

— John, przecież ty tam zginiesz!



— Przeżyję, przeżyję. Nie mam zamiaru popełniać samobójstwa. Na tym statku są takie urządzenia, jakich nigdy w życiu nie widziałeś. Monitorują warunki zewnętrzne i modyfikują programy przeformowujące tak, abym mógł się do nich dostosować. Tempo obniżania się pojazdu można kontrolować, jeśli więc okaże się to konieczne, będę opadać bardzo wolno. — John Larsen w swej lożańskiej postaci wydawał się nadzwyczaj pewny siebie. — Bey, lecąc tutaj miałeś trochę czasu na myślenie. Co udało ci się wydedukować?

Bey popatrzył na obie formy widoczne na oddzielnych ekranach.

— Domyśliłem się podstawowych faktów dotyczących prac przeprowadzanych w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Są dla mnie teraz całkowicie zrozumiałe. Nadal jednak nie rozumiem motywów. Ty je na pewno znasz, John.

— Racja. Ale jeśli stanowi to dla ciebie jakieś pocieszenie, musiano mi je wyjaśnić. Nie da się ich dociec za pomocą zwyczajnej logiki.

— To prawda — wtrącił się Capman. — Musi pan poznać niektóre nie ujawnione fakty z historii Ziemi, aby zrozumieć, dlaczego wolałem być uważany za mordercę, niż wyjawic prawdę o doświadczeniach. Ale interesuje mnie, jak daleko doprowadziło pana jego własne rozumowanie. Co panu wiadomo o moich pracach?

— Wiem, że nie jest pan mordercą, ale zanim to sobie uświadomiłem, musiało upłynąć sporo czasu. Rozumiem też, o co chodziło we wszystkich czterech projektach. Proteusz dotychczas podstawowych form do pracy w przestrzeni kosmicznej. Regulator Czasu pozwalał na zmianę tempa procesów życiowych. To już wiedziałem cztery lata temu. Sądzę, że Ryba Płucodyszna to Betha Mestel. Niedługo znajdzie się w zupełnie nowym otoczeniu — przestrzeni międzygwiazdnej. Jak długo potrwa jej podróż?

Capman wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Może dwieście, może trzysta lat. Zawsze była bardzo niezależna. Wróci, kiedy uzna, że jej się to opłaci. „Perła” jest teraz całkowicie samowystarczalna. Fuzja termojądrowa produkuje energię, która zapewni zbiornikom z algami dopływ światła, kiedy Słońce będzie już zbyt słabe. Betha ma też na pokładzie wirusa lożańskiego, na wypadek gdyby znużył ją potencjał obecnej formy i chciała spróbować nowej.

— Mam nadzieję, że będę oglądał jej powrót — powiedział Bey. — Widzę teraz, że istnieje realna szansa po temu. Wiesz, John, kiedy poinformowałeś mnie o tej wątrobie w Szpitalu Centralnym, nie chciałem wierzyć swemu instynktowi. Pierwszą moją myślą było, że wątroba pochodzi od bardzo starego dawcy, którego nie poddano identyfikacji chromosomowej. Musiałby mieć ponad sto lat. Doszedłem do wniosku, że nikt do przeszczepu nie używałby stuletniego organu. Potem Morris z Oddziału Transplantacji przeprowadził badanie wieku wątroby i stwierdził, że był to młody narząd. Wyglądało na to, że w swej pierwszej ocenie popełniłem pomyłkę. Tak jednak nie było. Mam rację?

— Oczywiście — przytaknął Capman. — Pański instynkt jak zawsze okazał się niezawodny.

— Jedyne projekt, o którym jeszcze nie mówiliśmy, to projekt Janus — ciągnął Bey. — Powinienem być dostrzec, że nadawał pan nazwy związane w jakiś sposób z zakresem badań. Janus był bogiem o dwóch twarzach. Mógł patrzeć jednocześnie w dwie strony. Opracował pan program przeformowujący, który „patrzył w obie strony” czasu, mógł przyspieszyć albo odwrócić proces starzenia. Wątroba pochodziła od bardzo starej osoby, która odmłodziła dzięki pańskim zabiegom. Zgadza się?

Capman przysłonił powiekami swe wielkie oczy. Kołysząc się miarowo na krześle, raz jeszcze przeżywał wydarzenia sprzed lat. Odpowiedział skinieniem głowy.

— Dawcą wątroby był stary człowiek. Co gorsza, był on moim przyjacielem. Niektóre eksperymenty kończyły się, niestety, klęską. Nie umiałem temu zapobiec.

Bey popatrzył na niego ze współczuciem.

— Nie powinien pan siebie winić za te niepowodzenia. Nie wszystko może się udawać.

Rozumiem, że wszyscy ci ludzie, na których eksperymentowano, to pańscy starzy przyjaciele, prawda? Ale oni przecież wiedzieli, jakie jest ryzyko, i nie mieli nic do stracenia.

Capman przytaknął znowu.

— Wszyscy oni osiągnęli już punkt, w którym sprzężenie zwrotne nie było już w stanie podtrzymywać normalnego życia organizmu. Mieli do wyboru: albo umrzeć zwyczajnie i szybko, albo zaryzykować resztę swego życia i poddać się doświadczeniom. Jak pan wie, stosowaliśmy ekstremalne sposoby, aby doprowadzić do przeformowania, ale nawet one nie zawsze okazywały się skuteczne. Zapewniam pana, że świadomość, iż śmierć tych osób była nieunikniona, wcale nie zmniejszała mego żalu. Gdy mój stary przyjaciel umierał w trakcie eksperymentu, czułem się jego zabójcą. Nie potrafiłem się uwolnić od poczucia winy.

— To mogę zrozumieć. Nie jestem natomiast w stanie pojąć uporą, z jakim starał się pan utrzymać w tajemnicy te smutne fakty. Gdyby wyjawiał pan światu prawdę, przyniosłoby to panu z pewnością ulgę, a nikt, kto zrozumiałby pańską pracę, nie winiłby pana o to, co się stało. Pańscy przyjaciele poddawali się dobrowolnie eksperymentom. Naprawdę nie mogę tego pojąć. Czemu nawet wtedy, gdy część prawdy wyszła na jaw, nie zmienił pan swej postawy. Dlaczego konieczne było zbudowanie tajnego laboratorium poza Ziemią?

Capman wciąż kiwał powoli głową w zamyśleniu. Westchnął ciężko.

— Panie Wolf, sam pan widzi, że jest to problem podstawowy. W rzeczywistości to nie ja podjąłem decyzję. Uważają mnie za wielokrotnego mordercę i potwora naszego stulecia. Nie marzyłem o takiej roli; została mi narzucona. Mógłbym nawet sugerować, że prawdziwymi zbrodniarzami są Laszlo Dolmetsch i Betha Melford, ale nie byłoby to prawdą.

— Betha Melford? Ma pan na myśli Bethę Mestel?

— To ta sama osoba. Wciąż używam nazwiska, które nosiła przed małżeństwem z Mestelem.

— Co o niej myślisz, Bey? — wtrącił się Larsen. — Musiałeś ją spotkać na „Perle”.

— Myślę, że jest cudowna, i przez cały czas zastanawiałem się, jak wyglądała przed przeformowaniem. Betha Melford. Czy jest spokrewniona z tymi Melfordami?

— Jest jedyną żyjącą spadkobierczynią Ergana Melforda. Z każdego honorarium otrzymanego przez KUB dwa procent idzie na konto Bethy. — Capman przerwał na chwilę i znowu pobiegł myślą w przeszłość. — Połączywszy swój majątek z fortuną Mestela stała się najbardziej wpływową osobą na Ziemi, zawsze jednak doskonale zdawała sobie sprawę, jak ważną jest rzeczą utrzymywanie w tajemnicy owego faktu.

— A teraz zrezygnowała z tego wszystkiego? — spytał Bey.

— Zrobiła to już wiele lat temu. Betha ma prawie sto trzydzieści lat, a kiedy rozpoczęliśmy doświadczenia z odmładzaniem, nie mogła otrzymać żadnej gwarancji, że je przetrzyma. Jej majątkiem na Ziemi i w FPZ zarządza niewielka grupa ludzi.

— Pan do niej należy?

Capman potwierdził.

— Należę. Dolmetsch również. Uprzedzałem, że zanim będzie pan w stanie wszystko zrozumieć, musi pan poznać pewne fakty z historii. Żadnego z nich nie odnotowano w kronikach.

Dla mnie samego cała sprawa zaczęła się, gdy byłem jeszcze studentem, po moim powrocie z uniwersytetu w Europie. Rozpocząłem pracę w Fundacji Melforda i tam poznałem Bethę. Beyu Wolf, jeśli pan uważa, że była cudowna na „Perle”, to powinien pan ją zobaczyć wówczas. Wysoka, doskonale ubrana, miała w sobie tyle wyniosłości, że jednym gestem głowy, otoczonej koroną szarych włosów, potrafiła osadzić na miejscu pewnego siebie młodego człowieka, który myślał, że zjadł wszystkie rozumy.

— Mówi pan o sobie? — zapytał Bey.

— Myślałem teraz o Laszlo Dolmetschu. — Tym razem kiwnięcie głowy oznaczało uśmiech. — Ale dotyczy to chyba także i mnie. Przedstawiła nas sobie na jednym z jej przy-

jęć. Namówiła mnie na drinka. Powiedziała, że spełni on rolę mechanizmu obronnego, dopóki nie nauczę się, co należy robić z rękami. Następnie poznała mnie z niektórymi spośród najbogatszych ludzi na naszej planecie. Kiedy całkiem już zmiękłem, zaprowadziła mnie na taras. Siedział tam samotnie Laszlo Dolmetsch.

„Laszlo — zwróciła się do niego Betha. — Przedstawiam ci Roberta Capmana. Powinności się dobrze poznać, chociaż najpierw pewnie się znenawidzicie”.

Dolmetsch wyglądał wtedy dokładnie jak teraz — ten sam wielki, wystający nos, te same zapadłe oczy. Nie wiem, jakim wzrokiem patrzyłem na niego, ale on uniósł wysoko czoło i ponad swym nosem rzucił mi gniewne spojrzenie.

Betha Melford potrząsnęła głową. „Obaj jesteście siebie warci. Żaden z was nie ma pojęcia o dobrych manierach. Nieważne, kiedyś je poznacie. Teraz wracam na przyjęcie. Poszukajcie mnie, kiedy już nie będziecie mogli na siebie patrzeć, ale nie wcześniej”.

Upłynęła dobra chwila, zanim byliśmy w stanie coś powiedzieć, żaden z nas nie wiedział, jak zacząć rozmowę. No więc w końcu Dolmetsch spytał mnie, czy wiem cokolwiek o modelach ekonometrycznych. Nie wiedziałem. Z kolei ja zapytałem, jaka jest jego wiedza na temat teorii przeformowań. „Absolutnie zerowa” — odparł. Dopiero kiedy któryś z nas wspomniiał o teorii katastrof, okazało się, że mamy temat do rozmowy. Ja posługiwałem się nią w przeformowywaniu do tworzenia rozwidleń, a on wbudował ją w swój model oddziaływania technologii na systemy społeczne. Od tej chwili rozmawialiśmy już bez przerwy. Omówiliśmy teorię reprezentacji, stabilność i definitywne granice technologii. Kiedy Betha wróciła do nas, wstał już nowy dzień. Słuchała nas może przez dwie minuty — prawdę mówiąc nie bardzo zwracaliśmy na nią uwagę — po czym powiedziała: „No dobra, ja idę do łóżka. Pozostali goście wyszli już kilka godzin temu. Gorące śniadanie znajdziecie w jadalni w zachodnim skrzydle. Możecie tam kontynuować swoją rozmowę. Przypomnijcie mi jutro, abym wam powiedziała o Klubie Księżycowym”.

Taki był początek. Po tej nocy uświadomiliśmy sobie obaj, że musimy pracować razem. Gdy tylko któryś z moich pomysłów dotyczących przeformowywania nabierał realnych kształtów, wprowadzaliśmy go do programów Dolmetscha modelujących ekonomię Ziemi i FPZ. Prognozy były przygnębiające. Większość zmian, o jakich myślałem, powodowała destabilizację, a niektóre — kompletną katastrofę. Najgorsze były przeformowania odmładzające. Paru ludzi mogłoby żyć znacznie dłużej, ale gdyby tylko informacje o tym dotarły do wiadomości publicznej, cała ekonomia załamałaby się zupełnie.

— Przeprowadzaliście jednak doświadczenia — zauważył Bey.

Capman skinął głową.

— Mieliśmy do czynienia z dwoma sprzecznymi potrzebami. Należało — na ile to było możliwe — stabilizować sytuację na Ziemi. Ale jednocześnie trzeba było sprostać nowym wyzwaniom — badać Wszechświat poza naszą rodzimą planetą, daleko poza granicami FPZ. Wie pan, co uczyniliśmy. Mając zagwarantowaną pomoc Bethy zeszliśmy pod ziemię. Betha finansowała nasze poczynania. Otrzymaliśmy także wsparcie od innych członków Klubu Księżycowego. Była to niewielka grupa bardzo wpływowych osobistości, które łączyła troska o przyszłość naszej cywilizacji. Wzorowali się na Klubie Księżycowym działającym w Anglii w drugiej połowie osiemnastego wieku. Większość z nich już nie żyje. Wielu umarło w trakcie eksperymentów. Do udziału w nich zgłaszali się ochotniczo, gdy dowiedzieli się, że ich naturalna śmierć jest już kwestią paru miesięcy lub tygodni.

Zamilkł na dłuższą chwilę. Larsen włączył kanał, którego nie odbierał statek Capmana, i powiedział cicho do Beya.

— Żył z tym przez osiemdziesiąt lat i ciągle jeszcze nie może się pogodzić ze śmiercią ludzi odmładzanych w komorach przeformowujących. Za kilka minut wejść w atmosferę i kontakt między nami zostanie przerwany. Powinien pozbyć się tego brzemienia.

— Nie rozumiem, jak to mogło trwać przez osiemdziesiąt lat, John — powiedział Bey.

— Dowody, które zebraliśmy, mówią tylko o trzydziestu.

— Trzydzieści lat temu przenieśli główną bazę operacyjną na „Perłę”. Resztę aparatury Capman przewiózł do laboratorium w podziemiach Szpitala Centralnego. Dolmetsch twierdził, że stanowi to akceptowalne ryzyko. Obliczył, że w przypadku odkrycia laboratorium efekt społeczny będzie ograniczony i możliwy do stłumienia.

— John, ile spośród tych spraw jesteś w stanie zrozumieć? Czy ogólna teoria stabilizacji zadziała?

— W ograniczonym zakresie. Nadal nie możemy dopuścić, aby ludzie się dowiedzieli, że odmładzanie jest możliwe. Rozumiem większość tych zagadnień i rozwiązań — przez ostatnich parę miesięcy pomagałem Capmanowi w opracowaniu teorii. Ale nie chcę cię wprowadzać w błąd, Bey. Wiesz, jak bardzo zmienił się mój umysł, odkąd przyjąłem formę lożiańską. To samo dotyczy Capmana, ale on startował ze znacznie wyższego pułapu. Nadal nie nadążam za jego myślami.

Larsen przerwał i spojrział na ekran umieszczony w jego kabinie kontrolnej.

— Za chwilę wchodzę w atmosferę i utracimy kontakt radiowy — powtórzył. — Będziemy go mogli nawiązać ponownie za kilka godzin. — Przełączył się znów na kanał odbierany także na statku Capmana. — Sześćdziesiąt sekund do zaniku sygnału.

— John — powiedział szybko Bey. — Ciągle nie wiem, po co tam lecicie. Musi się to wiązać z ogromnym ryzykiem!

— Mniejszym niż sądzisz. Obliczyliśmy to. Po co tam lecimy? Odwołaj się do swojej wyobraźni, Bey. Sądzimy, że istnieje tam życie, i że ludzie po przybraniu form lożiańskich będą mogli tam zamieszkać. To nasz drugi przyczółek, obszar o powierzchni dziewięćdziesiąt razy większej od powierzchni Ziemi. Jeżeli nadejdzie załamanie — chociaż wierzymy, że ono nie nastąpi — trzeba mieć przygotowane inne tereny do zasiedlenia.

Statek Larsena pogrążał się coraz głębiej w atmosferze Saturna i jakość odbioru gwałtownie się pogarszała. John zdawał sobie z tego sprawę. Uniósł wysoko jedno ze swoich masywnych ramion i szybko wyrzucił z siebie ostatnie słowa.

— Zobaczmy się niedługo, Bey. Wskakuj za mną, woda jest ciepła!...

Bey patrzył na ekran i obserwował smugę zjonizowanych gazów znaczącą na tarczy Saturna ślad nurkującego statku Larsena. Wejście w atmosferę nie stanowiło zbyt zachęcającej perspektywy. Grawitacja na powierzchni Saturna jest bardzo zbliżona do ziemskiej, ale ponieważ prędkość ucieczki ma wartość trzy razy większą, manewrowanie na niskiej orbicie było zadaniem niezwykle trudnym.

— Panie Wolf, proszę się tak nie martwić. — Capman ocknąwszy się z zamyślenia dostrzegł niepokój malujący się na twarzy Beya. — Przeprowadziliśmy szczegółowe obliczenia. Jeśli w dolnej atmosferze Saturna nie występują jakieś nieznane efekty, nie zagraża Larsenowi żadne poważne niebezpieczeństwo.

— Czy ma pan zamiar pójść w jego ślady? — spytał Bey.

— Być może. Domyślam się, że tak naprawdę interesuje pana coś innego. To fakt, że wszystkie informacje mogliśmy przekazać panu drogą radiową. Dlaczego więc na miejsce naszej pogawędki wybrałem okolice Saturna, po co ciągnąłem pana aż tak daleko? I tak, z uwagi na moją obecną postać, nie możemy spotkać się osobiście, nawet gdyby istniały poważne powody po temu.

— Rzeczywiście o to pytałem — odparł Bey. — Mógłbym użyć innych sformułowań, ale sens byłby właśnie taki.

— W takim razie, skoro ja zadałem pańskie pytanie, może by pan spróbował za mnie odpowiedzieć na nie?

Bey uśmiechnął się.

— Jest jedna raczej oczywista odpowiedź. Chciałby pan, abym wziął udział w eksperymencie. Żebyśmy przyjął postać Lożianina i opuścił się na powierzchnię Saturna.

— No i?...

— Jak powiedziałem, odpowiedź jest dość oczywista, ale jeśli zachowałem zdolność czytania między wierszami, na pewno nie pełna. Tyle, że nie potrafię określić konkretnie, o co tu chodzi.

Capman siedział nieruchomo na swym krześle, spoglądając wielkimi oczami gdzieś przed siebie.

— Sprawa nie jest prosta — powiedział. — Jak wiele innych wiąże się z pewnym wyborem. Proszę mi powiedzieć, czy badając mój życiorys natknął się pan kiedykolwiek na mój profil psychologiczny?

Bey skinął głową.

— Owszem, ale na jakiś bardzo stary. Z okresu, gdy był pan nastolatkiem.

— To wystarczy. Czy zauważył pan w nim coś, co powinno zainteresować właśnie pana?

— Proszę nie żartować. Oczywiście, że tak: jest bardzo podobny do mojego. O wiele bardziej, niż mógłbym się spodziewać. W pewnym sensie podniosło mnie to na duchu. Niektóre oceny, jakie pan uzyskał były — ku memu zdumieniu — dość niskie, na przykład niewiele punktów przyznano panu za inteligencję. Mój profil zawsze trochę mnie martwił — dopóki nie ujrzałem pańskiego.

— Żaden z nas nie pasuje do przyjętych schematów — powiedział Capman demonstrując specyficzny uśmiech Lozianina. — Wątpię, czy w mojej obecnej postaci w ogóle uzyskałbym wynik pozytywny w teście człowieczeństwa. Pewnej liczbie osób do nas podobnych to się nie udało. Mogę teraz wyjawić, że i pan ledwo przebrnął. W tej chwili to nie ma znaczenia. Dla Ziemi nie jest obecnie problemem brak ludzi, nawet takich jak my. Przejdę teraz do sedna sprawy. Otóż ściągnąłem pana tutaj, aby zaproponować panu pewien wybór. Tej propozycji nie przedłożę nikomu innemu. Przedkładam ją panu ze względu na nasze zadziwiające pokrewieństwo umysłowe. Cokolwiek pan wybierze, wymagać to będzie pewnego poświęcenia.

Bey poczuł znowu narastające napięcie.

— Przyjąć postać Lozianina i badać Saturna...

Capman przytaknął.

— Albo?...

— ...powrócić na Ziemię i nadal pracować nad kontrolą form. Laszlo Dolmetsch i inni potrzebują pomocy osób dobrze znających teorię przeformowań. Jeśli wybiorę Saturna, wówczas pan sam wróci na Ziemię.

— Zgadza się. Jeżeli zdecyduje się pan pozostać tutaj, ja przybiorę pański wygląd i polecę na Ziemię. Jeden z nas tam być musi. Nikt nie będzie wątpił, że to powrócił Behrooz Wolf, ani w jego wiedzę o przeformowywaniu.

— Dla pana musi być czymś zupełnie oczywistym, że wolałbym pozostać tutaj. Same możliwości umysłowe, jakie otwierają się po przyjęciu formy loziańskiej, wystarczą, by podjąć taką decyzję.

— Właśnie. — Capman westchnął. — Tego nie da się ukryć. Mogę dodać jedynie to, że pobyt na Ziemi nie potrwa wiecznie. Kiedy tamtejsze problemy zostaną rozwiązane — albo przeciwnie, staną się beznadziejne — lub gdy wykształci pan swego następcę, eksperyment na Saturnie będzie trwał nadal. Pojawiają się kolejne zadania do wykonania. Betha jest pierwszą z serii Ryb Płucodysznych, nie ostatnią. Decyzja należy do pana. Ja przyjmę każdą z ról.

— Jak daleko może nas zaprowadzić przeformowywanie? Betha Mestel twierdzi, że jesteśmy dopiero na początku drogi.

— Istotnie. — Capman skinął głową. — Zaczynam podejrzewać, że podział na świat ożywiony i nieożywiony jest podziałem sztucznym. Jeśli tak jest w istocie, przeformowywa-

nie nie ma granic. Można wyobrazić sobie świadome myślącą istotę o rozmiarach planety albo gwiazdy. Będzie zbudowana zarówno z części organicznych, jak i nieorganicznych, podobnie jak Betha. Nie stwarza to żadnych logicznych problemów. Mam za to pytanie bardziej fundamentalne: w którym momencie taka istota przestaje być człowiekiem? Jeśli uznamy obecne testy człowieczeństwa za właściwe, wówczas każda kombinacja człowieka — lub kosmity — i maszyny powinna być uznana za osobnika ludzkiego, jeżeli tylko jest w stanie przeprowadzić świadome przeformowanie. Inne definicje mogą być jeszcze gorsze. Proszę mi powiedzieć, czy podjął już pan decyzję?

Bey milczał przez kilka minut, wpatrując się w przemykającą pod statkiem, pokrytą chmurami tarczę Saturna.

— Teraz ja o coś zapytam — powiedział w końcu. — Pamięta pan, jak czekaliśmy w Kopule Rozkoszy na decyzję, czy zezwolą nam na rozmowę ze specjalistami od przeformowań?

— Bardzo dobrze. Czemu pan pyta?

— Zanim ujrzeliśmy Newtona w ogrodzie w Woolsthorpe, pokazano nam scenę w katedrze. Jeśli Królowa Śniegu mówiła prawdę, scena ta obrazowała pragnienia jednego z nas. Czy zgodzi się pan, że byliśmy ofiarą, a nie oprawcą?

— Chyba tak.

— W takim razie kto był tą ofiarą, Behrooz Wolf czy Robert Capman?...

Capman westchnął.

— Ja również się nad tym zastanawiałem. Nie przypuszczam, żeby maszyna włączyła program, który nie interesowałby nas obu. I obaj byliśmy ofiarami.

Bey potwierdził skinieniem głowy. Twarz miał napiętą. Dwie formy, ludzka i loziańska, obserwowwały w milczeniu, jak brązowe i purpurowe chmury burzowe wynurzają się i zderzają pod ich pojazdami.

## ROZDZIAŁ 24

Taka rzecz nie powinna się zdarzyć, a jednak się zdarzyła. Tem Grad i Alfeo Masti zostali wyznaczeni do dyżuru na Stronie Odległej. Przylecieli ze Strony Bliskiej małą raketką, wylądowali w pobliżu zespołu kopuł i powoli podeszli do głównej śluzy wejściowej. Wkroczyli do wnętrza i rozejrzeli się po nim z niechęcią.

— Wiesz, co jest najgorsze, Tem? — spytał Alfeo, przechodząc z sali głównej do pomieszczenia sypialnego. — To okropne miejsce staje się naszym domem. Jeszcze dwa dyżury i nie będę chciał wracać na Stronę Bliską.

— Fakt. — Tem cisnął walizkę na koję i poklepał ją dłonią. — Tym razem jednak jestem przygotowany na wszystko. Wziąłem ze sobą listę obiektów naturalnych, żeby uzupełnić Rejestr Lloyda. Jeśli ktoś umieści na Jowisz silnik i ściągnie go tutaj, nie będzie problemu z jego identyfikacją!

— Być może masz już okazję skorzystać z niego — powiedział Alfeo. — To chyba monitor komunikacyjny w sali głównej? Ktoś chce nawiązać z nami kontakt. Zajmiesz się tym?

Grad pobiegł szybko do pomieszczenia telekomunikacyjnego. Nie było go przez kilka minut. Gdy wrócił, wyglądał na zaskoczonego.

— Jowisz? — zapytał Alfeo.

— Niestety nie. Normalny pojazd, chociaż po długiej podróży. Powraca z okolic Saturna. To jeden ze statków floty Melforda, prosi o orbitę podejścia do Ziemi.

— Wygląda to na zupełnie zwyczajną procedurę. Czemu marszczysz brwi?

— Nie rozumiałem jednej rzeczy. Chodzi mi o pilota. Kiedy podał identyfikację statku, poprosiłem go o nazwisko, żeby je umieścić w naszym sprawozdaniu.

— Okazał się kimś znanym?

— Bynajmniej. Nigdy o nim nie słyszałem. Zdziwił mnie sposób w jaki odpowiedział, zabrzmiało to jakby jakiś żart czy coś w tym rodzaju.

— Nie miałeś nigdy zbyt wielkiego poczucia humoru, Tem. Czy facet sprawiał wrażenie rozbawionego?

— Absolutnie nie. Już raczej smutnego.

— A więc co on właściwie powiedział?

— Powiedział: „Tu prawdziwy Behrooz Wolf powracający do ziemskich obowiązków”.

Charles Sheffield (1935), urodzony w Wielkiej Brytanii fizyk i pisarz, mieszka w USA od połowy lat sześćdziesiątych. Debiutował w fantastyce (po opublikowaniu setek artykułów i rozpraw popularnonaukowych i naukowych) opowiadaniem „What Song the Sirens Sang” (*Galaxy* 1977). Pierwsza powieść, *Proteusz 2200* (1978), miała kontynuację: *Proteus Unbound* (1989) i *Proteus in the Underworld* (1995). *Proteus Manifest* (1989, inny tytuł: *Proteus Combined* 1994) to łączne wydanie pierwszego i drugiego tomu cyklu. *The Web Between the Worlds* (1979) wykorzystuje pomysł kosmicznej windy niezależnie od *Fontann raju* (1979) Arthura C. Clarke'a. W swej twórczości Sheffield łączy najczęściej elementy thrillera, eksploracji bliskiego i dalekiego kosmosu i hard SF. Nauka i fascynujące pomysły często zajmują u niego miejsce pierwszoplanowe, występując na tle optymistycznego obrazu człowieka i jego przyszłości. Kolejne książki noszą tytuły: *My Brother's Keeper* (1982), *Erasmus Magister* (1982), *The Mc Andrew Chronicles* (1983, rozsz. pt. *One Man's Universe* 1993), *Between the Strokes of the Night* (1985, „opera kosmogoniczna”), *The Nimrod Hunt* (1986, zmień, i rozsz. pt. *The Mind Pool* 1993), *Trader's World* (1988), cykl 'Heritage Universe': *Summertide* (1990), *Divergence* (1991), *Transcendence* (1992) i *Convergence* (1997), *Cold As Ice* (1992), *The Judas Cross* (1994, thriller grozy, do spółki z Davidem Bischoffem), *The Ganymede Club* (1995), cykl 'Jupiter', w którym ukazały się dotąd dwa tomy: *The Higher Education* (1996, do spółki z Jerrym Pournelle'em) i *The Billion-Dollar Boy* (1997), *Tomorrow and Tomorrow* (1997). Z ponad setki opowiadań Sheffielda część weszła do zbiorów: *Vectors* (1979), *Hidden Variables* (1981), *Dancing with Myself* (1993), *Georgia on My Mind and Other Places* (1995).